



WACŁAW NIEZABITOWSKI

HURAGAN
OD WSCHODU

POWIEŚĆ

Nakładem T-wa Wydawniczego Strzelczyk i Kąsinowski
Skład: Główna Księgarnia Wojskowa Warszawa 1928 r.

TEGOŻ AUTORA:

JEREMIASZ, tragedia wierszem.
PRZEZ ŚNIEGI I POŻOGĘ, powieść.
OSTATNI NA ZIEMI, powieść (w druku)

I.

W gabinecie sir Eryka Bruce, ambasadora angielskiego w Tokio, zapanowała chwila milczenia.

Ambasador, utkwivszy wzrok w nieruchomej twarzy siedzącego obok niego pułkownika Macready, wojskowego attache ambasady, nerwowo bębnił palcami po suknie biurka, zarzuconego papierami i dziennikami.

Pułkownik, wysoki, szczupły, o energicznym profilu twarzy, mężczyzna, palił milcząco cygaro, zdając się być całkowicie pochłoniętym obserwowaniem kółek dymu, jakie co pewien czas wydmuchiwał pod sufit.

Wreszcie sir Eryk poruszył się niecierpliwie w fotelu i, pochylając się nieco ku Maicready'emu, zapytał.

— Więc pułkowniku, co należy czynić?

Macready strzepnął popiół z cygara i zwrócił twarz ku pytającemu. Przez chwilę patrzył nań w milczeniu, wreszcie wzruszył ramionami.

— Trzeba czekać — rzekł spokojnym tonem. — Nic innego nie wypada nam przedsięwziąć.

— Jednakowoż... — rzekł ambasador, pochylając się jeszcze więcej ku niemu.

Pułkownik potrząsnął głową przecząco.

— Wiem, sir, co chcesz powiedzieć. Sądzisz, iż wypadałoby poczynić starania o dowiedzeniu się o Hita-schi'm... ale naprawdę, to byłoby nieco ryzykowne. Nie

jesteśmy przecież pewni, czy Hitaschi nie jest śledzony. Poszukiwania nasze, o ile jest on u nich w podejrzeniu, utrudniłyby mu jedynie pracę, zaś w wypadku zupełnego zakonspirowania się Hitaschi'ego naprowadziłyby japończyków na ślad. Tak czy tak starania nasze skompromitują go w ich oczach, co naturalnie uczyniłoby go dla nas kompletnie bezwartościowym.

— Tak... tak... — potakiwał Bruce, przekonany w zupełności słuszością wywodów pułkownika.

— Zresztą — dorzucił ten ostatni, zcisząc nieco głos — nie wiemy doprawdy, gdzie szukać Hitaschi'ego...

— Przecież udał się do Osaka! — przerwał sir Eryk.

— Tak, sir, to prawda... lecz któż nam może zaręczyć, czy nie udał się stamtąd dalej, natrafiwszy na jakiś ślad?

— Zapewne! — wybuchnął nagle Bruce. — Ale my tu czekamy... i czekamy!

— Trudno, sir! — rzekł pułkownik, gasząc cygaro w stojącej na biurku popielniczce. — W sprawach tego rodzaju należy rozporządzać sporym zapasem cierpliwości.

Bruce powstał z fotelu i począł szybkimi krokami przemierzać gabinet. Ruchy jego wskazywały, iż owładnęło nim silne zdenerwowanie.

Bo też doprawdy miał się czem denerwować przedstawiciel potężnego Imperium.

Mniej więcej od roku już agenci polityczni, pozostający na służbie ambasady, poczęli raportować co pewien czas o podejrzanych ładunkach okrętowych, wychodzących z portów japońskich na statkach pod flagą kraju „Wschodzącego Słońca“. Ładunki te, według informacji szpiegów, składały się z olbrzymiej ilości maszyn do wyrobu amunicji wszelkiego rodzaju, jak naboje rewolwerowe, karabinowe i pociski artyleryjskie różnego kalibru. Załadowywanie statków odbywało się zazwyczaj nocą, przyczem ze strony załóg okrętowych rozwijano nadzwyczajną ostrożność, aby nikt niepowołany nie zdołał się zakraść na statek.

Pierwszy taki okręt, o którym donieśli agenci, odpłynął z Sasebo w niewiadomym kierunku w połowę marca, z bierając na pokład przeszło 600 pak, zawierających części składowe maszyn do wyrobu amunicji oraz zdumiewająco wielką ilość wojskowego prochu strzelniczego i innych materiałów wybuchowych.

Sir Bruce natychmiast wystosował do swego rządu raport, omawiający szczegółowo powyższy wypadek, z prośbą, aby Admiralicja poleciła zbadać, do jakiego portu zawinie „Hato Maru“, gdyż taką nazwę nosił statek.

Któż jednak opisać zdoła zdumienie ambasadora i pułkownika Macreadyego, gdy po upływie dwóch miesięcy Admiralicja zawiadomiła ambasadę, iż statek, noszący nazwę „Hato Maru“ nie zawinął dotąd do żadnego z portów kuli ziemskiej, w czem, zresztą, niema nic dziw-

nego, gdyż, jak brzmiał dalszy ciąg zawiadomienia, statek ten nie mógł wypłynąć na morze z tej prostej przyczyny, iż od paru miesięcy znajduje się on w Hakodate, gdzie w tamtejszej stoczni poddaje się gruntownemu remontowi.

Szpiedzy, wysłani natychmiast przez pułkownika do Hakodate, potwierdzali rzeczywiście szczegóły zawiadomienia admiralicji. „Hato Maru“ od 15 stycznia znajdował się w suchych dokach stoczni.

Widocznie zatem poprzednie doniesienia agentów były nieprawdziwe. Macready zbeształ ich niemiłosiernie, jakkolwiek zalęknieni i zdumieni szpiedzy klęli się na swe głowy, iż na własne oczy widzieli „Hato Maru“, opuszczającego w dniu 13 marca port Sasebo.

W ostatnich dniach lipca Hitaschi, jeden z najzdolniejszych agentów Macready'ego, doniósł, iż przed paru dniami handlowy statek „Ischi Maru“, załadowawszy na pokład w jednym z pomniejszych portów kilkaset skrzyń takiegoż, jak i „Hato Maru“ ładunku, wypłynął na pełne morze. Prócz ładunku zabrał on na pokład przeszło trzysetu podróżnych, samych mężczyzn.

Podobny do poprzedniego, raport ambasadora pobiegł do Londynu.

Rezultat jednak nie różnił się od rezultatu z przed miesiąca.

„Ischi Maru“ nie zawiązał do żadnego z portów Starego ni też Nowego świata. Nie widziano go też w Australii, ni na żadnej z niezliczonych wysp Oceanu Spokojnego.

Jednym słowem zginął bez wieści.

Macready nie posiadał się ze złości. Sir Bruce był widocznie przygnębiony. Obaj z pułkownikiem w rozmowach swych na ten temat snuli tysiączne przypuszczenia, lecz rąbka tajemnicy uchylić nie zdołali.

Lecz dwa te, jednobrzmiące prawie, raporty sir Eryka obudziły czujność Londynu.

Specjalny kurjer przywiózł instrukcję, nakazującą ambasadzie wyjaśnienie tajemniczych ładunków okrętowych.

Pułkownik Macready rozwinął gorączkową działalność. Największą nadzieję pokładał on w jednym ze swych agentów, Hitaschi'm, napołyjono japończykiem, gdyż matką jego była angielfka, którą niepowodzenia losu zagnały do Japonii.

Hitaschi, jako rodowity japończyk, był bezcennym wprost nabytkiem dla Macready'ego, który cenił go, darząc bezwzględnym zaufaniem,

Rzeczywiście, Hitaschi był najbardziej inteligentnym i najzręczniejszym z wszystkich współpracowników wywiadu angielskiego w kraju Mikada, Macready używał go też do najpoważniejszych zadań.

Przed paru tygodniami Hitaschi zwrócił uwagę pułkownika na dziwny, zdaniem jego, fakt zniknięcia poważnej liczby oficerów i podoficerów armji japońskiej.

Rzeczywiście, od pewnego czasu ten lub ów z oficerów sztabowych i linjowych garnizonu tokijskiego znikał z widowni, nie dając o sobie żadnego znaku życia.

Macready na jednym z towarzyskich zebrań zagadnął od niechcienia szefa sztabu generalnego, generała Kawakami o paru wyższych oficerów, których od dłuższego czasu nigdzie spotkać nie można było, lecz otrzymał spokojną odpowiedź, iż oficerowie ci otrzymali dłuższy urlop, który wykorzystują na łonie swych rodzin.

Lecz informacje, dostarczone przez Hitaschi'ego, mówiły wręcz przeciwnie.

Ani jeden z oficerów i podoficerów, bawiących jakoby na urlopie, nie przebywał u swej rodziny.

Pułkownik nie mógł sypiać po nocach. Odbywał on ciągle narady z Hitaschi'm, pobudzając go do większej gorliwości, lecz spryt żółtego renegata nie przynosił ro wikłania zagadek.

To jedno zdołał skonstatować agent, iż w samym tylko garnizonie tokijskim świeciło nieobecnością około siedmuset szarż wszelkiego rodzaju broni.

Wreszcie po długich miesiącach bezowocnych śledzeń i poszukiwań Macready był pewien, iż wpadł na nieomylny ślad.

Agent, zamieszkujący w Osaka, doniósł, iż od szeregu tygodni w starej świątyni „Czterech Dobrych Bóstw”, w pobliżu Osaka odbywa się jakiś tajemniczy zjazd, w którym pod pretekstem obrad religijnych biorą udział nie

tylko duchowni japońscy, lecz i liczni przedstawiciele Chin, Mongolji, Annamu, Tybetu, Sjamu, Konchinchiny, a nawet i wysłańcy braminów induskich. Zjazd ten, jak donosił agent, zgromadził paruset przedstawicieli narodów, zamieszkujących wschodnią półkulę.

Dzienniki japońskie nie wspominały o zjeździe dotychczas ani razu. Wszelkie usiłowania agenta z Osaka, aby przeniknąć wewnątrz świątyni, nie odniosły skutku. Świątynia zamknięta była dla pobożnych i zwiedzających, zaś uczestnicy zjazdu nie opuszczali zupełnie jej murów.

Macready wysłał natychmiast Hitaschi'ego do Osaka z poleceniem przeniknięcia na zjazd za wszelką cenę. Już pięć dni minęło, jak agent opuścił Tokio, udając się do świątyni „Czterech Dobrych Bóstw”. Od dnia wyjazdu nie dał on ni znaku życia o sobie, co niepomiernie zniecierplawiło ambasadora, a po trosze też i pułkownika, jakkolwiek ten, obdarzony iście angielską flegmą, nie dawał poznać po sobie, że dziwne milczenie Hitaschi'ego poczyna go również nieco niepokoić.

I teraz też, wodząc wzrokiem za przebiegającym w zdenerwowaniu gabinet, ambasadorem, złorzeczył w duchu ulubionemu agentowi, który mógł przecież dać znać o sobie w formie nadesłania nic nieznaczącego listu lub depeszy.

Nagle sir Bruce zatrzymał się przed Macready'm.

— A gdybyś tak, kochany pułkowniku, sam przejechał do Osaka? Co?

Pułkownik nie zdążył odpowiedzieć, gdy w drzwiach gabinetu ukazał się wygalonowany lokaj, trzymając w ręku tacę z biletem wizytowym.

— Major Karol Pretwicz, attache wojskowy polski — przeczytał sir Bruce i podniósł zdziwiony wzrok na służącego.

— Pan major prosi o natychmiastowe przyjęcie — przemówił tenże.

— Proś — rzucił ambasador, idąc ku biurku.

— Co sprowadzać może tutaj tego Polaka o tej godzinie? — zwrócił się do pułkownika, gdy służący opuścił gabinet.

Ten zmarszczył brwi.

— Tak... to ciekawe — szepnął półgłosem. — Więc jak sir? — dodał, powstając. — Jechać do Osaka, czy nie?

Sir Bruce podumał chwilę.

— Pociąg do Osaka odchodzi dopiero za godzinę. Masz, pułkowniku conajmniej pół godziny czasu. Zostań tu, zobaczymy, co ten polak nam powie!

W drzwiach pojawił się służący i uniósłszy nieco portjerę, przepuścił młodego mężczyznę w mundurze polskiej kawalerji. Przybyły obrzucił bystremi, siwemi oczyma gabinet i postąpiwszy parę kroków naprzód, wojskowym ukłonem powitał obecnych.

— Ekscelencjo! — przemówił, zwracając się do ambasadora. — Przepraszam bardzo, że o tak rannej po-

rze niepokoję go, lecz doprawdy sprowadza mnie tutaj sprawa, obchodząca, jak się zdaje, wyłącznie Panów.

— Proszę, spocznij pan, panie majorze!— wskazując ruchem ręki fotel, ozwał się sir Bruce, częstując równocześnie przybyłego cygarem.

Pretwicz, uściskawszy dłoń Macready'ego, zasiadł w fotelu i zajął się obcinaniem cygara. Zapalił je, pociągnął parę razy z miną znawcy i podnosząc wzrok na sir Bruce'a, rozpoczął.

— Jak wiecie panowie, a zwłaszcza ty, kochany pułkowniku, codziennie rano odbywam swój dziewięciokilometrowy spacer wierzchem. Dzisiaj wybrałem drogę wzdłuż plantu kolejowego. Byłem już na piątym... szóstym kilometrze, gdy spotkał mnie pociąg, dążący do Tokio i... — tutaj zciszył nieco głos — byłem świadkiem następującej sceny. Na platformie ostatniego wagonu jacyś dwaj osobnicy, odziani w kimona, walczyli z trzecim, który bronił się rozpaczliwie. Dojrzałem, jak jeden z napastników wy dobył nóż z pod kimona i pchnął nim w plecy broniącego się, poczem wraz z drugim strącił ugodzonego z platformy na tor kolejowy. Cała ta scena nie trwała dłużej niż... kilkanaście sekund. Zrazu zdawało mi się, iż uległem złudzeniu wzrokowemu, lecz leżące obok toru bezwładne ciało upewniło mnie, że nie jest to halucynacja. Zeskoczyłem z siodła i, przesadziwszy druty, okalające tor, w paru skokach znalazłem się przy leżącym. Od jednego spojrzenia przekonałem się, iż pocięchy już z

niego nie będzie. Rozbił głowę o szynę przy upadku, a pozatem w plecach jego tkwił aż po rękoność cienki sztylet. Gdym uniósł jego głowę, aby ją ułożyć wygodnie na ziemi, nie-szczęśliwy rozwarł oczy i przez chwilę wpatrywał się we mnie. Następnie uniósł się nieco na łokciu... sięgnął ręką w zanadrze... wydobył stamtąd mały medaljon i wcisnąwszy go w moją dłoń, wyszeptał po angielsku, oddając krew ustami: „Sir... proszę oddać to pułkownikowi Macready‘emu lub sir Bruce‘owi i powiedzieć, że Hitaschi stwierdził...” W tym miejscu krew silniej uderzyła przez usta... nieszczęśliwy zaszamotał się kilkakrotnie... i skonał...

Opowiadanie majora przerwały dwa okrzyki zgrozy, jakie wydarły się z piersi słuchających. Ambasador aż powstał z wielkiego wzruszenia, patrząc przerażonym wzrokiem na pułkownika, ten zaś, aczkolwiek zazwyczaj flegmatyczny i nie dający się łatwo wyprowadzić z równowagi, zerwał się z takim impetem z fotelu, iż stracił przytem stojącą na skraju biurka popielniczkę, która z metalicznym brzękiem potoczyła się po woskowanej posadzce.

— Hitaschi!... Hitaschi!... — powtórzył sir Bruce. — Czy pan jest pewien, panie majorze, iż to imię wymienił ów nieszczęśliwy?

— Tak, ekscelencjo — potwierdził Pretwicz. — Testem tego zupełnie pewny. Był to mężczyzna średniego wzrostu, szczupły i... jako znak, po którym panowie mogą

domyśleć się, kto nim jest, podam, iż u prawej ręki brak mu dwóch palców... wskazującego i średniego.

— To Hitaschi! — przerwał pułkownik, zwracając się do sir Bruce'a — palce te stracił, jak opowiadał, w tym czasie, gdy pracował jako tragarz portowy.

Sir Bruce milczał, zagryzając wargi.

Pretwicz sięgnął do kieszeni frencza i wydobył stamtąd miasty medaljon.

— A oto, sir, medaljon, jaki wręczył mi, umierając, ów nieszczęśliwy.

Sir Bruce, ująwszy medalion, począł go rozglądać, zbliżając się powoli ku oknu.

Macready podszedł do Pretwicza.

— Majorze! — rzekł z cicha, ujmując go za rękę.— Czy widział pana kto, rozmawiającego z tym nieszczęśliwcem?

— Nie... nie zdaje mi się, — odrzekł po chwali namysłu Pretwicz — przypominam sobie, iż zrazu chciałem zawiadomić kogoś o wypadku, lecz naokół było zupełnie pusto, a później...

— Później... — podchwycił pułkownik.

— Później... pomyślałem, iż może lepiej będzie, gdy nikt nie dostrzeże, iż byłem świadkiem wypadku... więc siadłem na koń... i przybyłem tu bez zwłoki.

— Wspaniale! — zachwycił się Macready, ścisnąwszy dłoń Pretwicza. — Wspaniale! Dobrze uczyniłeś, majorze! Wyśmienicie!

— Nic nie rozumiem, co ma oznaczać ten medaljon — ozwał się sir Bruce, podchodząc do biurka. — Jakież znaki tajemnicze... coś... coś takiego.

Poczęto rozglądać z ciekawością rzucony na biurko przez ambasadora medaljon.

Był to zwykły brązowy krążek o żłobionych poprzecznymi nacięciami brzegach, wielkości mniej więcej srebrnego franka. Na jednej jego stronie widniał rysunek, przedstawiający dwie rozwarte dłonie, między którymi tkwiła zapalona pochodnia. Druga strona pokryta była znakami nie przypominającymi jednakowoż ni znaków alfabetu japońskiego, ni też chińskiego. Znaków tych było siedem, przyczem po trzy z nich na górze i dole, zaś jeden, większy od tamtych w środku.

Macready, który znał po trosze wszystkie języki Wschodu, kręcił głową z nieukontentowaniem. — Ni po japońsku, ni po chińsku, ni po malajsku, w ogóle pierwszy raz napotykam litery o podobnym rysunku — mruczał półgłosem. — Jestem pewien, że to żaden z żyjących języków Wschodu. Hm... no zobaczymy! — dodał, chowając medalion do portmonetki.

Pretwicz podniósł się z fotelu.

Teraz, gdy spełniłem już prośbę owego Hitaschi'ego pozwoli ekscelencja i ty, pułkowniku, iż pożegnam panów — zwrócił się z ukłonem do obydwóch.

Sir Bruce zamienił z pułkownikiem błyskawiczne spojrzenie.

Ależ, kochany majorze!—zaoponował żywo. — Zechcesz chyba z nami zjeść śniadanie. Z opowiadania pańskiego wnoszę, iż przybyłeś pan tu wprost z miejsca wypadku... nieprawdaż?

--- Tak jest, Ekscelencjo! Uważałem za obowiązek zawiadomienie panów o wypadku bez zwłoki. Koń mój stoi przed domem...

— Więc pan, panie majorze, jesteś bez śniadania... — zakonkludował sir Bruce. — I my również. Zjemy je zatem razem. Kochany pułkowniku! — zwrócił się do Macready'ego. — Bądź łaskaw wydać polecenie, aby konia majora wzięto do stajen. Proszę — dodał, zapraszając ruchem ręki majora i Macready'ego.

Podczas śniadania, do którego prócz nich zasiadł jeszcze Douglas Milford, pierwszy sekretarz ambasady, ni sir Bruce, ni też pułkownik nie wspominali ni słowem o Hitaschi'm i o wypadku, jaki go spotkał.

Rozmowa obracała się przeważnie wokół życia cudzoziemców w Japonii, przyczem pułkownik, który, jak wnioskować było można, nie był zbyt wielkim przyjacielem synów kraju Wschodzącego Słońca, ironizował na temat stosunków japońskich, twierdząc, iż niesłusznie uważano ich za najbardziej kulturalnych ze wszystkich mieszkańców Wschodu, gdyż, zdaniem jego, pozostali oni faktycznie w głębi duszy takimiż samymi barbarzyńcami, jakimi byli za czasów pierwszych szogunów.

Uwagi jego nie były pozbawione sporej dozy dowcipu, to też śniadanie przeszło w bardzo wesołym nastroju. Po śniadaniu Milford, wymówiwszy się nawąłem pracy, pożegnał towarzystwo, udając się do swego gabinetu. Sir Bruce zaproponował przejście na werandę, wychodzącą na miniaturowy ogródek. Podano kawę i likiery, zaś dla pułkownika, który ich nie znosił, „brandy and sody“, ów ulubiony napój wszystkich kolonjalnych oficerów armji angielskiej. Zapaliwszy cygara, biesiadnicy przez chwilę napawali się ich wonnym zapachem, błędząc wzrokiem po dziwacznych, karłowatych krzewach typowo japońskiego ogrodu. Milczenie przerwał wreszcie sir Bruce, zwracając się do Pretwicza.

— Majorze — ozwał się. — Skoro już los tak chciał, iż mimo woli stałeś się pan jedynym może świadkiem tragicznej śmierci Hitaschi‘ego, wypada, abyś pan został wtajemniczony w ów splot wydarzeń, których rezultatem stał się ten przykry wypadek.

Pułkownik skinął potakująco głową.

Sir Bruce ciągnął dalej.

— Panie majorze, czy pan domyśla się kim był Hitaschi?

Pretwicz podniósł nań oczy.

— Domyślam się, sir — rzekł spokojnie.—Pierwszy podejrzenie zrodziło się w mej myśli w chwili, gdy umierający wciskał w mą dłoń medalion, zaś utwierdziło mnie

w tem przekonaniu przejęcie, z jakim Panowie przyjęli wiadomość o wypadku.

— Tak, nie mylił się pan w swych przypuszczeniach — potwierdził sir B'ruce. — Hitaschi był naszym najzdolniejszym agentem i śmierć jego jest nam nadzwyczaj nie na rękę. Zwłaszcza....

Pretwicz spoglądał nań wyczekująco.

Sir Bruce przysunął się bliżej ku niemu.

— Zanim przejdziemy do szczegółów — ciągnął poufnym tonem — chciałbym usłyszeć zdanie pańskie, majorze, o żółtem niebezpieczeństwie.

Pułkownik, rzuciwszy na wół wypalone cygaro za parapet werandy, przesiadł się do nich i z zaciekawieniem utkwiał wzrok w twarzy Pretwicza.

Ten namyślał się przez chwilę.

— Żółte niebezpieczeństwo? — powtórzył. — Wie, iż istnieje teoria, popularna zwłaszcza w waszej ojczyźnie, panowie i w Stanach Zjednoczonych, uznająca jako niezbity pewnik, iż rozbieżności charakterów i celów pomiędzy białą i żółtą rasą doprowadzić z czasem muszą do ostrego konfliktu, wynikiem którego będzie walka na śmierć lub życie między żółtym i białym światem. Czy teoria ta ona rację bytu... czy nie... powiedzieć na pewno nie umiem, zwłaszcza, iż w mojej ojczyźnie, jako kraju, jak Panom wiadomo kontynentalnym, zagadnienie to do prawdy nie jest dotąd aktualnym. Pozatem, bawię na Wschodzie niespełna dopiero rok, więc nie mogę uważać

się za znawcę problemów wschodnich, jednak co do mego osobistego zdania w tej kwestii, to sądzę, że.— urwał, marszcząc brwi, jak gdyby namyślając się głęboko.

— Że, co... majorze! — poddał pułkownik, nachylając się ku niemu.

Pretwicz obwiodł obu Anglików spojrzeniem.

— Sądzę, że niebezpieczeństwo to może kiedyś rzeczywiście wyłonić się na widownię świata — dokończył.

Sir Bruce ucieszył się widocznie.

— Tak... tak... niebezpieczeństwo to jest realnym — potakiwał, trzęsąc energicznie głową.

— Ba! — dorzucił tonem głębokiego przekonania Macready. — Jest ono większe niż się może zdawać.

Pretwicz wzruszył lekko ramionami.

— Jednak różnimy się znacznie, moi Panowie, w swoich twierdzeniach — mówił — Panowie są pewni, iż niebezpieczeństwo to istnieje już teraz, ja zaś przypuszczam, iż może ono powstać w przyszłości... i to bardzo dalekiej.

Macready aż uniósł się na krześle.

— Mylisz się majorze! — zakrzyknął gorąco.— Nie-bezpieczeństwo jest bliższe, niż go się spodziewamy. — I zachęcony spojrzeniem ambasadora począł wtajemniczać Pretowicza we wszystkie tajemnice, jakie od szeregu miesięcy pragnął wyświecić za pomocą Hitaishi'ego i całego szeregu wywiadowców. Major do-

wiedział się zatem i o ładunkach okrętowych i o zastanawiającym fakcie znikania oficerów japońskich i o wielu, wielu jeszcze innych tajemniczych wielce wypadkach, jakie, zdaniem Macreadyego i sir Bruce, powinny zbudzić czujność Starego i Nowego świata.

Pretwicz słuchał, z uwagą. Zagadnienie to było dlań nader ciekawem i z przyjemnością przysłuchiwał się wywodom takich dwóch wybitnych znawców Wschodu, jakimi byli sir Bruce i pułkownik. Zwłaszcza ten ostatni prawie całą swą służbę wojskową spędził w oddziałach kolonialnych w Indiach, na wyspach archipelagu malajskiego, w Afganistanie oraz w Chinach. Wśród koloni europejskiej w Tokio uchodził on za autorytet w sprawach wschodnich. Znał świetnie zwyczaje na wpół dzikich malejczyków, krwiożerczych afganów i układnych, a jednak tak podstępnych i okrutnych mieszkańców Niebieskiego Państwa. Wobec Europejczyków nie taił się on zupełnie ze swą nienawiścią do żółtej rasy, co zyskało mu u niektórych, zwłaszcza młodszych członków koloni białej, opinię po trosze dziwaka.

Pretwicz poważał go bardzo, wykazując dlań szacunek, jaki zwykle okazuje młodszy wiekiem wojskowy względem kolegi, którego całe niemal życie upłynęło wśród ciągłych walk i utarczek.

A pułkownik Macready bił się prawie bezustannie od chwili wstąpienia do szeregów armii. Jako młody podporucznik brał udział w straszliwej walce pod Omdurmanem

z fanatycznymi wyznawcami Mahdiego, podczas powstania bokserów, potem w Transwaalu, w Afganistanie i wszędzie... wszędzie tam, gdzie całości imperium angielskiego zagrażało jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

Podczas wojny europejskiej dowodził pułkiem indyjskich sipajów, zdobywając najwyższe odznaczenia, jakie tylko dostępne były dla oficerów angielskich. Obecnie od trzech lat sprawował obowiązki attache wojskowego w Tokio, na które to stanowisko rząd londyński wysyłał zazwyczaj najbardziej zdolnych i zrównoważonych oficerów.

O jego zimnej krwi w obliczu niebezpieczeństwa opowiadano tysiączne historie; nic też dziwnego, że każde jego pojawienie się na zebraniach w Klubie Dyplomatów w Tokio wywoływało pewną sensację wśród nowoprzybyłych Europejczyków.

Macready nic był skłonny do łatwego obdarzania ludzi swą przyjaźnią. Przenikliwy jego umysł, łatwość orientowania się pozwalały mu na dokonywanie szczęśliwego wyboru wśród całej plejady znajomych. Wybrańców siwych darzył rzeczywistą przyjaźnią i zaufaniem.

Do wybrańców tych należał również i Pretwicz. Stary pułkownik z upodobaniem patrzył na młodzieńczą, wysmukłą postać kawalerzysty polskiego, na jego swobodne, niewymuszone ruchy, na jasne czoło, znamionujące inteligencję i oczy patrzące na świat poważnie i uczciwie.

Pretwicz, jakkolwiek młody, odznaczył się chlubnie podczas najazdu bolszewickiego w 1920 r., co stało się głośnym w kołach wojskowych. Na czele 2 - uch detaszowanych szwadronów ułańskich i pół baterii lekkich dział dał się tak we znaki bolszewickim armjom, uwijając się na ich tyłach, iż zrozpaczeni czerwoni dowódcy ochrzcili go mianem „wściekłego psa“, wyznaczając za jego głowę znaczną cenę. Całe dywizje wysyłano przeciwko niemu, urządzano setki zasadzek, lecz wszystko to było darem.

„Wściekły pies” wraz z swymi zabijakami zapadał przed pogonią w lasy i moczary, robił forsowne marsze, znikał na całe tygodnie, aby wreszcie wychynąć tam, gdzie go się najmniej spodziewano. Na zasadzki odpowiadał zasadzkami, w których dosłownie ginęły bez śladu całe pułki. Doszło wreszcie do tego, iż oddziały czerwonej armii, wysyłane przeciw niemu, ogarniał paniczny strach na samą wieść, iż „wściekły pies” znajduje się w pobliżu.

O tych nadzwyczajnych jego sukcesach wojennych opowiadał Macready’emu pułkownik Clermont, obecny attache francuski w Tokio, który w 1920 r. przydzielony do misji wojskowej gen. Niessel’a bawił na froncie polsko bolszewickim.

Podczas zebrzań towarzyskich w „Klubie Dyplomatów” Macready siadywał zazwyczaj w małym saloniku w towarzystwie pułkownika Clemont i Pretwicza. Tematem

ich rozmów była zawsze wojna. Macready miał niewyczerpany zapas wspomnień osobistych z czasów swej służby kolonjalnej, które opowiadał w sposób nadzwyczaj zajmujący. Pretwicz całymi godzinami mógł je wysłuchiwać, podziwiając fenomenalną pamięć pułkownika i prostotę, z jaką ten podawał fakty, świadczące o swej nadludzkiej wprost odwadze i nietraceniu ducha w obliczu straszliwych niebezpieczeństw. Major zauważył przytem, iż w ocenie wypadków Macready posiada nader krytyczany umysł, wzbogacony zdobytem doświadczeniem życiowem. Każde twierdzenie wypowiedziane przez pułkownika było wynikiem długotrwałych przemyślan i poparte tak logiczną argumentacją, iż słuchacze przyjmowali je bez żadnych zastrzeżeń, jako nieulegający wątpliwościom pewnik. To też rewelacje jego na temat tajemniczych wypadków wysyłania w niewiadomym kierunku transportów maszyn do wyrobu amunicji i znikania oficerów japońskich uczyniły na Pretwiczu duże wrażenie.

Pułkownik dostrzegł to i zadowolony ze siebie, ciągnął dalej:

— Mówisz, majorze, iż zagadnienie żółtego niebezpieczeństwa nie jest aktualne w twoim kraju? To tylko tak się zdaje... w istocie jest zupełnie inaczej. Trzeba tylko sięgnąć myślą nieco naprzód. A najważniejszym jest, aby ta myśl kroczyła etapami, budując, że tak powiem, zupełnie trwałe pomosty dla osiągnięcia celu, to jest do skon-

kretyzowania ich w niezbity pewnik. Otóż, jeśli panowie pozwolą, postaram się to uczynić.

Zapalono świeże cygara. Pułkownik pociągnął spory łyk swej ulubionej brandy i zasiadłszy wygodnie w fotelu rozpoczął rozwijać swe przewidywania.

Zdaniem jego starcie między białą i żółtą rasą stworzyłoby dla Polski poważne niebezpieczeństwo. Rosja, tembardziej obecna, stanęłaby bez zastrzeżeń po stronie świata żółtych. Pierwsze walki rozpoczęłyby się bez wątpienia na wschodzie i rzecz prosta biali, mimo oporu nie utrzymają się ni na brzegach Oceanu Spokojnego, ni Indyjskiego. Przewidywania Macready'ego sięgały tak daleko, że przepowiadał on kompletne zajęcie przez żółtych Australii, wszystkich wysp na Oceanie Spokojnym i podbicie Indii angielskich. Lecz po tem wszystkim nastaliby kres podbojom żółtych ze względu na znakomitą przewagę sił białego świata na morzu.

— Dwie są bramy morskie, które mogliby wtargnąć żółci do Europy — dowodził — Suez i droga przez przylądek Dobrej Nadziei, ta ostatnia, co prawda, diablo długa. Lecz obie te bramy wypadowe, na szczęście, są nader łatwe do obrony. W razie poważnego niebezpieczeństwa zagrożone ludy Europy rychło przetworzyłyby Suez w twierdzę nie do zdobycia, zamykając tym sposobem drogę do serca Europy. Istnieje jeszcze możliwość taka, iż armie żółte będą usiłowały przedrzeć się do Bosforu. Lecz nie będzie to zbyt łatwym. Wystarczy ufortyfi-

kować linję, dajmy na to, Aleppo — Trapezunt. Kilkadziesiąt tysięcy dział na tak krótkim froncie powstrzymałoby na pewno żółte hordy. A ostatecznie pozostaje w odwodzie druga linia obronna, to jest Dardanelle. O sforsowaniu tych przeszkód dowództwo żółtych nie mogłoby się kusić. Parę milionów żołnierzy białych, opartych o potężne fortyfikacje, wspomaganych przez jednostki floty w zupełności dałoby sobie radę. Jakie twoje zdanie, majorze?— zapytał, zapalając zagasłe cygaro.

Pretwicz skinął potwierdzająco głową.

— Masz rację, kochany pułkowniku — odparł z przekonaniem. — Obrona byłaby łatwa ze względu na krótkość frontu. Obranie tej drogi marnie świadczyłoby o militarnym geniuszu żółtych.

Pułkownik zaśmiał się głośno.

— To też bądź pewny kochany kolego, iż o sforsowaniu tej linii obronnej sztab żółtych hord nie pokusi się. Mają oni daleko lepszą drogę. Ale do rzeczy. Rozpatrzmy dalej wszelkie możliwości. Wspomniałem o drugiej bramie morskiej, to jest o przylądku Dobrej Nadziei. Ta droga również nic wydaje mi się łatwą do zdobycia. Po pierwsze nie wierzę w możliwość przewiezienia morzem milionów żołnierzy, a tyle trzebaby ich przewieźć, chcąc podbić Europę, po drugie, odległość południowego cypla kontynentu afrykańskiego od pasa wiecznych lodów nie jest zbyt wielką. Otóż zjednoczone floty państw europejskich, skoncentrowawszy się na tych wodach, z łatwością

dadzą opór flocie żółtych, a nawet, gdyby nic odniosły całkowicie nad nią zwycięstwa, to i tak transporty żółtych żołnierzy narażone byłyby na ciągłe i poważne niebezpieczeństwo. Zresztą droga ze Wschodu koło przylądka Dobrej Nadziei jest tak długa, iż niema mowy o przewiezieniu nią takich mas ludzkich. Żółci musieliby mieć flotę przewozową, liczącą tysiące jednostek, a to jest niemożliwe. Ustrzec takie transporty od napaści jest faktycznym niepodobieństwem, że wspomnimy tylko wypadki zatopienia transportów japońskich przez flotę władywostocką w czasie wojny rosyjsko-japońskiej, jakkolwiek przestrzeń dzieląca Japonię od wybrzeży Korei jest zgoła niewielką i jakkolwiek flota rosyjska uwięziona we Władywostoku nie mogła się mierzyć nawet z drobną częścią floty japońskiej. A jednak kilka takich wypadków zatopienia transportów japońskich miało miejsce. Nie, moi panowie, drogi naokoło Afryki nie będą oni próbować. Pójdą inną drogą... zupełnie inną... drogą lądową...

Umilkł i napełniwszy swój kieliszek pił brandy drobnymi łykami.

Pretwicz poruszył się żywo.

— Więc pułkownik przypuszcza, iż droga ta wiodłaby przez Syberię, Rosję, aż do... — urwał, wpatrując się bacznie w twarz Macready'ego.

Ten postawił kieliszek na stole.

— Tak, majorze... tak; tylko tędy mogliby dotrzeć do krajów europejskich. Naturalnie, jeśli Rosja stanie po

ich stronie. A że opowie się za nimi, to więcej niż pewne, wzmacniając znakomicie i tak już potwornie olbrzymie lich siły.

— To byłoby straszne! — bezwiednie wykrzykał Pretwicz.

— Tak... to będzie straszne! — z naciskiem poprawił jego słowa Macready.

Sir Bruce położył dłoń swą na kolanie Pretwicza.

— Teraz wierzysz już Pan, majorze, że sprawa żółtego niebezpieczeństwa jest niemniej aktualną dla pańskiego kraju, jak i dla nas — rzekł, uśmiechając się lekko.

-- Idźmy dalej! — ciągnął dalej Macready. — Logiczną i łatwą do utrzymania linią obronną Europy byłaby linja: góry Uralu, morze Kaspijskie, Kaukaz, morze Czarne i Dardanele, lecz ze względu na pozostawienie poza nią milionów rodyjskich, jako sojuszników żółtych band osłabia, a nawet zupełnie niszczy jej znaczenie. Pozostaje zatem tylko, jako realna rzecz, linja Wisły i Dunaju, połączona trzonem Karpat. Na tej linji ludy Europy starałyby się zatrzymać żółty najazd.

-- Lecz w takim razie ojczyzna moja stałaby się terenem straszliwych zmagania! A większa część jej zalana stałaby przez milionowe hordy!

— Tak! — potwierdził spokojnie Macready. — dziewięćdziesiąt dziewięć procentów prawdopodobień-

stwa wskazuje na to, iż walka o losy białej rasy rozegra się na równinach polskich.

— I muszę zaznaczyć, kochany majorze, iż tam u nas, w Anglii ludzie zajmujący się tą sprawą, są takiegoż samego zdania — wtrącił sir Bruce.

Nie, na to nigdy nic pozwolimy! — gorąco zaproponował Pretwicz.

— A jednak tak się stanic, jeśli ludy białe dość wcześnie nie dostrzegą grożącego im niebezpieczeństwa i nie zjednoczą się celem skutecznego zapobieżenia nieszczęściu — poważnym tonem przemówił pułkownik, podnosząc się z fotelu.

Nastąpiła chwila ciszy, przerywana tylko odgłosem kroków Macready'ego, który, zapaliwszy nowe cygaro przechadzał się po werandzie.

Sir Bruce, chcąc zatrzeć wrażenie, jakie na młodym oficerze wywarły ostatnie słowa pułkownika, napenił kieliszki i trącając swym kieliszkiem o kieliszek majora, ozwał się wesoło.

— Pesymistyczne przepowiednie naszego kochanego pułkownika spełnią się tylko w tym wypadku, jeśli Europa i w ogóle ludy białe pozwolą się niespodziewanie zaskoczyć. A do tego nie dopuścimy... w pierwszym rzędzie my, jako ci, którym nasi biali bracia powierzyli zaszczytne i wy magające olbrzymiej czujności stanowisko obserwatorów i obrońców swych interesów na Wscho-

dzie. Za zdrowie tych ludzi obowiązku, panowie! — dodał, wznosząc kieliszek w górę.

— Jednym słowem, za nasze zdrowie — zaśmiał się Macready, podnosząc kieliszek do ust.

W tej chwili ozwał się cichy głos dzwonka aparatu telefonicznego, stojącego na biurku.

Sir Bruce, przeprosiwszy gości, ujął za słuchawkę.

— Sekretarz poselstwa polskiego prosi pana, panie majorze do telefonu — oznajmił po pewnej chwili anglik, podając Pretwiczowi słuchawkę.

Po paru minutach rozmowy major, kładąc słuchawkę na widełkach aparatu, zwrócił się do Macready'ego.

— Czy możesz mnie pułkownikowi wyjaśnić, kto to jest generał Tawaschiki?

— Ba! — zaśmiał się wesoło pułkownik. — Z przyjemnością! Chociaż nie jestem pewny, czy moje objaśnienia zadowolnią się, kochany kolego. Otóż, generał Tawaschiki zajmuje stanowisko szefa trzeciego departamentu, t.j. działu uzbrojenia w Ministerjum Wojny. — Jednak, — tu uśmiechnął się ironicznie — darmo byś, kolego, chciał go zastać w biurze departamentu. Wszelkie sprawy uzbrojenia załatwia jego, niby zastępca, pułkownik Aoschi... on zaś... ale to jest tylko moje podejrzenie — zastrzegł się opowiadający, zcisząc mimo woli głos. — On zaś jest... szefem wywiadu. Stanowisko jego, jako kierownika departamentu uzbrojenia uważam za sprytny manewr zamydlenia wszystkim oczu.

Pretwicz zagryzł wargi.

— Ach tak! — rzekł po chwili. — Dziękuję ci, pułkowniku; teraz przypominam sobie, że generała Tawaschiki poznałem przed paru miesiącami z racji jakiejś uroczystości wojskowej, wyszło mi to jednak z pamięci, gdyż znajomość ta ograniczyła się tylko do wymiany naszych nazwisk i zamienienia uścisków dłoni. Tem bardziej dziwi mnie fakt otrzymania od generała zaproszenia na obiad...

Pułkownik, który przed chwilą znów rozpoczął swój spacer po werandzie, zatrzymał się jak wryty.

— Co?... Co? — wykrzyknął, topiąc zdumione spojrzenie w twarzy Pretwicza.

— Tak! — potwierdził ten. — Właśnie sekretarz poselstwa zakomunikował mi przed chwilą, iż w czasie mej nieobecności przyniesiono z Ministerjum Wojny jakiś list dla mnie. Prosiłem go, aby mi zakomunikował treść listu i okazało się, iż jest to zaproszenie na dzisiaj do generała Tawaschiki. Dziwi Cię to, pułkowniku? — dodał, widząc poważną minę Macready'ego.

Ten obejrzał się wokoło podejrzliwie i widząc że prócz w nich ogrodzie niema żywej duszy, rzekł, marszcząc brwi.

— Nie tylko dziwi, lecz i niepokoi, mówiąc prawdę.

— Niepokoi? — zdziwił się z kolei Pretwicz.

— Tak! — twierdził Macready. — Zaproszenie to, to dowód, iż ktoś, niezauważony przez ciebie, majorze, obserwował twą rozmowę z tym nieszczęsnym Hitaschim.

— Czyżby? — zakrzyknęli równocześnie Bruce i Pretwicz.

Macready przymknął znacząco prawe oko.

— Jestem tego pewny, moi panowie. Pamiętajcie, że japończyk tego pokroju, co Tawaschiki nic nie robi bez logicznej przyczyny. Jest szefem wywiadu, mniejsza z tem, czy jawnym, czy zakonspirowanym, doniesiono mu, iż rozmawiałeś umierającym Hitaschim i... reszta już wiadoma.

Będzie cię chciał, majorze wybadać... jednym słowem musisz się kolego mieć na baczności.

II.

Obiad dobiegał końca.

Różnokolorowe, kołyszące się lekko na cienkich drucikach lampiony, zwisające z pułapu werandy, na której obiadowano, rzucały delikatne blaski na twarze biesiadników.

Wśród obecnych przeważały czarne galowe mundury wojskowych japońskich, od których dziwnie skromnie

odbijał połowy mundur Pretwicza. Poza tem prócz najbliższej rodziny generała Tawaschiki w obiedzie uczestniczyło paru europejczyków, przeważnie ze sfer bankowych.

Było również parę pań; między niemi ekscentryczna miss Hoovard, jedyna córka kalifornijskiego multimilionera, właściciela paru linii okrętowych, obsługujących Amerykę na Pacyfiku.

Miss Alice, straciwszy w dzieciństwie matkę zawojowała zupełnie ubóstwiającego ją ojca, ze zwałającego jej na wszelkie wybryki i eskapady których pomysły rodziły się pod krótką, jasnowłosą i wielce niesforną fryzurą uroczej miss.

Przed paru miesiącami wyruszyła ona z San Francisco na własnym jachcie w podróż naokoło świata, przy czem, jako prawdziwe dziecko „Hoovard — Pacific Line“ sama pełniła na jachcie swym służbę kapitana. Miss Alice pierwszy raz w życiu widziała mundur polski, więc też zasypywała Pretwicza, który siedział przy stole obok niej, pytaniami o Polskę, która w jej pojęciu znajdowała się gdzieś w bezpośredniej bliskości bieguna północnego.

Lecz Pretwicz odpowiadał na jej pytania z rztargnieniem, gdyż całkowitą jego uwagę zaprzęcała młoda japonka, bliska krewna gospodarza domu, siedząca naprzeciw niego.

Była ona skończonym typem piękności japoniek. Półkoliste, czarne brwi zbiegały się przepyszny łukiem nad

łagodnemi, orzechowego koloru oczyma. Twarz sąsiadki, niezeszpecona zwykłymi u rasy żółtej, wystającymi kośćmi policzkowemi, odznaczała się nadzwyczajnie delikatną cerą, przypominającą płatki wiśniowego kwiecia.

Z poza dość pełnych, o regularnym rysunku warg błyskały śnieżnej białości małe ząbki. Ręce małe, o wydłużonych wąskich palcach świadczyły o arystokratycznym pochodzeniu ich posiadaczki.

Jak zresztą i wszystkie japonki, siedzące przy stole, ubraną była w europejskie suknie, które, rzecz dziwna, nie szpeciły jej zupełnie, czego nie można było powiedzieć w stosunku do jej rodaczek.

Towarzyszył jej przy stole jeden ze znanych właścicieli wielkiego domu bankierskiego w Tokio i Pretwicz łatwo skonstatował, iż vis a vis jego wybornie włada angielskim językiem.

Sąsiad jej, widocznie oczarowany pięknnością swej towarzyszki, zasypywał ją komplementami, które ona przyjmowała z wybuchami wesołego śmiechu, ile, że adonis jej był mocno podtatusiałym jegomościem.

Pretwicz po dłuższej chwili obserwacji zauważył, iż piękna japonka co pewien czas spogląda nań ciekawie, przyczem zdawało mu się, iż we wzroku jej maluje się coś jak gdyby zmieszanie.

Powstawszy od stołu, całe towarzystwo rozsypało się grupkami po ogrodzie, oświetlonym, podobnie jak i

weranda, setkami lampionów, ukrytych między krzewami i sztucznymi skałami.

Gospodarz, uchwyciwszy moment, gdy Pretwicz znalazł się osamotnionym w jednej z cienistych alejek ogrodu, pociągnął go z powrotem na werandę, gdzie przy czarnej kawie i likierach rozpoczęła się między nimi ożywiona rozmowa na temat wspólnych znajomych w Europie.

Generał Tawaschiki, jak po paru chwilach po gawędki, dostrzegł Pretwicza, był wszechstronnie wykształconym człowiekiem, świetnie orjentującym się w stosunkach europejskich.

Jak się okazało, generał znał wybornie wszystkie prawie stolicy Starego i Nowego Świata.

— Znam pańską stolicę, panie majorze, gdyż należałem do misji, zwiedzającej pobojuwiska z wielkiej wojny, i muszę przyznać, iż uczyniła na mnie wielkie wrażenie. Wiem, iż nosi ona miano „północnego Paryża” i słusznie.

I począł rozpytywać Pretwicza o wyższych wojskowych polskich, których poznał w Warszawie, unosząc się przytem nad brawurą polskiej kawalerji, której, jak twierdził, niema równej na świecie.

Pretwicz, pamiętający o ostrzeżeniach Macready’ego, obserwował pilnie Tawashiki’ego, wyczekując z niecierpliwością, kiedy ten, o ile wiedział o roli, jaką Pretwicz odegrał w wypadku z Hitaschi’em, skieruje rozmowę na osoby Macready’ego i Bruce’a.

Lecz Tawaschiki, wpadłszy na temat spraw polskich, nie porzucił go ni na chwilę.

Wszystko, co związane było z Polską, internowało go, jak się zdawało, nadzwyczajnie.

Sytuacja gospodarcza, stosunki z ościennymi krajami, literatura, a zwłaszcza teatr, o którym wyrażał się z entuzjazmem.

Zachwyty jego nad wystawieniem Don Juana przez teatr Narodowy, przerwało pojawienie się na werandzie panny Ozari Asaka, gdyż tak brzmiało imię pięknego vis a vis Pretwicza.

— Kochany stryju! — ozwała się miękko, o nieco niskim brzmieniu głosem, stając przed rozmawiającymi. — Miss Alice prosi cię, abyś zechciał objaśnić jej, które z naszych roślin dały by się bez szkody dla nich, zaklimatyzować w Ameryce. Jest z całym towarzystwem przy sadzawce.

Tawaschiki podniósł się.

— Nie weźmiesz mi za złe, kochany majorze, iż zadość uczynię prośbie miss Alice? Moja siostrzenica zastąpi mnie na chwilę. Mam nadzieję, iż nie pozwoli ci nudzić się.

— A jeśli znudzi się pan w mojem towarzystwie — wtrąciła Ozari — zaprowadzę pana na wykład stryja o aklimatyzowaniu roślin japońskich.

Powiedziała to z taką komiczną powagą, że i Per-twicz i oddalający się Tawaschiki wybuchnęli głośnym śmiechem.

Już po kilkunastu minutach rozmowy, począł sobie zdawać Pretwicz sprawę z tego, iż znajduje się pod urokiem pięknej japonki.

Z przyjemnością wpatrywał się w jej uroczą twarzączkę, okoloną gęstymi! splotami kruczych włosów i słuchał jej melodyjnego, wdzierającego się w głąb serca głosu.

Pretwicz był lekko zły na siebie.

Dotąd uważał się za niezbyt czulego na wdzięki niewieście i nawet w głębi ducha chlubił się tem nieco, a tymczasem ta egzotyczna dziewczyna o przejmujących, nieco smutnych orzechowych oczach najwidoczniej zawróciła mu lekko głowę.

— Do licha! — przyprowadzał sam siebie do równowagi. — Gotów jestem zapomnieć o przestrogach Macredy'ego. Chociaż, cóż może mieć wspólnego ta słodka dziewczyna z misją swego stryja — tłumaczył sobie, jak gdyby uniewinniając Ozari.

I w tej samej chwili uczuł, iż uniewinnienie to sprawia mu niekłamaną radość.

Tymczasem jego towarzyszka przerwała panujące od paru minut milczenie.

— O ozem pan myśli, majorze! — zwróciła się doń, wpatrując się weń swym wyrazistym wzrokiem.

Pretwicz zbudził się z zadumy.

— Jestem pod urokiem tej czarującej, japońskiej nocy — odrzekł, pochylając się ku niej. — Widzi pani, my ludzie szarego zachodu, znalazłszy się na tym egzotycznym, jakim jest on bez sprzecznie dla nas, wschodzie, mimowoli ulegamy czarowi nowych wrażeń. Tembardziej na mnie jako bawiącego tutaj stosunkowo krótko, oddziaływa w wysokim stopniu niezwykle otoczenie. Ten ogród z temi dziwacznymi, sztucznie powyginanymi krzewami, te śpiące sadzawki, w których przegląda się błyszczący sierp księżyca, światła lampionów, kołyszące się jak błędne ogniki w powietrzu, a nade wszystko ten upajający zapach kwitnących wiśni i jabłoń, zapach, który może przyprawić o lekki zawrót najtrzeźwiejszą nawet głowę... wszystko... wszystko...

Umilkł, gdyż w ostatniej chwili zląkł się, aż mimowoli wybiegną na jego usta słowa, które wyraźnie powiedzą, iż największe wrażenie, daleko silniejsze od czerwonych, błękitnych, seledynowych świateł lampionów i srebrnego odbicia księżyca czyni na nim ona, siedząca obok niego i wpatrująca się weń bezustannie, Ozari.

A ona, jak gdyby odgadłszy jego myśli, zapytała cicho.

— A ludzie tutejsi nie czynią na panu wrażenia?

Upłynęła dłuższa chwila zanim Pretwicz zdobył się na odpowiedź.

Spojrzał uważnie na Ozari.

Nie patrzyła na niego. Oczy jej, nawpół przysłonięte powiekami utkwione były w głębi ogrodu. Palce ręki złożonej na balustradzie werandy, bawiły się machinalnie płatkami, śnieżnego kwiecica chryzantem, rosnących w głębokich wazonach.

Pretwiczowi zdawało się, iż na rozchylonych nieco jej wargach błędził nikły uśmiech rozmarzenia.

— Ludzie... ależ naturalnie! — ozwał się wreszcie nieco nieswoim, jak gdyby zduszonym od wzruszenia głosem. — Jestem oczarowany rodakami pani. Zresztą znałem wielu oficerów japońskich w Europie, zanim tu przybyłem. Dzielni ludzie i...

— Mówi pan wyłącznie tylko o mych braciach — przerwała Czart. — A ja pragnęłabym usłyszeć pańskie zdanie o... mych siostrach...

— Atakuje mnie naprawdę — przemknęła Pretwiczowi myśl błyskawicą. — Poczekaj, odpowiem ci, lecz tak, iż nie będziesz zapewne zadowolona z mej odpowiedzi — i schyliwszy nieco głowę w lekkim ukłonie, rzekła, siląc się na powagę. — Jeśli dla ziomków pani mam podziw, to dla kobiet japońskich czuję najgłębszą cześć i szacunek.

Po twarzy Ozari przemknął lekki cień, jak gdyby rozczarowania.

Schyliła głowę, odwzajemniając ukłon i rzekła cicho:

— Dziękuję... w imieniu wszystkich córek kraju Wschodzącego Słońca.

Lecz Pretwicz żałował już swej odpowiedzi, zbyt ogólnikowej.

Pochylił się ku niej nieco więcej i, zcisząc mimo woli głos, ozwał się mętko:

— Dla pani mam nie tylko cześć i szacunek, lecz zarazem podziw... szczerzy... głęboki podziw... — urwał nagle, jakby bojąc się tych słów, które miały wyrzec jego usta.

Ozari zwróciła nań swe świetliste oczy.

- Tym razem dziękuję panu... od siebie.

I zerwawszy jedną z rozkwitających kul chryzantemowych, podała mu ją.

Pretwicz podniósł jej dłoń do ust.

Całując, zauważył, iż dłoń Ozari drży lekko, lecz równocześnie uczuł, że pocałunek ten oszołomił go i jak gdyby wzruszył.

Ozari stała przez chwilę ze spuszczonemu w dół oczami, wreszcie podając swemu towarzyszowi ramię ozwała się wesołym, lecz, jak zauważył Pretwicz, sztucznym nieco głosem.

— A teraz posłuchamy wykładu mego stryja!

Tawaschiki powitał ich wesołym uśmiechem.

— Znudziłeś się widocznie, panie majorze, w towarzystwie mej siostrzenicy, skoro wolisz słuchać mego wykładu! To źle świadczy, Ozari, o twych zdolnościach bawienia gości.

Ozari rozłożyła ręce z miną bezradną.

Lecz uchwyciwszy moment, gdy Tawaschiki rozpoczął znów kontynuowanie swego wykładu i grono otaczających go gości zwróciło swą uwagę na jego słowa, spojrziała na Pretwicza z serdycznym, lekko filuternym uśmiechem.

Pretwicz uczuł w tej chwili, iż serce jego poczęło bić żywiej niż zwykle.

III.

Pułkownik Mecready należał do rodzaju ludzi upartych.

Doszedłszy do przekonania, iż zaproszenie Pretwicza przez generała Tawaschiki podyktowane było li tylko chęcią tego ostatniego dowiedzenia się od polskiego kawalerzysty o szczegółach jego rozmowy z umierającym Hitaschi'm, z niecierpliwością oczekiwał od Pretwicza wiadomości, któraby była potwierdzeniem jego przypuszczeń.

Następnego dnia po obiedzie u Tawaschiki pułkownik już o godzinie siódmej wieczorem znalazł się w małej salce „Klubu Dyplomatów” i racząc się nieodzownym „brandy” oczekiwał przybycia Pretwicza.

Lecz relacja majora z wizyty jego u Tawaschiki'ego zbiła zupełnie z tropu starego pułkownika.

Pretwicz powtórzył dokładnie rozmowę swą z generałem, podkreślając, iż Tawaschiki ni jednym słowem nie dał po sobie poznać, iż sprawa Hitaschi'ego jest mu wiadomą.

Na prośbę pułkownika Pretwicz wymienił szczegółowo osoby, które wzięły udział w obiedzie, nie zamilczając i o Ozari, chociaż, rzecz prosta, nie wspomniał ni słowem o wrażeniu, jakie uczyniła na nim młoda japonka.

A wrażenie to z godzinę na godzinę potęgowało się coraz więcej.

Powróciwszy od Tawaschi'ego późnym wieczorem do domu, major, pomimo lekkiego znużenia, nie mógł zasnąć, gdyż obraz słodkiej Ozari stał wciąż przed jego oczyma.

Wreszcie nad ranem zasnął, lecz i we śnie prześladowały go wspomnienia spędzonego w domu Tawaschiki wieczoru.

Wbrew swemu zwyczajowi, polegającemu na wybieraniu dla codziennej przejażdżki konnej miejsc ustronnych, Pretwicz nazajutrz dwie godziny galopował po alejach parku miejskiego w nieokreślonej nadziei spotkania Ozari wśród grona arystokratek japońskich, zażywających zazwyczaj spaceru w otwartych limuzynach i powozach.

I przecucie nie zawiodło go.

Jadący obok niego pułkownik Clermont, zatrzymał nagle swego huntera.

— Nom de Dieu! Co za piękna twarz! — zakrzyknął z iście południowym entuzjazmem.

— Gdzie? Kto? — rzucił pytanie Pretwicz, rozglądając się naokół.

Z bocznej alei skręcał ku nim zgrabny, pleciony z bambusa kabriolecik, zaprzężony w parę małych japońskich „pony“.

Żwawymi konikami, kierowała przybrana w biały spacerowy kostjum, Ozari.

Pobudzony ostrogą kasztan Pretwicza w paru susach znalazł się obok kabrioletu.

Ozari, ujrawszy, witającego ją wojskowym ukłonem majora, zręcznie zatrzymała kuce na miejscu i wyciągnęła dłoń ku witającemu.

— Wiedziałem, że spotkam dzisiaj panią! — i rzekł Pretwicz, składając pocałunek na drobniutkiej dłoni japonki. — Przeczucie nie zawiodło mnie! — dodał z radosnym błyskiem w oczach.

Twarz Ozari pokryła się nagle delikatnym rumieńcem.

— I ja byłam pewną, iż ujrzę pana tutaj! — odrzekła z lekkim drzeniem w głosie.

Dalsze wzajemne wynurzenia przerwało przybycie Clermonta. Pretwicz przedstawił Ozari pułkownika i po paru chwilach kabriolet przesuwał się powoli przez aleje rozległego parku, eskortowany przez obu wojskowych.

Szarmancki francuz zasypywał Ozari komplementami, unosząc się nad jej umiejętnością powożenia. Widać było, iż pułkownik szczerze zachwycał się japońką, co wbiło Pretwicza w pewnego rodzaju dumę.

W pewnej chwili minął ich młody porucznik kawalerji japońskiej, cwałujący na australijskim ogierze. Zrównawszy się z kabrioletem Ozari, jeździec powitał ją ukłonem, obrzucając zarazem bystrem spojrzeniem, towarzyszących jej, pożyczeni Pretwicz odniósł wrażenie, iż w ciemnych, prawie czarnych oczach spotkanego zatlił nagły błysk zdziwienia i gniewu zarazem.

— Kto to? — zapytał, pochylając się w siodle.

Policzki Ozari zakwitły lekkim rumieńcem.

— Kuzyn mój, wicehrabia Kamuru — odrzekła nieco zmieszonym głosem.

— Dobrze jeździ i wspaniałego ma wierzchowca — zauważył Pretwicz, oglądając się za znikającą na zakręcie wysmukłą postacią jeźdźca.

— Porucznik Kamuru uchodzi u nas za najlepszego jeźdźca. Na zeszłorocznych konkursach naszej kawalerji, zdobył pierwszą nagrodę t.j. puchar Mikada — informowała swych towarzyszy Ozari. — Bardzo miły człowiek — dodała po chwili, dojrzwawszy nagłą zmar szcękę na czole Pretwicza.

A ten był prawie pewnym, że młody porucznik zakochany jest po uszy w Ozari.

Przy pożegnaniu, korzystając z nieuwagi Clermonta, Ozari podając rękę Pretwiczowi, rzekła półgłosem.

— A Pan kiedy odwiedzi mnie, Panie majorze? Zawsze po przejeździe jestem dla Pana w domu.

Szybko pożegnawszy Clermonta, japonka lekkim trzaskiem bicia pobudziła kuce do prędkiego kłusa i po paru chwilach kabriolet wraz z piękną jego właścicielką zniknął za zakrętem alei.

Pretwicz i Clermont stali jak urzeczeni, ścigając wzrokiem znikającą Ozari, gdy tuż za ich plecami rozległ się niski głos Macready'ego.

— Witam kochanych kolegów! — a gdy ci zamienili z nim uścisk dłoni dorzucił, przymykając figlarnie jedno oko. — Widziałem... a jakże, widziałem... i nie dziwię się wam, Panowie, iż stoicie jak gdyby zaczarowani. Zachwycająca... czego nie można niestety powiedzieć o większości jej rodaczek.

I począł rozpytywać, kto była ich towarzyszka.

Usłyszawszy od Pretwiczu, iż Ozari jest bliską kuzynką generała Tawaschiki'ego, spoważniał nagle i stał się dziwnie milczącym, co niepomierne zadziwiło jego towarzyszy, znających dobrze pogodny humor pułkownika.

Lecz on, otrząsnąwszy się snąc z zadumy, począł znów mówić o Ozari, zachwycając się jej urodą i wreszcie przy pożegnaniu prosił Pretwicza, aby ten przy najbliższej sposobności przedstawił go pięknej japonce.

— Sapristi! — zakrzyknął francuz po odjeździe pułkownika. — Czyżby ta japonka zawróciła głowę staremu, że tak pragnie ją poznać?

I począł się śmiać wesoło, pokpiwając z leciwego wieku Macready'ego.

Lecz Pretwicz sposepniał nagle.

Przypomniął sobie to wszystko, co mówił pułkownik o Tawaschiki'm.

Czyżby osoba Ozari wzbudziła w nim również podobne podejrzenia?

Inaczej Pretwicz nie mógł sobie wytłumaczyć nagłej chęci. Macreadyego poznania uroczej japonki.

IV.

Już trzeci dzień trwał tajfun i „My Boy”, zdany na łaskę i niełaskę rozszalałego żywiołu, pędził wciąż ku północy, oddalając się coraz więcej od brzegów Japonji. I Przez pierwsze dwa dni: orkanu sytuacja, w jakiej znalazł się jacht miss Alice Hooward, nie przedstawiała się zbyt źle, gdy „My Boy” był dzielnym statkiem i niejednokrotnie zdarzało mu na Pacyfiku staczać walki z burzami, z których wychodził zwycięsko, lecz trzeciego dnia położenie jachtu stało się wprost rozpaczliwe, skutkiem pęknięcia wału korbowego od śruby nadającej bieg statkowi. Od

chwili tej dumny i pewny siebie zazwyczaj „My Boy“ stał się zwykłą łupiną, przierzucaną z fali na falę tchnieniem wściekłego tajfunu. Zrazu mniemano, iż uszkodzenie wału da się naprawić, lecz po paru godzinach bezowocnej pracy, Msr. Smith, stary wilk morski, któremu ojciec miss Alice powierzył pieczę nad statkiem, nie do wierząc snać marynarskim zdolnościom swej jedynaczki, oświadczył, że o naprawie wału niema i co nawet myśleć, gdyż jak mówił: „wał pękł pięknie, jak zapałka, na dwie połowy, skutkiem czego „My Boy“ niezdolny jest do żadnego ruchu, jak zdechły wieloryb”.

Miss Alice oznajmienie msr. Smitha przyjęła ze zmarszczonemi brwiami i po chwili namysłu, niepewnym zresztą głosem, zarządziła rozwinięcie żagli, aby z pomocą ich lawirować ku brzegom Japonji.

Ale msr. Smith oparł się temu stanowczo.

Co... przy takiej pogodzie próbować przybicia do tak pełnych niespodzianek brzegów japońskich, mając do dyspozycji zamiast pary tylko żagle. Nie... odrazu lepiej zrobię dziurę w pudle statku i pójść „pięknie” na dno Pacyfiku! Przeciwnie, należy się trzymać zdała od ziemi! Że miss Alice i jej goście są już znużeni tym ciągłym podskakiwaniem na falach — to mniejsza, w ogóle, on przecie krytykował ten niefortunny pomysł wycieczek do Sendai, gdyż barometr leciał „na pysk”! Zachciało się miss jedwabnych fatalaszków z Sendai — to dobrze, ale, żeby on miał pozwolić „My Boy'wi” rozbić się na jakiejś skale,

jakiemi usiany jest ocean przy brzegach japońskich — to nigdy! A pozatem, kierowanie statkiem to nie jej „babska sprawa”; od tej chwili on obejmuje dowództwo „My Boy’a“, a jak miss będzie w dalszym ciągu nalegać na skierowanie się w stronę brzegu, to, on, Jonatan Smith, emerytowany kapitan handlowej marynarki U. S. A. zamknie ją w kajucie i pomimo krzyków i spazmów po ucieszeniu się tego przekłętego tajfunu zawiezie do Frisco i odda ojcu.

Wypowiadając te groźby, poczciwy Smith, który ubóstwiał po prostu córkę swego szefa, tak straszliwie wywracał oczami, że goście miss Alice, będący świadkami tej sceny i ona sama z trudem zaledwie powstrzymała się mogli od śmiechu.

Zakończywszy swą tyradę i obwiódłszy jeszcze raz wszystkich obecnych groźnym spojrzeniem, zasapany kapitan poprosił o szklanekę „whisky“, gdyż, jak twierdził, dłuższe mówienie wysusza mu zawsze gardło. Wychyliwszy duszkiem napój, Smith zagłębił się w mapach, pokrywających stół kapitańskiej kajuty. Miss Alice i zebrani w kajucie goście pochylili się również nad stołem, wyczekując w milczeniu słów Smitha. Lecz ten, milczał, studiując uważnie każdy zarys linii brzegowej.

Długą chwilę ciszy przerwał wreszcie Pretwicz, prosząc kapitana o określenie punktu, w którym w obecnej chwili znajduje się „My Boy“.

Smith podniósł głowę i przez chwilę, jak gdyby nic rozumiejąc słów Pretwicza, patrzył milcząco na niego.

-- Ba! — odrzekł wreszcie, wzruszając ramionami, — Żebym ja to wiedział? Wszelkie wyliczenia podczas takiej pogody nie dają prawdziwych wyników, a obliczenie odległości od miejsca wyjazdu, biorąc szybkość statku za podstawę przy mich, również nie doprowadzą do niczego, gdyż tajfun miotał nami, jak źdźbłem słomy. Pewnem jest tylko to, że minęliśmy już dawno wysokość nie tylko Sendai lecz i Hakodate.

— Więc co będzie? — z lekkim niepokojem w głosie zapytał msr. Hoopę, który wraz ze swą, przed niedawnym czasem poślubioną żoną należał do grona przebywających na „My Boy“u“.

Smith skrzywił się pociesznie.

— Co będzie! — powtórzył. — Ano cóż... gdyby nie to przekłete pęknięcie wału próbowalibyśmy zawinąć do zatoki, jaka poza cieśniną Tsugar wrzyna się głęboko w kontynent wyspy Jezu, ale tak... — tu rozwiódł bezradnie ręce. — Nie pozostaje nam nic innego, jak pędzić wraz z tajfunem na północ...

— Do biegun! — rzucił uśmiechając się Pretwicze.

Ale słowa kapitana uczyniły wrażenie na gościach miss Alice. Zwłaszcza pani Hoopę, osóbką dość nerwową, przestraszyła się nie na żarty. Spoglądała przeto po obecnych swemi dużemi oczyma wylęknionego dziecka, jak gdyby szukając u nich słów uspokojenia. Miss Alice,

zazwyczaj tak wesoła, spoważniała nagle, gdyż sytuacja, w jakiej się znajdował „My Boy“. była więcej niż kłopotliwa. Nieodłączna towarzysza jej podróży, miss Tennyson, od paru dni cierpiąca z powodu wściekłego kołysania się statku na morską chorobę, patrzała przed siebie obojętnym, osowiałym wzrokiem, w którym malował się przestach i znużenie. Msr. Hoop, podszyty, zda się, nieco, tchórzem, nadrabiał miną, daremnie usiłując uspokoić siebie i swą, na serjo przerażoną żonę.

Dwoje tylko osób, prócz kapitana, zachowało zupełny spokój; byli to: Pretwicz i Ozari. Pretwicza, jako otrząskanego z niebezpieczeństwem, ta niepewna sytuacja statku, miotanego burzą po falach niezmiernego oceanu, zajmowała nawet i w głębi duszy czuł zadowolenie, iż wypadek ten dał możliwość takiemu, jak on, szczerowemu lądowemu, przyjrzenia się straszliwej lecz pięknej grozie rozpętanych żywiołów. Całe godziny, otulony nieprzemakalnym płaszczem, spędzał na pokładzie, rozkoszując się potęgą tajfunu. Z roziskrzonym wzrokiem wypatrywał na horyzoncie fal, biegnących w przerażająco szybkim pędzie ku statkowi. Z zainteresowaniem obserwował, jak fale, wzdymały się w potworne wały, pokryte pienistą grzywą, jak zbliżały się, rosnąc w oczach coraz więcej, pik wreszcie z ogłuszającym hałasem i szumem zwały się na statek, literalnie kładący się na bok pud ich ciężarem. Czasami w pobliżu statku spotykały się z sobą pę-

dzące z dwóch stron góry wodne, zmagając się z sobą, jak zapaśnicy na arenie cyrkowej.

Wracał pod pokład, przemoczony częstokroć do nitki, lecz wesół i promieniejący życiem. Dla niego, człowieka, który mając lat niespełna szesnaście, otrzymał pierwszy chrzest bojowy a zarazem i pierwsze zaszczytne odznaczenie, godziny spędzone na pokładzie w obliczu burzy, równoznaczne były z godzinami, przepędzonymi na polu bitwy. I tu i tam walka toczyła się na śmierć i życie.

Z obojętnością zatem przysłuchiwał się wywodom kapitana, a odezwanie się jego: „do bieguna“ było tylko dowodem niefrasobliwości, nigdy zaś sztucznej fanfaronady.

Ozari zdawała się zupełnie nie wiedzieć o szalejącej burzy. Była spokojną, jak gdyby znajdowała się w swej willi w Tokio, a nie na kruchej łupinie, pod którą ziała kilkuset metrowa przepaść wodna. Zresztą, zdaje się, nie miała czasu na zastanowienie się nad grozą położenia, gdyż zaraz pierwszego dnia podróży, gdy pierwsze podmuchy tajfunu skotłowały spokojną toń oceanu, musiała zająć się pielęgnowaniem cierpiącej miss Tennyson, o której w chwili niebezpieczeństwa zapomniała miss Alice, jak również i dwie pokojówki, snujące się po kajutach półprzytomne z przerażenia. Nie odstępowała zatem chorej prawie przez dwa dni, co niepomiernie irytowało Pretwicza. Wreszcie, gdy miss Tennyson przyszła nieco do

siebie pojawiły się obie w kajucie kapitańskiej, t.j. należącej do panny Hooward.

Pretwicz powitał pojawienie się Ozari niekłamanym wybuchem radości, co, zdaje się, zauważyli wszyscy, nie wyłączając zafrasowanej właścicielki statku, usiłującej napróżno od pewnego czasu skokietować majora.

I teraz widząc zachwycony wzrok Pretwicza, skierowany ku siedzącej obok niego pięknej japonce, miss Alice gryzła wargi, tłumiąc w sobie wzrastające wciąż niezadowolone.

Jakto... toż przecie on, Pretwicz jest powodem tej całej awantury z tajfunem. Sądziła, iż zapraszając go do wzięcia udziału w wycieczce do Sendai, będzie miała sposobność do oczarowania swemi wdziękami pięknego majora, a tymczasem Pretwicz, jak w tęczę patrzył wciąż w oczy Ozari, widząc, zda się, poza nią całego świata. Prawdziwie marynarskie przekleństwo zerwało się nagle z warg zawiedzionej w swoich rachubach amerykanki.

Wszyscy spojrzeli na nią wyczekująco.

-- No... — mruknął Smith, odrywając wzrok od mapy.

Miss Alice zmieszała się.

--- No... — powtórzył kapitan, będąc pewnym, właścicielka „My Boy‘a“ będzie usiłowała jeszcze raz przeforsować swe zdanie o konieczności skierowania się ku brzegowi.

Ale ją w obecnej chwili nie obchodził ni tajfun, ni też los ulubionego statku i ich wszystkich. Była złą na siebie, iż zaprosiła na wycieczkę Ozari.

Podniosła się przeto z trzcinowego fotelu, mówiąc.

— Rób co chcesz, kochany kapitanie! Czy pójdziemy na pełne morze, czy też ku brzegom lub, jak mrs. Pretwicz rzekł, ku biegunowi — wszystko jedno. Ja mam tego wszystkiego dosyć! — I rzuciwszy szybkie spojrzenie w stronę Ozari, dodała z błyskiem gniewu w oczach. — Obrzydliwy kraj... do południa pogoda, po południu tajfun! Licho wie, czego się trzymać!

Lecz Smith uczuł się temi słowami mocno dotknięty.

Licho wie! Niech sobie miss Alice przypomni, że na dwa dni przed wyruszeniem w tę nieszczęsną podróż raportował, że barometr „leci na pysk“ i, że on, Smith przepowiedział, że będzie burza, gdyż już od paru dni czuł niezwykle pragnienie, co u niego jest zazwyczaj oznaką zmiany pogody.

I jak gdyby dla zadokumentowania tego kapitan napełnił „whisky“ swą szklankę i opróżnił ją jednym haustem.

Wszyscy, nie wyłączając nawet będącej w złym humorze miss Alice, parsknęli śmiechem.

Kapitan obwiodł śmiejących się wejrzeniem swych poczciwych, nadaremnie przybierających wyraz srogości, oczu i przyłożywszy na pożegnanie dłoń do marynarskiej

czapki, opuścił kajutę, mrużąc pod nosem, niezbyt pochlebne dla „babskich rządów” epitety.

W tejże samej chwili, gdy kapitan zamykał za sobą drzwi, rozległ się głośny trzask, a w parę sekund później zmieszane okrzyki i nawoływania na pokładzie dały poznać, aż na górze stało się coś niezwykłego. Zanim siedzący w kajucie zdążyli porwać się ze swych foteli, „My Boy“ wstrząsnął się cały raz i drugi i, pochyliwszy się nieco dziobem naprzód, znieruchomiał.

W kajucie rozbrzmiały równocześnie dwa okrzyki przerażenia. Oba wybiegły z piersi małżeństwa Hoop, które tuliło się do siebie w śmiertelnym przestraszu. Miss Tennyson wytrzeszczyła na swą towarzyszkę okrągłe z przerażenia oczy, pojękując z cicha. Miss Alice zbladła i, powstawszy z fotelu, rzuciła się ku oknu, zalewanemu przez wznoszącą się wysoko falę.

Ozari w pierwszym odruchu chwyciła obu dłońmi rękę Prętwicza lecz, opamiętawszy się natychmiast, cofnęła je; lekki rumieniec zmieszania wykwitł na jej policzkach. Podniosła się z fotelu podeszła ku zdrętwiałej z lęku miss Tennyson. Prętwich jednym skokiem wypadł za drzwi. Z powodu nieczynności maszyny korytarz, wiodący ku schodom, prowadzącym na pokład, nie był zupełnie oświetlony i upłynęła dość długa chwila zanim natrafił po omacku na metalową po ręcz schodów. Wybiegłszy na pokład, oszołomiony został zrazu rykiem piętrzących się ze wszystkich stron fal, atakujących z zaciekłością nieru-

chomy statek. Półmrok zbliżającej się nocy i mgła nie pozwoliły mu w pierwszej chwili dostrzec kapitana. Po pewnym jednak czasie ujrzał go w tyle statku w otoczeniu młodszego oficera i paru ludzi załogi.

— Wpakowaliśmy się między dwa grzebienie jakichś podwodnych raf! — krzyczał Smith, przyłożywszy usta do ucha Pretwicza. — Siedzimy, jak między dwoma garbami wielbłąda! — dodał, podnosząc do ust świstawkę.

Rozległ się przeraźliwy gwizd... jeden... drugi i gromadka kupiąca się w tyle statku pędem pobiegła ku łodziom ratunkowym.

— Czy niebezpieczeństwo jest groźnem — zapytał Pretwicze, wyczekawszy moment, gdy uderzenia wichru i szum fal ucichły nieco.

— Phi! — machnąwszy ręką, odkrzyknął Smith.

— I niema i jest! Niema, gdyż narazie siedzimy „pięknie” i mniejsze fale nie ruszą nas z miejsca, lecz jeśli awantura potrwa dłużej, to również „pięknie” możemy pójść na dno. Najgorsze to, że absolutnie nie wiem, gdzie się znajdujemy!

— Co oznajmić paniom?

— Kazałem przygotować łodzie, lecz puszczenie się w nich, na takie fale, — to pewna śmierć! — objaśniał kapitan w dalszym ciągu sytuację.

— Hej! Humphry! No co... pudło całe? — zakrzyknął na wybiegającego z pod pokładu mechanika.

— Trochę przecieka lecz nic groźnego! — odkrzyknął tamten, biegnąc na przód statku.

— Więc co mam powiedzieć Paniom? — powtórzył Pretwicz, ujmując kapitana za ramię.

— Hm... babom! — skrzywił się Smith. — No... cóż... chodźmy je uspokoić. Na trwogę zawsze jest jeszcze czas! — dodał, biorąc Pretwicza pod rękę.

Pojawienie się ich w kajucie powitane zostało westchnieniem ulgi.

Smith w prostych, szczerych słowach odmalował położenie, zaznaczając, że jeśli orkan, jak się spodziewać należy, ucichnie nad ranem, to niebezpieczeństwo przestanie być groźnym.

— Więc obecnie istnieje ono jednak? — pisnęła rozpaczliwie miss Tennyson.

Smith, który ją niezbyt lubił, spojrzał w jej stronę niechętnie.

— Na morzu niebezpieczeństwo zawsze istnieje! — mruknął, zezując ku butelce „whisky”.

Miss Alice dostrzegła to.

— Posił się, kochany kapitanie! — zapraszała, napełniając szklanę. — Zapewne zaschło Panu gardło? — dodała, podając mu ulubiony przezeń napój.

Smith rozjaśnił twarz w radosnym uśmiechu.

— Ba! Nakrzyczałem się dość!

— Niech się państwo nie lękają! — zapewniał, stawiając na stole pustą szklankę. — Ręczę, że wyjdziemy z tej awantury cało!

— I mnie się tak zdaje — ozwała się Ozari, stojąca przy okrągłym oknie. — Mam wrażenie, że wichur się zmniejszył... a fale bodaj uderzają z mniejszą siłą.

Kapitan rzucił się ku oknu.

— Hurrah! — zakrzyknął. — Jesteśmy uratowani! Orkan rzeczywiście słabnie! Da się to spostrzec odrazu; tajfun, jak nagle przychodzi tak niemiernie nagle znika. O... spójrzcie Państwo tylko! Księżyc!

Wszyscy rzucili się tłumnie ku niemu. Nawet miss Tennyson, zapomniawszy o swej chorobie, jednym skokiem znalazła się przy oknie.

Pretwicz i Oztari pozostali sami przy stole, stojącym pośrodku kajuty.

— Podziwiałem Panią! — rzekł półgłosem Pretwicz, pochylając się lekko ku niej. — Nie widać było w Pani ni kruszyny lęku!

Ozari podniosła nań oczy.

— Lęku! — szepnęła nieco zdziwionym głosem — Przecież Pan był razem..!

I spostrzegłszy, iż niebaczne jej słowa zapalały łunę nagłej radości w oczach Pretwicza, zmieszana, zwróciła szybko wzrok w stronę okna.

— O czym tak Państwo konferujecie tajemniczo?
— ozwała się nagle miss Alice, zbliżając się ku nim i mierząc ich podejrzliwym nieco spojrzeniem.

— Cieszymy się, że „My Boy“ nie poszedł „pięknie” na dno, jak mówi nasz kochany kapitan odrzekł Pretwicz, podnosząc do ust jej dłoń. — Składam Pani z tego powodu serdeczne gratulacje dodał wesoło.

Wszyscy na wyścigi poczęli gratulować właścicielce „My Boy'a”.

Pretwicz usunął się nieco na bok.

— No... — myślał, patrząc w stronę Ozari — "My Boy“, jak „My Boy“, burza nie dała mu rady, ale ty, japońska dziewczyno, pograżyłaś mnie... na same dno!

W tej chwili wzrok jego napotkał świetliste promieniejące radością oczy Ozari. Wzburzone do niedawna morze uspakajało się coraz szybciej. Jeszcze trzy... cztery razy pienne grzywy ostatnich fal, osrebrzone poświatą księżycy, załśniły swą bielą w okienku kajuty, jeszcze parokrotnie, więcej uparta fala załomotała o ściany nieruchomego statku i nagle wszystko ucichło, jak gdyby szalejący przed pół godziną jeszcze tajfun był jeno snem lub wytworem chorej wyobraźni. Wszyscy, za wyjątkiem miss Tennyson, udali na pokład. Nawet bojaźliwa pani Hoop, pomimo namów męża nie chciała pozostać w kajucie, której, jak oświadczyła, miała już dosyć przez te dwa dni trwogi.

Zaledwie mrs. Smith ukazał się na pokładzie, podbiegł do niego młodszy oficer, oznajmiając, iż przed paru minutami dostrzegł na lewo od statku w oddali zarys jak gdyby lądu.

Kapitan chwycił za lornetkę i po pewnym czasie oznajmił uroczystym tonem, że mają przed sobą ziemię.

Istnie dziecięca radość ogarnęła całe towarzystwo. Młodzi małżonkowie, nie zwracając na obecnych uwagi, ucałowali się serdecznie raz i drugi zapewne z radości, że nareszcie po tylu dniach przestachu znajdą błogi spokój na poczciwym, nieruchomym lądzie. Nawet miss Alice, która inaczej sobie wyobrażała wycieczkę do Sendai, była zadowolona z takiego obrotu rzeczy.

Wyłuszczyła więc natychmiast swój plan gościom. Oto jutro wszyscy udadzą się łodziami na ląd i pociągiem wyruszą do Tokio. Podróż ta będzie miała tę dodatnią stronę, że pozna się więcej kraj. Zresztą innej rady niema. Czekać na sprowadzenie jachtu na wodę, a później znów na naprawę pękniętego wału lub ewentualnie wlec się pod żaglami taki szmat drogi nie należy do rzeczy przyjemnych. O „My Boy“a“ niechaj troszczy się mrs. Smith i załoga.

Rzeczywiście, projekt miss Alice był jedynym sposobem zlikwidowania nieszczęsnej „fatałaszki“, jak ją nazywał kapitan, wyprawy do Sendai. Tymczasem niebo oczyściło się całkowicie z zasnuwających je dotąd chmur i przy nikłym nawet blasku księżyca wyraźnie widać było

nieuzbrojonym w szkła okiem czarną linię, obrzynającą się twardym konturem na zachodniej stronie nieba.

Kapitan Smith przyłożył jeszcze raz lornetę do oczu.

— Zupełnie blisko — mruknął po chwili. — Za półtorej godziny można być motorówką tam i z powrotem. Hej! — zakrzyknął do młodszego oficera. — Każ pan przygotować motorówkę! Bocman i dwóch majtków pojedzie ze mną! Żywo!

Zadudniły żelazne stopnie schodów pod stopami, zbiegającego z kapitańskiego mostku oficera i w parę chwil później rozległ się przejmujący zgrzyt łańcuchów, na których kołysała się łódź motorowa.

- Kapitanie... pojedę z Panem! — ozwał się Pretwicz. — Ciekawy jestem przekonać się, dokąd nas losy zagnały.

— Bardzo będę rad z pańskiego towarzystwa, majorze! Ale mogę Pana już teraz upewnić, że to nie będzie biegun, o którym wspomniałeś przed godziną — zaśmiał się kapitan wesoło.

--- A gdyby? — ozwał się przekorny głos Ozari.

--- Ha... tem lepiej! — przekomarzał się kapitan. Urządzilibyśmy jutro polowanie na foki lub białe niedźwiedzie i zamiast fatalaszków z Sendai, przywiozłyby Panie do Tokio drogocenne futra!

— Ha! Ha! — śmiał się, pakując swą korpulentną postać w płaszcz, jaki mu przyniesiono z kajuty.

— Ale... może która z Pań zechce mi towarzyszyć?
— zaproponował uprzejmie. — Przejazdźka potrwa najwyżej dwie godziny. Na kolację wrócimy punktualnie!

Miss Alice rzuciła wzrokiem na stojącą obok niej Ozari, będąc pewną, że japonka, o której sympatji dla pięknego majora była przekonana, skorzysta skwapliwie z zaproszenia, aby znaleźć się prawie sam na sam z Pretwiczem przez te dwie godziny przejażdżki, lecz Ozari stała spokojnie, nie zdradzając niczem chęci opuszczenia jachtu.

Uspokojona zatem, miss Alice wzruszyła ramionami.

— Nie... żadna z nas, kochany kapitanie, nie ma ochoty jakoś od odkrywania nowych lądów. My, kobiety jesteśmy cierpliwsze od was... i doprawdy ta jazda nie ma sensu, gdyż, poczekawszy do jutra, również dobrze zaspokoilibyście swą ciekawość, Panowie!

Kapitan pominął milczeniem te słowa i zabrawszy majora, skierował się ku lewej burcie, gdzie kołysała się trzymana na linach motorówka.

Pretwicz, pożegnawszy panie, udał się za nim.

Już siedzieli w łodzi i bocman miał dać znak, aby spuszczone Liny, gdy mrs. Smith zerwał się z ławki, jak oparzony.

— Ba! — zakrzyknął. — A jeśli to jakaś mała wysępka, na której nie znajdziemy nikogo, by móc się rozmówić po angielsku? Panno Ozari! Panno Ozari! Niechaj

się pani prędko ubiera! Pojedzie pani z nami w charakterze ewentualnego tłumacza.

Z poza burty wychyliła się głowa japonki.

— Zaraz! — odkrzyknęła Ozari i znikła, udając się do swej kajuty.

Miss Alice zdawało się, że w głosie japonki zabrzmiała nuta żywej radości.

Amerykanka zagryzła gniewnie wargi. Zła była na siebie, iż nie skorzystała z poprzedniego zaproszenia kapitana. Teraz jest już za późno! God dam!

Ozari ukazała się na pokładzie, zapinając po drodze płaszcz.

Miss Hovard nie mogła się powstrzymać, aby nie ozwać się do japonki z przekazem.

--- Ależ pośpieszyła się pani!

Ozari odczuła ironję w słowach amerykańki.

--- Czekają! — odrzekła sucho, wchodząc na sznurową drabinkę, kołyszącą się jak nić pajęcza u burty statku.

Za chwilę łódź, omijając ostrożnie wylaniające się z pod wody kamienie, pędziła szybko ku widniejącej w oddali linji brzegu.

Kapitan próbował rozmawiać, lecz warkot motoru i huk śruby, rozbijającej toń wody, głużyły słowa. Dał przeto za wygraną i, okutawszy się szczelnie w płaszcz, ćmił swe nieodłączne cygaro.

Pretwicz siedział na wąskiej ławeczce, mając tuż obok siebie Ozari. Czuł ciepło jej ciała i lekki zapach perfum, jakimi nasycony był futrzany kołnierz jej płaszcz. Łódź, przecinając od czasu do czasu ukosem biegnące fale, kołysała się za- wzięcie. Co chwila ramię Ozari dotykało jego ramienia i wówczas przenikał go jakiś dziwny, nieznan mu dotąd dreszcz.

Łódź pochyliła się nagle w jego stronę. Ozari chcąc utrzymać równowagę wyciągnęła lewą rękę ku niej i chwycił jej rękę i zatrzymał w swej dłoni. Ozari zwróciła wzrok ku niemu. Mimo mroku dostrzegł najwyraźniej radosny, jak mu się zdało, uśmiech, przewijający się przez rozwarłe nieco wargi japonki. Pochylił się ku niej i drżącym ze wzburzenia głosem szepnął do jej ucha słowo: „kocham”. W zapale wyrzekł je w swym rodzimym języku i spostrzegłszy to, otworzył już usta, aby powtórzyć je po angielsku, lecz Ozari, oderwawszy od burty swą prawą rękę, położyła ją miękko, pieszczotliwym ruchem na jego dłoni. Pretwicz wstrząsnął się pod tym dotknięciem i błyskawicznym ruchem podniósł jej dłoń do ust.

Wpił się w nie głodnymi wargami. Ozari: oderwała swe dłonie, wskazując ruchem głowy siedzącego przed niemi kapitana.

Oprzytomniał, lecz nie wypuścił jej rąk z swych dłoni. Ozari potrząsnęła kilkakrotnie głową, jak gdyby karząc go, lecz w tymże samym momencie na ustach jej igrał

pogodny uśmiezek, a ramię pięknej japonki wsparło się silnie na jego ramieniu.

Dopływano już do brzegu. Łódź szła powoli, lawirując bezustannie wśród gromadnie sterczących z pod powierzchni wody kamieni i skał.

Warkot motoru i szum rozbijanych śrubą fal przycichł znacznie.

Kapitan, korzystając z chwilowej ciszy odwrócił się ku nim.

— Sądzę — ozwał się, wyjmując z ust cygaro — że znajdujemy się na północnym krańcu wyspy Jezo. Zdziwia mnie tylko obfitość tych raf pod? wodnych. O ile pamiętam z map nie powinno ich tu być tyle. Pani nie zna tych okolic? — zapytał, wskazując ruchem głowy, odległą o kilkadziesiąt zaledwie metrów linię brzegową.

— Nie... nigdy tu mnie byłam, — odparła Ozarr, usiłując wyswobodzić swe ręce z uścisku dłoni Pretwicza.

Ten pochylił się ku kapitanowi.

— Za parę minut dowiemy się! — rzucił wesoło.

Kapitan wzruszył ramionami.

— Nie zdaje mi się, żeby nam to tak łatwo przyszło. Brzeg wygląda na zupełnie niezamieszkały... patrz pan... ni chaty... ni ognia i jeźeli.

Słowa jego przerwał nagły okrzyk od strony brzegu Ozari energicznym ruchem oswobodziła swe ręce z uścisku dłoni Pretwicza i, powstawszy z ławki pochyliła się

ku przodowi łodzi, wspierając się ręką o szerokie plecy kapitana.

Okrzyk zabrzmiał po raz drugi i trzeci.

Ozari odrzuciła się w tył, jak pociskiem rażona i, chwytając za rękę siedzącego tuż poza nią przy sterze bocmana, zakrzyknęła rozpaczliwie.

— Zawracać. Natychmiast zawracać!

W głosie jej było tyle lęku i nakazu, że bocman, bez namysłu przełożył ster, zamierzając skrócić w lewo tuż koło brzegu. Zapóźno jednak. Dziób łódki uderzył lekko o brzeg i równocześnie zamilkł warkot motoru.

Kilkanaście ciemnych postaci, pochyliwszy się z brzegu, pochwyciło rękami burtę łodzi, przyciągając ją bokiem do lądu.

Zanim załoga łodzi zdołała zorjentować się w sytuacji, znalazła się już na lądzie, otoczona kołem ludzi, których na pierwszy rzut oka, wziąć można było za rybaków.

Jeden z nich zamienił parę słów z Ozari, rozejrzał przy świetle kieszonkowej lampki elektrycznej twarze Pretwicza, Smitha i marynarzy. Po chwili na dany przezeń znak cały orszak ruszył w głąb lądu.

Pretwicz zauważył, iż za nim i Ozami uplasowało się dwóch tęgich drabów w skórzanych kurtkach i ceratowych rybackich kapeluszach. Za nimi szedł Smith z niedławnym cygarem w ustach oraz bocman, mając również za swemi plecami paru opiekunów. Pochód zamykali marynarze i spora garść rybaków. Na czele pochodu w

odległości kilkunastu kroków od Pretwicza i japonki, kroczył ów osobnik, który poprzednio rozmawiał z Ozari i który, jak wnioskować należało, był przywódcą tych ludzi.

Pretwicz, oszołomiony nieco tem wszystkim, pochylił się ku swej towarzyszce, chcąc ją zapytać kim są wiodący ich ludzie, lecz Ozami, uprzedzając jego zamiar, przyłożyła palec do swych ust, nakazując Pretwiczowi temsamem milczenie.

Następnie, udając, iż potknęła się raz i drugi na nierównościach gruntu, wsunęła swą rękę pod ramię Pretwicza i ujawszy jego rękę, ścisnęła ją znacząco w swej dłoni. Po chwili Pretwicz uczuł, że usta jej dotknęły lekko jego ucha. Wionął cichy, ledwo dosłyszalny szept jej słów.

-- Niech Pan nie zdradzi się z tem, że jesteś wojskowym attache!

Słowa Ozari zadziwiły Pretwicza. Nie odrzekł jednak nic i dopiero po chwili, gdy poczęto schodzić z jakiejś pochyłości i okruchy zwietrzałych skał, potrącane stopami idących, poczęły się toczyć z lekkim szelestem w dół, pochylił się ku Ozari i szeptem zapytał ją o powód tego dziwnego zakazu.

Lecz Ozari potrząsnęła tylko głową, dając mu jednocześnie znak, by milczał.

Droga biegła coraz więcej stromem zboczem w dół. Kilkakrotnie Pretwicz musiał silnie podtrzymywać Ozari,

gdyż ścieżka, którą kroczył orszak, zavalona była złomami skał. W jednym z takich przejść Ozari, korzystając z tego, iż załom skały, wokół którego zakręcała nagle ścieżka, skrył ją i Pretwicza na chwilę przed wzrokiem konwojujących, rzekła szybko:

— Oddaj mi pan natychmiast swój portfel! Za? pewne jest w nim pański paszport dyplomatyczny? Tak? Daj go pan!

Pretwicz bez słowa sprzeciwu wyjął z bocznej kieszeni marynarki portfel i wręczył go Ozari.

Ta szybkim ruchem rozchyliła płaszcz i ukryła portfel na piersiach.

Pretwicz coraz więcej zdumiony, przysunął się ku niej bliżej i chwycił ją za rękę.

— Co to wszystko znaczy? — wyszeptał.

— Nie pytaj pan o nic! — odrzekła, oglądając się trwożliwie w stronę, skąd za chwilę mieli ukazać się konwojujący. — W razie badania mów pan, iż podróżujesz dla przyjemności. Ani słowa pańskim stanowisku dyplomatycznym! Inaczej... - umilkła nagle, nad słuchując.

--- Inaczej... co? — dopytywał Pretwicz, cisnąc gwałtownie jej dłoń.

--- Inaczej... śmierć! — po chwili krótkiego washania wyszeptała Ozari, biorąc go pod rękę i prowadząc śladem kroczącego przed nimi przewodnika.

W tej chwili trzech konwojujących ukazało się poza załomem, zbliżając się spieszenie ku nim.

-- Ani słowa więcej! — ostrzegła go szeptem Ozari.

Pretwicz zagryzł wargi. Sytuacja, w jakiej się znaleźli pasażerowie „My Boya“, była tak dziwną, mimowoli trzeźwy, logiczny jego umysł począł zastanawiać się nad wypadkami, rozgrywającym się szaloną szybkością od kilkunastu zaledwie minut i analizować je szczegółowo. Więc naprzód: co znaczył ten rozpaczliwy okrzyk Ozari, tam, w łodzi, nawołujący do powrotu? Czyżby te parę słów, jakie tajemniczy ludzie z brzegu wykrzyknęli, były pewnego rodzaju ostrzeżeniem? Kim są ci ludzie, którzy prawie bez słowa zagarnęli ich i wiodą w głąb lądu, niewiadomo dokąd i po co? Co znaczą ostatnie słowa Ozari ostrzegające go przed wyjawieniem tym ludziom jego stanowiska? I ten portfel... to troszczenie się japonki o jego dokumenty osobiste, a wreszcie zapowiedź, iż w razie zdemaskowania jego czy też wszystkim? Pretwicz chwycił jedną myśl po drugiej, przeżuwał je w mózgu i wreszcie rzucał, nie mogąc znaleźć na nie odpowiedzi.

Spojrzał na towarzyszkę. Ona wie... bezwątpienia wie, co to wszystko znaczy! Lecz czemu, na miłość Boga, oblicze jej ścięło takie przerażenie, a w oczach, w tych świetlistych, patrzących zazwyczaj pogodnie oczach, czaj się straszliwy niepokój i zgroza. Drży również cała, a dłoń jej chłodna jest, prawie zimna, jak u ludzi, którym lęk ściał krew w żyłach.

Skończyła się wreszcie urwista ścieżka i orszak cały wyszedł na równinę. Przed wzrokiem idących zarysowały się nagle ciemne kontury niskich zabudowań, oświetlone okna których świeciły wesołym blaskiem.

Pretwicz wyteżył wzrok; poza zabudowaniami w pewnej od nich odległości rozciągała się, jak okiem sięgnąć biała płaszczyzna, do złudzenia przypominająca zaśnieżone pole.

Wyciągnął rękę, wskazując widok ten towarzysze. Ozari pochyliła się ku niemu.

— Nie dziwić się niczemu i niczem się nie interesować! — szepnęła, a w głowie jej brzmiała nuta głębokiej prośby.

Pretwicz skinął głową, na znak, iż zastosuje się do jej woli, chociaż w głębi duszy burzył się przeciwko temu wszystkiemu.

Stanęli pod murem, okalającym zabudowania. Wąską furtą, przy której, jak gdyby na straży, stał uzbrojony w karabin osobnik, przedostali się wewnątrz zabudowań. Jeszcze kilkanaście kroków znaleźli się w oświetlonej paroma lampami elektrycznymi sali, pustej zupełnie. Przywódca zwrócił się do Ozari i po paru minutowej z nią rozmowie wyszedł. Ozari znakami wskazała swym towarzyszom brzeg niskich, plecionych z trzciny taboretów, stojących wokół niewielkiego stołu.

Smith z głośnym westchnieniem ulgi usiadł, wyciągając daleko przed siebie strudzone nogi. Ozari, zajawszy

miejsce obok niego, ruchem ręki wskazała Pretwiczowi stojący w pobliżu taboret. Bosman i dwaj marynarze przysiedli pod jedną ze ścian. Pretwicz nie mógł powstrzymać uśmiechu, patrząc na wytrzeszczone oczy Smitha, który, nie wiedząc o co chodzi, wodził zdumionym wzrokiem, to po swych towarzyszach, to po grupie rozmawiających, którzy zajęli miejsce przy drzwiach. czasu do czasu wzrok jego zatrzymywał się dłużej i na twarzy Ozari, jak gdyby poczciwy kapitan oczekiwał od niej wytłumaczenia tych wszystkich dziwnych wydarzeń, lecz, jak zauważył Pretwicz, japonka unikała najwyraźniej pytającego wzroku Smitha, odwracając odeń głowę.

Pretwicz począł obserwować grupę konwojujących. Byli to mężczyźni w sile wieku, odziani wszyscy w jednakowe skórzane kurtki i szerokie ceratowe kapelusze. Stali, milcząc, nie zwracając zda się na pozór, najmniejszej uwagi na powierzonych im więźniów, lecz Pretwicz był pewnym że mi jeden, ruch pasażerów „My Boya“ nie uszedł uwagi ich skośnych oczu.

Nagle rozwarły się drzwi, w których przed paru minutami znikł przywódca konwoju i do sali wszedł szczupły, zgarbiony nieco mężczyzna, na widok którego konwojenci, stojący dotąd w pozach niedbałych, wyprostowali się, jak żołnierz na placu musztry.

Za przybyłym szedł przywódca konwoju, który od progu wskazał ręką na Ozari.

Na widok wchodzącego Pretwicz omal, że ni wydał głośnego okrzyku zdziwienia.

Przybyłym był jeden z wyższych oficerów garnizonu tokijskiego, którego Pretwicz widział parokrotnie na oficjalnych paradach i przeglądać wojskowych.

Jakkolwiek major nie znał go osobiście, jedna pierwszą jego myślą był zamiar przedstawienia się przybyłemu, powołując się na swe stanowisko i zakończenia w ten sposób wszelkich perypetji. Lecz równocześnie przypomniał sobie ostrzeżeń Ozari, zabraniające mu wyjawiania swego nazwiska funkcji, jaką pełnił przy poselstwie oraz fakt zabrania i ukrycia przez japonkę jego portfelu.

Porzucił przeto natychmiast swój pierwotny zamiar i, obserwując przybyłego, zadawał sobie w duchu pytanie, czy zostanie przez niego poznany. Lecz przybyły, obwiódłszy pasażerów „My Boy'a“ spokojnem spojrzeniem, zwrócił się do Ozari, zadając jej parę pytań w ojczystym języku.

Japonka poczęła mu coś szeroko tłumaczyć, wskazując ręką na swych towarzyszy. Pretwicz słowach jej dosłyszał kilkakrotnie wymienione nazwisko miss Hoovard, Smitha, państwa Hoope, miss Tennyson oraz nazwisko jakiegoś Jamesa Brunsa. Właśnie głowił się nad zagadką, kto może być owym Jamesem Brunsem, gdy nagle uchwycił spojrzenie Ozari, która kilkakrotnie powtarzała owe nazwisko, wskazując na niego. Wówczas zrozumiał. Owym Brunsem miał być on. Dlaczego Ozari, wymieniwszy prawdziwe nazwiska pasażerów „My Boya“, za-

tała jego nazwisko, chrzcząc go natomiast tajemniczym „Brunsem“, nie zdawał sobie Pretwicz sprawy, lecz rozumiał, że tylko ważne powody mogły skłonić japonkę do tego kroku. Postanowił przeto grać rolę, jaką przeznaczyła dlań Ozari, najwidoczniej, jak zauważył, denerwująca się tem, czy zdołał on „zrozumieć jej intencje. Uchwyciwszy zatem moment, kiedy dwaj japończycy przerzucali się cichymi słowami, nie zwracając na uwięzionych uwagi, pochylił kilkakrotnie lekko głowę, uśmiechając zarazem do Ozari.

Z oczu japonki strzelił błysk radości. Przysunąwszy się ku rozmawiającym, wdała się z nim w szybką i, jak się zdawało, gorącą dysputę. Ten, w którym Pretwicz poznał wojskowego słuchał, bez, słowa, od czasu tylko do czasu obrzucając bystrym spojrzeniem Pretwicza, Smith i marynarzy. Na twarzy jego malowała się obojętność i kamienny spokój, tak właściwy synonim kraju „Wschodzącego Słońca“.

Wreszcie wzruszył ramionami i wyrzekł parę słów do stojącego obok przywódcy konwoju. Ten skinął na stojących nieruchomo jak karjatydy swych ludzi, którzy na znak ten skierował się ku pasażerom „My Boya“.

Pretwicz zerwał się z miejsca. Jakkolwiek nie rozumiał on ni słowa z rozmowy, toczonej przez Ozari z wojskowym oraz przywódcą konwoju, jakkolwiek nie miał najmniejszego nawet wyobrażenia w czyich rękach znalazł się wraz z towarzyszami, pojął jednak, że w całym

splocie tych dziwnych wydarzeń nadchodzi decydująca chwila.

Nagle groźny okrzyk Ozari powstrzymał zbliżających się ku niemu drabów.

Dwaj przywódcy, rozmawiający z nią przed chwilą, utkwili zdumiony wzrok w wyprostowanej dumnie postaci japonki.

Ozari stała pośrodku sali, trzymając w palcach, wzniesionej ku górze dłoni mały przedmiot, z wyglądu podobny do dużej monety.

Przywódcy rzucili się ku niej. Starszy z nich, przyrzawszy się utrzymanemu przez japonkę przedmiotowi, schylił przed nią głowę, jak gdyby skłaniając się głęboko. Towarzysz jego uczynił to samo.

Ozari obwiodła ich obu spojrzeniem, w którym przebijало poczucie władzy. Skinęła na nich i skierowała się ku drzwiom. Japończycy udali się za nią bez słowa sprzeciwu. Konwojenci wrócili na we miejsca, lecz nie zachowywali się teraz tak już milcząco, jak przedtem. Zbili się w gromadkę, szepcząc między sobą i rzucając na pasażerów

"My Boya" ciekawe i jak gdyby pełne uszanowania spojrzenia.

Nieobecność Ozari trwała dość długo. Pretwicz poczynał się już niecierpliwie na dobre, co się zaś tyczy Smitha, to ten, oparłszy się plecami o ścianę, drzemał bez ceremonji, nie wypuszczając z ust fajki.

Wreszcie drzwi rozwarły się i Ozari, stanąwszy w nich, wezwała ruchem ręki Pretwicza i Smitha.

Przebudziwszy drzemiącego w najlepsze kapitana, Pretwicz w raz z nim przeszedł do pokoiku, w którym prócz Ozari znajdowali się obaj japończycy.

Pretwicz zauważył, że oblicze Ozari, mimo śladów zmęczenia i zdenerwowania promieniało od blaskami zadowolenia i triumfu. Wskazawszy im miejsca obok siebie, japonka poczęła ich wtajemniczać w sytuację.

Oto, ni mniej ni więcej, są uwięzieni przez bandę przemytników, której przewodzą ci dwaj właśnie, siedzący za stołem ludzie. Zrozumiałem jest zupełnie, że przemytnicy, jako jawnie kolidujący z prawem, żadną miarą nie mogą zezwolić na to, aby ich kryjówka została zde-maskowana. Dlatego też zamyślali zrazu rozstrzelać przybyłych, którzy wypadkiem odkryli tajemnicę, lecz na skutek jej prośby zgodzili się na przywrócenie więźniom wolności. Postawili jednak jeden warunek, który, jak ona, Ozari, mniema, przyjmie zarówno i mister Bruns i kapitan. Oto łodzie przemytników przewiozą dzisiejszej jeszcze nocy pasażerów i załogę „My Boy’a“ na ląd, a jutrzejszej nocy, wsadziwszy wszystkich na swój statek, odwiozą do Jokohamy, lub do jakiego innego portu na brzegach Japonji. Co się zaś tyczy „My Boy’a“, to przemytnicy zobowiązują się swemi siłami ściągnąć go z raf i dostarczyć w ciągu paru dni do wskazanego przez kapitana Smitha portu. Są to warunki, od których przywódcy

odstąpić w żadnym wypadku nie mogą, mając na względzie swe własne bezpieczeństwo.

W zakończeniu Ozari oznajmiła, iż przemysłowcy upoważnili ją do oświadczenia, że w razie przyjęcia podanych przez nich warunków ani jeden włos nie spadnie z głów podróżnych i majątek ich, znajdujący się na „My Boy“u“ nie dozna najmniejszego uszczerbku. Gdyby jednak podróżni nie chcieli się zgodzić na owe warunki, to przemysłowcy postąpią z nimi według swego uznania, nie rękując nawet za ich życie.

Przez cały czas rozmowy Ozari starszy z japończyków kiwał przytwierdzająco głową, zwłaszcza w tych miejscach, gdy japonka akcentowała konieczność przyjęcia warunków bandy. Z zachowania się jego wynikało, że język angielski nie jest mu zupełnie obcym.

Pretwicz przyjrzał mu się teraz dokładnie. Nie, nie pomylił się wówczas, gdy wziął go za znanego sobie z widzenia wojskowego. Tak... be z wątpienia nie mylił się! Przypomina sobie teraz wybornie tę skupioną w sobie, nieco do sępiej podobną, twarz jego. Widział ją na paradzie wojskowej w dniu imienin Mikada. Naturalnie, nieco inaczej wyglądał wówczas w swym czarnym, suto złotymi galonami szamerowanym mundurze i w kepi z czerw nobiałym pióropuszem, niż w tej ceratowej kurtce, przepasanej zwykłym rzemiennym pasem, u którego wisi. futaerał rewolweru! Ale to jest ten sam oficer z Placu Broni w Tokio.

Upewniwszy się w tem, Pretwicz zrozumiał, iż ślepy traf postawił go w obliczu jednej z największych bodaj tajemnic, jakie kiedykolwiek miały miejsce w kraju Wschodzącego Słońca. Pojął on również i, to, że w razie odkrycia jego prawdziwego nazwiska ci dwaj pseudo przemytnicy bez chwili wahania skończyliby z nim od razu. Naturalnie, unicestwiając go, musieliby równocześnie unicestwić również i wszystkich pasażerów „My Boy’a“ wraz z jego załogą, lecz, byt pewnym, że japończycy nie cofnęliby się przed tym okrutnym krokiem. Niedarmo Marcready, zaznajamiając go w „Klubie Dyplomatów” z charakterem ludzi Wschodu, a zwłaszcza synów kraju „Wschodzącego Słońca”, określał ich mianem najbardziej bezwzględnych na świecie istot. Nie ulega najmniejszej przeto wątpliwości, że w razie potrzeby „przemytnicy” wymordują wszystkich na „My Boy’u”, zaś sam statek zatopią, zacierając temsamem wszelkie ślady tak podróży, jak i jachtu.

— Pójdzie to wszystko na karb tajfunu i już nikt na świecie nie ujrzy ni nas, ni też „My Boy’a”! — zakonkludował w myśli i postanowił wywieźć w pole chytrych japończyków.

Rzekł przeto najbardziej obojętnym, na jaki się mógł zdobyć tonem, iż przyjmuje wszelkie warunki, jakie przed chwilą szanowni gentlemani zakomunikowali i jemu i kapitanów za pośrednictwem miss Ozari, prosi tylko, aby odwieziono go jak najprędzej do Jokohamy, gdyż czekają

tam nań pilne handlowe sprawy, co do załatwienia których, ze względu na to, że wycieczka do Sendai, miała potrwać tylko dwa dni, nie zostawił żadnych dyspozycją. Jest również z góry przekonany, że wszyscy podróżni, nie wyłączając i miss Alice Hooward, będą tego samego co i on zdania. Co się zaś tyczy załogi „My Boy‘a“, to on nie ma tu nic do powiedzenia, gdyż nie jest właścicielem statku. Zresztą głos w tej sprawie należy się w pierwszym rzędzie kapitanowi Smith, jako faktycznemu dowódcy statku.

Słowa jego przyjęte zostały przez Japończyków z widocznym zadowoleniem. Spojrzenia ich skierowały się teraz ku Smithowi, który robił wrażenie niezbyt orjentującego się w sytuacji.

Wodził on wciąż wzrokiem od Ozari do Pretwicza, jak gdyby nie wiedząc co powiedzieć i jak postąpić!

Wreszcie po namyśle rzekł, zwracając się ku Ozari.

— Niechaj pani zapyta tych panów, gdzie my faktycznie znajdujemy się obecnie? Czy na wysokości Jezo, czy też...

Słowa jego przerwał starszy z japończyków, używając całkiem poprawnej angielszczyzny.

— Statek Pana, kapitanie, osiadł na jednej z raf, okalających mało znaną wysepkę na morzu Peczili. To wszystko, co mogę panu powiedzieć! — dodał z naciśkiem, marszcząc swe krzaczaste brwi.

Smith wybałuszył na niego oczy, w których malowało się bezgraniczne zdumienie.

— Jak to? — wyjąkał po chwili — Na Peczili? Przecież „My Boy“ znajdował się u wschodnich brzegów! Jakimże więc sposobem znalazł się w tych okolicach.

Japończyk skrzywił usta, co zapewne miało znamionować uśmiech.

— Bardzo prostym — rzekł, wzruszając lekko ramionami. — Tajfun zniósł was na zachód, zapewne przez cieśninę między Jezo, a wyspą Urup... dziękować wam tylko należy trafowi, iż nie rozbiliście się w tak wąskim przejściu! Rzeczywiście szczęśliwy nader traf!

Smith na chwilę zaniemówił. Jego doświadczenie marynarskie nie pozwalało mu wierzyć, by statek bez woli dowódcy i załogi mógł przebyć tę wąską, krętą i dość długą cieśninę; nie roztrzaskawszy się o pierwszą lepszą skałę lub podwodny kamień, jakimi gęsto usiana jest wspomniana przez japończyków cieśnina.

— To niemożliwe! — zakrzyknął, trzęsąc energicznie głową.

— A jednak tak było! — powtórzył suchym tonem japończyk. — Z powodu ciemności i nawałnicy nie dostrzeżliście brzegów, a co do faktu przebycia cieśniny, to nie przeczę... wypadek to rzeczywiście niezwykły, podobny raczej do cudu, niż do rzeczywistości.

Kapitan otworzył usta, chcąc jeszcze przemówić, lecz japończyk, dostrzegłszy to, dorzucił, akcentując dobitnie każde słowo.

— Zresztą... wszelkie starania Pańskie celem przekonania się, gdzie się znajdujecie, nie wydadzą żadnego rezultatu i dlatego dalszą rozmowę na ten temat uważam za bezcelową. Natomiast proszę oświadczyć się wyraźnie, czy Pan, jako dowódca jachtu przyjmuje nasze warunki, czy też nie? Daję Panu trzy minuty czasu do namysłu!

Pretwicz, korzystając z momentu, kiedy Smith spojrział na niego, skinął głową na znak, iż propozycje japończyka przyjmując należy.

— Przyjmuję! — rzekł kapitan, mrugnawszy porozumiewawczo ku Pretwiczowi.

Japończyk skinął obojętnie głową, jak gdyby konstatając, iż w takim razie wszystko jest w porządku i, zwróciwszy się do Ozari, począł z nią rozmawiać półgłosem. Stojący obok towarzysz jego dorzucał co chwila do rozmowy parę słów. Rozmowa stawała się miejscami bardzo gorąca. Ozari zrazu trzęsła z uporem głową, jak gdyby sprzeciwiając się czemuś, lecz po chwili, przekonana widocznie wywodami japończyka, uspokoiła się.

— Kochany kapitanie! — zwróciła się do Smitha. — Wolą tych Panów jest, abym udała się na „My Boy‘a“ i, mając rozkaz Pański w ręku, załatwiła sprawę sprowadzenia tutaj pasażerów i załogi jachtu. Panowie i maryna-

rze, którzy z nami przybyli, pozostaną tutaj. Proszę więc Pana, kapitanie, o skreślenie paru słów stosownej treści do Pańskiego zastępcy na jachcie.

— Pani sama uda się na „My Boy‘a“? — z niepokojem w głosie zapytał Pretwicz?

Japonka roześmiała się wesoło.

— Proszę się o mnie nie obawiać! Pojadę pod dobrą eskortą i pod jej opieką sprowadzę tutaj naszych przyjaciół. Dowidzenia!

Skinęła głową Pretwiczowi i zwróciła się do Smitha, z przypomnieniem o napisanie polecenia.

Kapitan skreślił parę słów na kartce, wydartej z notatnika i wręczył ją japonce.

— Dowidzenia! — rzekła ta jeszcze raz i zwróciła się ku oczekującym na nią japończykom. — Starszy z nich, wziął z jej dłoni kartkę, przebiegł jej treść szybko oczyma i bez słowa zwrócił ją Ozari. Podniósł się z krzesła i rzucił parę słów towarzyszowi. Ten poskoczył ku drzwiom, znakiem ręki przywołał jednego z konwojentów i począł doń szeptać półgłosem, wskazując ruchem głowy Pretwicza i kapitana oraz pozostałych w sali marynarzy. Następnie zwrócił się do Pretwicza.

— Panowie zechcą udać się za tym oto człowiekiem do pokoju, przeznaczonego dla nich na spoczynek! Trochę może będzie Panom niewygodnie — dodał, odsłaniając białe zęby w uśmiechu — lecz trudno! Jak Panowie widzicie, przytulisko nasze nie jest zbyt komfortowe... w

każdym razie jednak postaramy się, by Panom zapewnić jakie takie wygody. Życzę dobrej nocy!

Skłonił się im wytwornie, zapraszając jednocześnie ruchem ręki do wyjścia.

V.

Pokoik, do którego zawiódł ich konwojujący, znajdował się na piętrze budynku. Dwa żelazne łóżka, stół, parę taboretów i umywalnia stanowiły jego całe, więcej niż skromne umeblowanie. Jedyne okno znajdujące się w nim było otwarte i przesłonięte białą płócienną zazdrostką.

Konwojujący, skłoniwszy się im, wyszedł, przymykając za sobą drzwi.

Smith, przeczekawszy parę minut, przysunął się do Pretwicza, stojącego obok okna. Patrzyli razem w ciemną dal, z której dobiegał szum i łoskot uderzających o przybrzeże morskich fal.

— To wszystko jest kłamstwem! — szepnął wreszcie Smith, pochylając się ku majorowi. — To nie są przemytnicy! — dodał tonem głębokiego przekonania.

Pretwicz spojrzał nań pytająco.

— A tak! — potwierdził Smith, przysuwając taboret i siadając na nim. — Ten niby ich przywódzca jest ignorantem w dziedzinie geografji, co nie licuje zupełnie

z jego stanowiskiem przemysłowca. Ci ludzie zazwyczaj orientują się wybornie tak na lądzie, jak i na morzu.

— A ten! — zapytał Pretwicz siadając na parapacie okna.

Kapitan machnął lekceważąco ręką.

— Idjota! Kompletny idjota! — zakrzyknął — Twierdził, na przykład, że tajfun przeprowadził nas przez cieśninę między wyspą Jezo, a Urup! Zrazu nie połąpałem się w sytuacji, lecz po chwili już przypomniałem sobie, że Urup jest trzecią z kolei wyspą na Kurylach, oddzieloną od Jezo wyspami Iturup i Kunaszyr... więc nie może istnieć cieśnina między Urup, a Jezo. Po drugie — Smith wybuchnął głośnym śmiechem — zatoka Peczili znajduje się przy brzegach Chin, oddzielona od Japonji cieśniną Koreańską i Żółtym Morzem. A ten wielki geograf umieścił ją gdzieś tuż przy Kurylach! Paradne! Co najmniej o 5 stopni dalej na wschód! — zanosił się od śmiechu, drgając swą potężną postacią, aż trzcinowy taboret trzeszczał pod nim podejrzliwie.

Pretwicz postanowił nie wtajemniczać kapitana w podejrzenia, jakie od pewnego czasu zasiały mu głęboko w myślach. Jednakowoż pragnąc się dowiedzieć, w jakich mniej więcej okolicach ugrzązł „My Boy“, począł szczegółowo wypytywać Smitha o jego w tym względzie zdanie. Lecz okazało się, że ten nie miał o tem najmniejszego pojęcia. Twierdził tylko, iż, możliwe, zarzuciło „My Boy“a“ w labirynt małych wysepek ciągnących się długim

pasmem od wschodniego cypla Jezo, aż do północnego krańca wyspy Kunaszyr.

— A może przerzuciło nas przez cieśninę Tsugar na zachodnie wybrzeża Japonji, — poddał kaptanowi nową myśl Pretwicz.

Smith namyślał się przez chwilę.

— Nic... to niemożliwe! — zaprzeczył wreszcie. — Przepełyalibyśmy obok Hakodate, gdzie znajduje się latarnia morska. Nawet podczas największej burzy musielibyśmy dostrzec jej światła... Nie... zresztą żaden szanujący się marynarz nie uwierzy w mimowolne przebycie bez wypadku tak krętej cieśniny, jaką jest Tsugar...

Pretwicz poruszył się niecierpliwie.

— Nie denerwuj się kochany majorze! — rzekł Smith, ścisząc głos, i kładąc swą dłoń na kolanie Pretwicza. — Niepewność nasza wkrótce zniknie. Mają nas odwieść swym statkiem do jakiegoś cywilizowanego miejsca... otóż kpem będę, jeżeli już po paru godzinach drogi nie zdołam się zorientować w położeniu! Przed okiem tak doświadczonego marynarza, jakim ja jestem, nic się nie da długo ukryć!

Charakterystyczny warkot motoru automobilowego wdarł się nagle przez otwarte okno.

Pretwicz wychylił się przez nie, lecz automobil stał widocznie po drugiej stronie domu.

— Panna Ozari wyrusza na „My Boy‘a“ — domyślił się Smith. — Przemysłowcy... rozporządzający autami,... no... no! — dorzucił, chwając głowę.

Warkot odalał się i wreszcie umilkł w oddali.

Pretwicz przeszedł się kilkakrotnie po pokoju, wreszcie zbliżył się znów ku oknu.

— Mister Pretwicz... — rozpoczął cichym głosem Smith, przysuwając się doń.

Ten, posłyszawszy dźwięk swego nazwiska, przypomniał sobie nagle ostrzeżenie Ozari.

— Nazywaj mnie, kapitanie panem James‘em Bruns! — szepnął Smithowi do ucha.

Smith zmrużył porozumiewawczo jedno oko.

— Rozumiem... to miss Ozari tak Pana przechrzciła — rzekł, przymykając okno. — Otóż mister Bruns, czy nie dziwi to Pana, że miss Ozari ma jakąś władzę nad tymi przemysłowcami, czy też bandytami, bo doprawdy nie wiem, jak ich tytułować.

Pretwicz spojrzał na niego pytająco.

— Bo tak, prawdę mówiąc — ciągnął dalej Smith — jestem pewien, że pierwotnym zamiarem tych miłych ludzi było wyekspedjowanie nas na tamten świat... cóż, przecież to łatwo... pustka... noc, a morze blisko! Kamień do szyi i po wszystkim! Tylko miss Ozari możemy zawdzięczać, że żyjemy dotąd... jej medaljon uratował nas:

— Jaki medaljon? — rzucił Pretwicz.

— Jaki? — powtórzył Smith. — No... ten, który okazała tym dzikusom... najwyraźniej widziałem, jak patrzyli na niego, jak na jaką świętość. Ba... nie tylko oni i konwojenci, którzy nas eskortowali od wybrzeża wpatrywali się w miss Ozari, jak w bóstwo. Co to mogło być? Muszę zapytać ją, aby mi wytłumaczyła tę zagadkę... taki zwyczajny medaljon i żeby taki efekt wywołać... no... no!

Pretwicz uśmiechnął się.

— Mam wrażenie, kochany kapitanie, — rzekł kładąc dłoń na jego ramieniu — że miss Ozari nie zaspokoiki twojej ciekawości.

Smith obruszył się lekko.

— Miss Ozari... eh... co mówisz, majorze, jestem z nią na przyjacielskiej stopie! Cóżby jej to szkodziło! Chociaż — dodał po chwilowym namyśle — w tym wszystkim musi się kryć tajemnica, w której, jak sądzić wypadaloby, miss Ozari odgrywa bardzo poważną rolę. A ty, majorze, co o tym sądzisz? — zapytał, wodząc spojrzeniem za Pretwiczem, który w połowie jego słów począł spacerować nerwowo po pokoju.

Pretwicz nie zaprzestając przechadzki, wzruszył niecierpliwie ramionami i rzucił przez zęby:

— Nie wiem, co mam o tem myśleć! Jak i ty kapitanie, jestem również pewnym, że całe to przemytnictwo jest tylko mistyfikacją, i że ci panowie znajdują się na tym pustkowiu w całkiem innym celu...

Smith zerwał się z taboretu i jednym skokiem znalazł się przy Pretwiczu.

— Już wiem! — szepnął tajemniczo. — To są... korsarze rybni!

Pretwicz spojrział nań pytająco:

— Tak... tak! — zaręczał Smith. — Że też wcześniej nie przyszło mi to na myśl!

I widząc, że Pretwicz patrzy nań w dalszym ciągu niedowierzająco począł rozwodzić się szeroko nad korsarstwem rybnym. Otóż, są pewne pory roku, w których połów jakiegoś gatunku na wybrzeżach morskich jest zakazany, na przykład w okresie tarcia, a nawet i że względów oszczędności, gdyż inaczej rabunkowy połów w bardzo niedługim czasie poczyniłby straszne spustoszenia wśród ryb i nawet mógłby spowodować zupełne ich wytepienie. Jest łatwo zrozumiałe, że takie okresy zakazu połowu skupiają nieprzeliczone roje ryb na pobrzeżach i właśnie w tych okresach niesumienni rybacy wyłapują ich mnóstwo, robiąc na tem doskonałe interesy. Inna rzecz, że la-da chwila mogą być przyłapani przez statki strażnicze i surowo odpowiadać za przestąpienie zakazu, ale zazwyczaj są to ludzie zdeterminowani i tak sprytni, że zwykle potrafią się wywinąć z grożącego im niebezpieczeństwa. Korsarstwo rybne jest bardzo rozpowszechnione na wodach kalifornijskich i statki korsarskie, ścigane i doganianie przez statki strażnicze, nierzadko bronią się orężnie przed ujęciem. Bardzo więc możliwe, a nawet należy

uważać za pewnik, że „przemytnicy“ ci są w rzeczywistości korsarzami rybnymi.

Lecz Pretwicz niewiele uwagi poświęcił słowom kapitana. W głębi duszy miał przeświadczenie, że to tajemnicze osiedle, uwięzienie i internowanie pasażerów i załogi „My Boy“a“, obecność wśród „przemytników“ wojskowego japońskiego, słowa Ozari i jej niepokój... wszystko to ma pewien związek ze śmiercią Hitaschi'ego, tajemniczym znikaniem okrętów, naładowanych amunicją jednym słowem z przepowiedniami pułkownika Macready'ego, to jest z jakimiś, na gigantyczną modłę zakrojonymi, zbrojeniami Wschodu

— Czyżby przewidywania sir Bruca i Macready'ego opierały się na rzeczywistości? — po raz dziesiąty już od paru godzin zadawał sobie pytania? — nic Pretwicz, przyznając Iw duchu, że, jak dotąd, wypadki, jakich stał się dzisiaj mimowolnym świadkiem, w zupełności potwierdzają domysły Ambasady Angielskiej. Lecz w takim razie

niewątpliwie jest rzeczą jasną, że Ozari w całej tej sprawie odgrywa bardzo poważną rolę! Jaką? — I major począł znów przebiegać niecierpliwymi krokami pokój, nie mogąc znaleźć odpowiedzi na to ostatnie pytanie.

Smith, dostrzegłszy jego zdenerwowanie, usunął się ku oknu, z pod oka tylko obserwując Pretwicza.

Tak upłynęła godzina.

Nagle, spacerujący wciąż po pokoju major przystanął i, zbliżywszy się ku oknu począł nadśłuchiwać. Od strony morza zbliżał się coraz wyraźniejszy warkot motorów.

— Wiozą ich! — mruknął Smith. — Pośpieszyli się... czy tylko obeszło się wszystko bez awantur? — do-rzucił po chwili, trąc niespokojnie dłonią czoło.

Miarowe stukanie motorów stawało się z każdą chwila wyraźniejsze, wreszcie poznać było można, że samochody znajdują się tuż... tuż. Jeszcze chwila i umilkły nagle.

— Przyjechali! — szepnął Pretwicz, nadśluchując.

Po chwili w głębi budynku wszczął się ruch. Słysząc było głosy, kroki kilkunastu osób. Schody, wiodące na górę, poczęły trzeszczeć. Wreszcie tuż za drzwiami rozległ się głos Ozari.

Pretwicz jednym skokiem dopadł drzwi i otworzył je energicznym ruchem. Smith również znalazł się obok niego.

Za progiem stała Ozari. Za nią, w głębi kurytarza widniały twarze miss Alice, miss Tennyson i małżeństwa Hoopę oraz dwóch pokojówek.

Powitano się głośnymi okrzykami radości.

— Wszystko w porządku! — przemówiła Ozari, wyciągając dłonie ku Pretwiczowi i kapitanowi.— Wszyscy już jesteśmy w komplecie. Na „My Boy“u“ pozostała wystarczająca załoga przemytników. Mamy wyruszyć stąd

jutrzejszej nocy. Zaraz panom przyniosą kolację, a tu... — wyjęła z kieszeni swego płaszcza dwie pękate butelki i podała je kapitanowi — tu jest pańska whisky... zapewne zaschło już panu w gardle — dodała z filuternym uśmiechem.

Smith począł obcałowywać jej dłonie, tuląc drogocenne butelki do piersi.

Na schodach ukazali się ludzie, niosący na talerzach nakrycia i jedzenie.

Ozari pożegnała Pretwicza, skinęła głową Smithowi, który, przestawszy pokrywać dłonie jej pocałunkami, otwierał wgłębi pokoju jedną z butelek i udała się do oczekujących ją pasażerów „My Boy“a“.

Za chwilę Smith, napełniając whisky szklankę Pretwicza, mówił triumfującym tonem.

— A nie mówiłem panu, majorze, że mam w miss Ozari przyjaciela! Ho... bo... to złote serce! Inna pamiętałaby raczej o fatalaszkach niż o lekarstwie dla spracowanego gardła! I Pan twierdza, że nie wyjawি md ona tajemnicy talizmanu, jakim ujarzmiła tych bandytów? Myli się pan... no... za nasze zdrowie!

Pretwicz był pewnym, że Ozari prośbę Smitha pominię milczeniem, lub opowie mu na odczepne go jakąś bajeczkę, bardzo daleką od prawdy o talizmanie, lecz nie chciał staremu psuć humoru, więc tylko trąciwszy się z nim, podniósł swą szklankę do ust.

VI.

Cisza, niczem niezamącona panowała naogół, gdy Pretwicz podniósł się z łóżka. Przez chwilę nadśluchiwał w obawie, że Smith, nie śpiąc jeszcze, przeszkodzi mu w wykonaniu powziętego zamiaru, lecz uspokoił się, słysząc spokojny, równy oddech śpiącego.

Posunął się ku oknu, uważając bacznie, by potrąceniem jakiegoś sprzętu nie uczynić hałasu. Był ubrany, gdyż nie rozbierał się zupełnie, udając jedynie przed swym towarzyszem zamiar ułożenia się na spoczynek.

Otworzył cicho okno i wychylił się przez nie ostrożnie. Zrazu nic nie mógł dostrzec w ciemności, lecz po chwili jakiś kontur tuż za oknem zwrócił jego uwagę. Wyciągnął rękę; konturem tym był szczyt drewnianego ogrodzenia, sięgający mniej więcej, wysokości okna.

Pretwicz omal, że nie wydał głośnego okrzyku zadowolenia. Idąc ku oknu nie miał on jeszcze pewności, jakim sposobem wydostanie się nazewnątrz, to też fakt znajdowania się w pobliżu okna narodzenia rozwiązywał tę sprawę zupełnie.

Wskoczył lekko na parapet okna i uchwyciwszy Jeden ruch i siedział już na szczycie ogrodzenia, szukając jakiegokolwiek nierówności, o którą mógłby oprzeć stopę. Po chwili namacał poprzeczną drewnianą listwę, do której

przybite były deski. Jeden ruch i siedział już nasączycie ogrodzenia, jak na siodle, bacznie nad słuchując. Obmyślając plan swej wycieczki, przewidywał obecność wartownika na zewnątrz ogrodzenia, lecz mimo starań nie widział teraz nie podejrzanego. Celem upewnienia się uderzył zrazu lekko, potem mocniej obcasem obuwia o deski. Mimo dość głośnego łoskotu, nikt się nie zjawił.

Pretwicz odetchnął z ulgą; był już pewnym, że warty z tej strony budynku niema. Pochylił się i przez chwilę mierzył wzrokiem odległość, dzielącą go od ziemi. Wynosiła, mniej więcej, dwa metry. Uradował się w duchu, gdyż większa wysokość ogrodzenia uniemożliwiłaby powrót. Przełożył prawą nogę i uchwyciwszy rękami szczyt ogrodzenia, począł się zsuwać po gładkiej powierzchni desek. Upadł lekko, bez szelestu prawie. Nie podnosząc się z ziemi, pełził kilkadziesiąt kroków i, dopiero natrafiwszy na zagłębienie gruntu, odwrócił się i ogarnął spojrzeniem opuszczony przezeń przed chwilą budynek. Zdawał się być zupełnie bezludnym i niezamieszkałym. Nie widać było światła w żadnym z okien, których, jak zauważył siedząc jeszcze na szczycie ogrodzenia, było z tej strony kilkanaście.

— Dotąd wszystko dobrze! — mruknął, usiłując naderemnie rozpoznać godzinę na zegarku.— Oby tylko zakończenie tej wyprawy było tak szczęśliwe jak jej początek! — rozmyślał, zaznajamiając się z terenem.

Plan jego był prostym, a raczej, ściśle mówiąc nie miał on żadnego planu.

Wiedział tylko jedno — oto za wszelką cenę, nawet za cenę swego życia musi wydrzeć temu skalistemu wybrzeżu i tym dziwnym, podającym się za zwykłych przemytników, ludziom tajemnicę, tak skrętnie przez nich ukrywaną.

Przez chwilę niepokoiła go myśl, że w razie schwytania go na gorącym uczynku szpiegowania grozić może śmierć nie tylko jemu, lecz i wszystkim pasażerom „My Boy’a“, nie wyłączając, rzecz prosta i Ozari, jednak przypomniawszy sobie widzianą przed paru godzinami scenę zmuszenia przez tę ostatnią do posłuchu mieszkańców tajemniczego domu, uspokoił się. Był pewnym, że Ozani jakimkolwiek bądź sposobem ocali siebie i swych towarzyszy.

Rozejrzał się bacznie dokoła.

Z lewej strony, w kierunku przeciwnym od wybrzeża morskiego, w oddaleniu zaledwo kilkuset metrów, rozciągał się pas obłych wzgórz, podnoszących się z równiny łagodnym wzniesieniem.

Skierował się ku nim, zważając pilnie na to, aby, o ile możliwości, ukrywać się za kamieniami, jakie gęsto pokrywały równinę. Przemykał się od jednego do drugiego, przystając co chwila i nad słuchując. Tak dotarł do podnóża wzgórz. Tu począł iść śmieiej, nie zwracając już nawet

zbyt wiele uwagi na szelest drobnych kamieni, potrącających przezeń przy podnoszeniu się w górę.

Po upływie kilkunastu minut znalazł się na szczycie wzgórza.

Okalały one kręgiem rozległą dolinę, której krańce ginęły w pomroce nocy. Po drugiej stronie doliny rysowały się na pokrytem zwałami chmur niebie kontury podobnych wzgórz, nieco jednak wyższych.

Pretwicz, ułożywszy się wygodnie za wystającym występem skalnym, wpił wzrok w rozciągającą się przed nim równinę. Po kilku zaledwie sekundach bacznego wpatrywania się uwagę jego zwróciły jasne, szarobładego koloru plamy, widniejące na równinie. Zrazu przyjął je za powierzchnie jezior, po jakimś czasie uderzyło go symetryczne rozłożenie owych plam i zadziwiająca regularność ich konturów.

Ciągnęły się one, jedno za drugim, kilkunastu szeregami, zachowując między sobą jednakowej szerokości odstępy.

Jak mógł tylko sięgnąć wzrokiem w obie strony doliny, spostrzegł owe, intrygujące go swym wyglądem szare prostokąty, zlewające się z sobą na obu krańcach równiny, tworząc jak gdyby jaśniejsze pasy na czarnem tle ziemi.

Przez chwilę sądził, iż są to zwierciadła sztucznych stawów, lecz wnet drobne napozór spostrzeżenie, jakie niebawem uczynił, przekonało go o omyłce. Oto księżyc,

ukryty dotąd za chmurami, wypłynął nagle na jasną połąć nieba, zalewając bladym światłem dolinę. Pretwicz przekonał się rychło, że owe plamy, które teraz stały się więcej jasnymi i wyrazistymi, nie są taflami wód, gdyż nie odbijały one tarczy księżyca, stojącego wprost ponad niemi.

Spostrzeżenie to pobudziło go do powzięcia ryzykownej decyzji. Począł schodził w dolinę, zapatrzony w srebrzące się poświatą księżyca kwadraty i długie prostokąty.

Jednakowoż zejście z tej strony wzgórz było trudniejsze ze względu na większą pochyłość spadku i obfitsze załomy skalne. Dawało to jednak jednocześnie możliwość lepszego ukrycia się.

Po kilkunastu minutach Pretwicz poczuł zmęczenie, gdyż co chwila musiał omijać olbrzymiej wielkości kamienie, tamujące mu drogę.

Nareszcie stanął u podnóża wzgórz. Przed nim, zaledwie o kilkadziesiąt kroków wznosiła się na Wysokość dwóch, trzech metrów jasnoszara ściana. Dotrzeć do niej było łatwo i trudno za razem, gdyż jak przypuszczał należało się tutaj podziewać obecności ludzi

— Trzeba pełznąć! — mruknął cicho, przypominając sobie zarazem, jak to w czasie inwazji dwudziestego roku, w jednej z walk w okolicach Kowla podpełził tak wraz ze swym oddziałem pod same okopy bolszewików, niespo-

dziewających się napadu na równinie, na której każde pojawienie się postaci ludzkiej nie dało się ukryć.

— Ha... trzeba będzie przypomnieć sobie młode lata!
— monologował dalej, posuwając się naprzód na łokciach i brzuchu.

Dopełził tak już do połowy odległości, dzielącej go od celu, gdy nagle jakiś szmer obił się o jego uszy. Rozpłaszczył się na ziemi, usiłując równocześnie przebić wzrokiem otaczające go ciemności.

Szmer zamienił się rychło w miarowe stąpanie zbliżające się coraz więcej od lewej strony.

Pretwicz zwrócił głowę w lewo, nasuwając równocześnie podróżną, miękką czapkę na oczy, aby biel twarzy nie zwróciła uwagi zbliżającego się.

Z poza rogu jasnoszarej ściany ukazała się ciemna sylwetka człowieka z bronią zarzuconą na ramię. Nie zatrzymując się ni na chwilę, człowiek ten przeszedł powoli pomiędzy ścianą i leżącym. Kuchy jego były spokojne, krok miarowy, widocznem było, iż wędrówka ta była dlań rzeczą zwykłą.

Przez czas jakiś Pretwicz, powróciwszy za przechodzącym głowę, widział jego ciemną sylwetę na szarym tle ściany. Wkrótce jednak stopiła się ona z ciemnością i tylko jednostajny odgłos kroków świadczył o oddalającym się na razie niebezpieczeństwie.

Pretwicz przeczekał kilkanaście minut, poczem rozpoczął znów swą cierpliwą wędrówkę.

Nareszcie dotarł do celu. Leżał obok szarej ściany. Dotknąwszy ją dłonią, przekonał się, że ścianą tą była materja olbrzymiego brezentu.

— Tak! — mruknął, kiwnąwszy głową, jak gdyby domyślając się, o co chodzi. Zdecydowanym ruchem uniósł zwisającą materję brezentu i wsunął pod nią rękę.

Palce dotknęły chłodnego metalu. Parę dotknięć ich wystarczyło Pretwiczowi do rozpoznania, znajdujących się pod przykryciem brezentu przedmiotów.

— Naboje do połówek japońskich... typ „Kagura 1926 r.“... kaliber 8,2 — szepnął, zapuszczając z powrotem brezent i wygładzając go starannie. Ogarnął wzrokiem wysokość ściany.

— Trzydzieści pięć... czterdzieści warstw! — obliczał w myśli. — Szerokość tego prostokąta wynosi mniej więcej sześćdziesiąt metrów, a długość... hm... trzeba się przekonać! W każdym bądź razie, o ile każdy z takich kwadracików mieści w sobie taką liczbę, jak ten... to amunicji tej wystarczyć może na setki bitew! — dorzucił, prostując się.

Spostrzegł, że ton szarego ubrania, jakie miał na sobie niezbyt wyraźnie odcina się od szarej barwy brezentu. Spostrzeżenie to zrobiło go śmiałym. Począł powoli posuwać się wzdłuż ściany w stronę, skąd ukazała się sylwetka wartownika.

Po upływie kilku minut znalazł się u węgła ściany. Było tu nieco jaśniej. Z łatwością dostrzegł i policzył rozciągające się przed nim prostokąty.

Było ich osiem z jednej i dziesięć z drugiej strony. Zauważył, iż niektóre z nich nie były tak wysokie, jak ten, przy którym stał, przytulony do brezentu. Ciągący się w jednej linii, następny z prostokątów był właśnie niskim i w umyśle Pretwicza natychmiast powstała, nierozsądna, jak zresztą sam przyznał po chwili namysłu, chęć przekonania się co ów prostokąt wewnątrz zawiera.

Szedł, przytulając się do ściany, gotowy każdej chwili paść plackiem na ziemię. Idąc, liczył. Prostokąt miał dwieście czterdzieści kroków długości.

— Sto dwadzieścia mniej więcej metrów — rozmyślał, posuwając się wytrwale naprzód. — Ba! Ładny arsenał ta dolinka! — zakonkludował, zbliżając się ku następnemu prostokątowi.

— Jestem pewien, że tutaj znajdę działa — szepnął, podnosząc ciężki brezent.

Przeczucie nie myliło go. Nikły blask księżyca zamigotał na lufach i kołach armatnich.

— Co najmniej tysiąc sztuk! — rzucił półgłosem, ogarniając wzrokiem rozległą płaszczyznę prostokąta.

Nagły szmer wstrząsnął nim całym. Błyskawicznym ruchem przygiął się ku ziemi, nadśluchując. Szmer przetworzył się następnie w miarowe stapania, zbliżające się

w tę stronę coraz bardziej. Z za węgła sąsiedniego prostokąta ukazał się człowiek.

— Czy to zwykły obchód warty, czy też jest na moim tropie? — pomyślał Pretwicz, wpatrując się wyężonym wzrokiem w ciemną postać kroczącego.

Lecz rychło spokojne ruchy zbliżającego się przekonały go, iż na razie nie groziło mu ze strony warty żadne niebezpieczeństwo. W każdym bądź razie należało być przygotowanym na to, że droga obchodu przebiegać będzie obok niego. Bez szelestu położył się na ziemi i, uniósłszy skraj brezentu, wczołgał się pod jedno z dział, zostawiając szparę pomiędzy skrajem brezentu i ziemią, celem obserwowania wartownika.

Ów zaś, zrównawszy się po chwili z miejscem ukrycia się Pretwicza, przystanął.

Pretwicz czuł, jak serce jego poczęło się tłuc niespokojnie ze wzruszenia. Zapanował jednak szybko nad swymi nerwami, w dalszym ciągu obserwując nieruchome stojącą o parę zaledwie kroków postać.

Pretwicz widział ją doskonale.

Był to japończyk, niskiego dość wzrostu, odziany w krótką kurtkę, ściśniętą rzemiennym pasem, przy którym wisiały dwie ładownice. Na głowie miał ceratowy kapełusz, podniesiony z przodu i opadający sznokiem skrzydłami na ramiona i kark. Przez plecy na pasie wisiała broń, jak Pretwicz zdołał rozpoznać, zwykły karabin japońskiej piechoty.

— Przemysłnik! — pomyślał z ironją Pretwicz. — Już ja wiem, bracie, jakich ty tu rybek pilnujesz!

Japończyk ziewnął, przeciągając się jak człowiek spragniony snu. Powolnym ruchem zdjął broń z pleców i ociężałym krokiem skierował się ku miejscu, gdzie ukrywał się Pretwicz. Oparłszy broń o ścianę brezentu, siadł. Obok niej, zaledwo o dwa... trzy kroki od Pretwicza. Ziewnął raz i drugi, poczem opuścił głowę na piersi, jak gdyby drzemiąc.

Położenie ukrywającego się było więcej niż rozpaczliwe. Nieruchomy, bojąc się odetchnąć głośniej, leżał Pretwicz, utkwivszy niespokojny wzrok w skulonej postaci wartownika. Przez jego mózg przebiegało tysiące pomysłów wybrnięcia z sytuacji, lecz wszystkie one, jeden od drugiego szaleńszy, nie rokowały pomyślnego wyniku. Pozostawało tylko jedno - czekać cierpliwie odejścia wartownika.

Lecz i to również było niebezpieczne. Odpoczynek lub sen japończyka mogły trwać i parę nawet godzin. Tymczasem rozwidni się i rankiem tam, w domu japończyka dostrzegą jego nieobecność, co niewątpliwie wzbudzi wśród nich podejrzenia i wywoła poszukiwania go, uwieńczone na pewno rezultatem.

— Wówczas... pewna śmierć — pomyślał Pretwicz i porwała go taka wściekłość, iż przez chwilę walczyć musiał z nierozsądną chęcią rzucenia się na wartownika i stoczenia z nim śmiertelnej walki.

Przez chwilę namyślał się, czyby nie przedostać się na drugi koniec prostokąta pomiędzy kołami dział, lecz po namyśle odrzucił ten zamiar, gdyż przy prześlizgiwaniu się pod działami uczynićby musiał szmer, jaki; bezwątpienia zwróciłby uwagę wartownika.

Nagle od strony tego ostatniego dobiegło do uszu jego ciche, lecz ciągle powtarzające się chrapanie.

W Pretwiczu zbudził się żołnierz.

— Śpi... Na warcie? Kula w łeb! — oburzył się i w tej chwili omal nic parsknął śmiechem, uprzytomniwszy sobie, że właśnie to niedbalstwo wartownika stwarza dlań możliwe warunki do oddalenia się z tego miejsca niespostrzeżenie. Nie na? leżało tracić czasu. Za chwilę mógł spaść na ziemię pierwszy brzask poranku, niszcząc zupełnie i tak już nikłe nadzieje ocalenia.

Pretwicz wypełził powoli z pod ciężkiego brezentu. Pomimo wszelkiej ostrożności, zastosowanej przez niego, ciężki materiał zaszeleścił.

Pretwicz znieruchomiał, wpatrując się, jak urzeczony w pochyloną na piersi twarz wartownika. Ten nie drgnął nawet, chrapiąc bezustannie.

Pretwicz na czworakach począł cofać się, nic odrywając wzroku od śpiącego.

Nagle... nie dostrzegłszy kolby karabinu, Pretwicz dłonią zawadził o nią. Karabin, szeleszcząc lufą o materję brezentu, pochylił się na ramię japończyka.

Ten ocknął się momentalnie, tak, iż Pretwicz nie zdążył przypaść do ziemi.

Wartownik chwycił lewą ręką lufę broni i, wspierając się na niej, począł powstawać.

— Śmierć!, — pomyślał Pretwicz i błyskawicznym ruchem ręki uchwycił kolbę, chcąc nagłym szarpnięciem wyrwać broń japończykowi.

Lecz ten trzymał mocno oburącz lufę i szarpnięcie Pretwicza sprawiło zaledwie to, że Japończyk zatoczył się w stronę.

Rozpoczęło się wzajemne wydzieranie sobie broni. Pretwicz rozumiał doskonale, że jeśli powoli sobie wydrzeć broń japończykowi, ten natychmiast skieruje ją przeciw niemu. Zacisnąwszy zatem zęby, począł przesuwając dłoń wzdłuż broni, pragnąc zbliżyć się dostatecznie do przeciwnika, aby móc go ująć za gardło i zdusić. Ten, pojawiając się to, rzucał się jak wściekły.

Nagle... huknął strzał. Japończyk z lekkim okrzykiem cofnął się o krok... dwa wtył, rozpostarłszy ręce i bijąc nimi powietrze.

Wreszcie charcząc głucho, zwałił się ciężko na ziemię. Kilkakrotnie jeszcze nogi jego zadrgały konwulsyjnie kopiąc ziemię, poczem zgięły się powolnym ruchem w kolanach i tak zostały. Zamilkło również charczenie.

Pretwicz bystrym spojrzeniem obwiódł dokoła siebie. Jak dotąd nic nie wskazywało na to, że wystrzał obudził czujność kogokolwiek. Pusto było naokół i cicho.

Pochylił się nad leżącym. Kula uderzyła w podbródek i wyszła, jak się niebawem przekonał, wierzchem czaszki.

— Trup! — mruknął Pretwicz, wzdrygając się mimowoli.

Pierwszym jego odruchem było zwrócenie się do ucieczki, lecz po chwili przyszło mu na myśl, że strzał, a następnie znalezienie zwłok wartownika wzbudzić musi niepokój wśród „przemytników“, którzy, rzecz prosta winowajców tego wypadku szukać będą pomiędzy pasażerami i załogą „My Boy“a“.

Nagle zbawcza myśl błyskawicą zawirowała w jego mózgu.

Pochylił się nad leżącym. Kilkoma prędkimi mruhami palców rozluźnił sznurowadła żołnierskiego trzewika, z niejakim trudem zdjął go z na poły sztywnej już nogi zabitego i ująwszy karabin położył go na piersiach japończyka w ten sposób, że wielki palec nieobutej nogi zaczepił o cyngiel karabinu.

Podniósł się zadowolony. Każdy, kto natrafi na zwłoki wartownika, będzie przekonany, że ten popełnił samobójstwo.

Odchodząc od zabitego, Pretwicz zaszalutował. Bądź co bądź leżała przed nim ofiara obowiązku.

— Daruj... mały żołnierzu! — szeptały wargi oficera. — Nie chciałem cię zabić. Strzał był przypadkowym! Śpij spokojnie!

I zasalutowawszy ponownie, pobiegł pędem ku wzgórzom.

Orjentując się teraz lepiej w terenie, dążył z powrotem tą samą drogą jaką przebył przed godziną nieledwie.

Zbliżając się ku domowi podwoił ostrożność. Z bijącym ze wzruszenia sercem podpełznął pod ogrodzenie. Instynkt, ów najlepszy przewodnik myśli i czynów ludzkich doprowadził go pod okno pokoju, w którym pozostawił śpiącego Smitha.

Wspiąć się na ogrodzenie, a z niego przedostać się wewnątrz pokoju było dlań dziełem kilkunastu zaledwie sekund. Za chwilę, zrzuciwszy wierzchnie odzienie, leżał w łóżku, rozmyślając o wypadkach nocy.

Bez wątpienia to, co widział było najlepszym dowodem gigantycznego zbrojenia się japończyków. Przeciwko komu?

Pretwicz kilkakrotnie już zwiedzał arsenały japońskie i wiedział, iż są one znakomicie zaopatrzone na wypadek wojny, czemu więc takie potworne ilości amunicji i dział chowano na jakichś bezludnych, trudnodostępnych wyspach?

Odpowiedź była jedna — aby je ukryć przed niepowołanym wzrokiem.

To jest... przed wzrokiem Europy, czyli białego świata! Zapewno! Po co?

Ale o tem pomyśli tam, w Tokio wespół z Macrea-dy'm. Teraz spać... spać!

I w parę minut później sen zamknął jego powieki.

VI.

Powróciwszy z nieudanej wycieczki do Sendai, Pretwicz nie zastał w Tokio pułkownika Macready'ego, gdyż ten wyjechał do Londynu wraz z sir Bruc'em, który, jak mu oznajmiono w ambasadzie, został wezwany w sprawach służbowych przez „Foreign Office“.

Pretwicz rad był poczęści temu, gdyż wyjazd Macready'ego odwlekał jego rozmowę z nim na temat odkryć, uczynionych przezeń na tajemniczem wybrzeżu.

Rozumiał on doskonale, że wtajemniczając pułkownika we wszystko, musiałby podzielić się z nim również i spostrzeżeniami swymi co do roli Ozari w tej całej sprawie, a to byłoby dlań niewymownie przykrem, gdyż uczucie, jakie żywił dla niej, nie było, jak się przekonał, przelotnem jedynie wrażeniem.

Kochał po raz pierwszy zresztą w życiu.

Kochał i był nawzajem kochany przez tę białą, jak kwiat wiśni, dziewczynę o migdałowych, nie co tęsknych oczach ustach, podobnych do rozkwitającego pąka szkarłatnej róży.

Przecucie mówiło mu o tem od dawna, lecz dopiero wczoraj, na pokładzie statku, jakim przewieźli ich pseudoprzemysłowców do Niigata, upewnił się w tem ostatecznie.

Stało się to tak.

Skoro wbrew przewidywaniom tak jego, jak i kapitana Smitha, przekonali się w ostatnim dniu podróży, że statek płynie z południa wzdłuż kontynentu Hondo, mijając wyspy Oki oraz porty w Kanasawa i Tojama, ogarnęło go takie skonsternowanie, że bez ogródek zagadnął Ozari, aby zechciała wytłumaczyć mu wszystko to, co przeżyli wraz z resztą pasażerów po opuszczeniu „My Boy’a“.

Słowa jego widocznie zmieszały japonkę. Ochłonawszy nieco, poczuła zapewniać, że nie więcej nie wie ponad to, co jest wiadomem i jemu oraz Smith'owi, który również był obecnym przy rozmowie jej z przywódcami przemysłowców wkrótce po porwaniu ich z motorówki.

Wówczas on wspomniął o owym amulecie w formie medalionu, za pomocą którego zdołała tak szybko zmienić zamierzenia przemysłowców co do dalszego losu uwięzionych.

Upłynęła długa chwila zanim Ozari zdobyła się na odpowiedź.

Pomimo mroku (rozmowa toczyła się wieczorem na przednim pomoście statku) Pretwicz dostrzegł, że Ozari drży, a oczy jej szklą się łzami.

Ujęła jego dłoń i poczęła mówić cichym, przerywanym przez wzruszenie głosem.

Oto ona błaga go teraz na wszystko, aby zapomniał na zawsze o tym, jak on nazywa, amulecie. Zdecydowała go się użyć dopiero wówczas, gdy niebezpieczeństwo zaczęło zagrażać... jemu. Przysięga, że dla kogo innego nie uczyniłaby tego nigdy. Ale gdy spostrzegła, że śmierć wisi nad jego, tak drogą dla niej, głową zapomniała o wszystkim, nawet o tem, że to, co czyni zagraża w pierwszym rzędzie jej. Posługiwanie się amuletem dozwolone jest tylko w wypadkach nader wielkiej wagi i wszelkie w tym względzie nadużycia mogą przynieść posiadaczowi amuletu smutne następstwa. Lecz dla niej, najbardziej drogim, najbardziej kochanym jest on i dlatego, nawet gdyby groziła jej śmierć, gotowa jest uczynić dlań wszystko... wszystko. Ona wie, że nie jest dla niego obojętną, więc jeżeli ją choć trochę kocha niechaj zapomni jak najprędzej nie tylko o amulecie, ale również i o całej nieszczęsnej wycieczce do Sondai.

I prosząc go tak, coraz więcej wzruszonym i błagalnym tonem, przybliżała się ku niemu coraz bardziej, aż wreszcie, wybuchnąwszy cichym płaczem, ukryła swą głowę na jego piersiach.

Wówczas on bez słowa objął ją ramieniem i począł zcałowywać łzy, perlące się na jej rzesach.

Upłynęła dłuższa obwiła zanim mógł przemówić.

Miłość buchnęła w nimi, jak płomień. Tulił w objęciach ukochaną, nie odrywając wzroku od jej białej twa-

rzy, na której, prócz wzruszenia malowała się bezmierna szczęśliwość. Po chwili usta ich złączyły się w pocałunku.

Wspominając w ciszy swego gabinetu tę chwilę wczorajszego wieczoru, Pretwicz zatęsknił magie za widokiem Ozari tak silnie, że pierwszą jego myślą było udać się do niej dzisiaj jeszcze. Lecz natychmiast rozważa wzięła górę nad odruchem chęci. Zapewne Ozari, znużona długą podróżą i doznaniem podczas niej wrażeniami, odpoczywa teraz w swej zacisznej willi, położonej wśród, wiśniowych sadów na jednej z peryferji miasta, zamieszkałej przez arystokratyczną warstwę stolicy. Nie... pójść nie może, zresztą już późno, szkoda, że pomysł ten nie przyszedł mu wcześniej do głowy.

Rozmyślenia jego przerwał dyskretny dzwonek aparatu telefonicznego.

Mówił Kelley, młodszy sekretarz ambasady angielskiej.

Komunikował on o wyjeździe Maeready'ego oraz o tem, że wskutek polecenia pułkownika, danego przed wyjazdem, kilkakrotnie dzwonił doń aby powtórzyć mu prośbę Macready'ego o jak najrychlejsze skomunikowanie się listowne z nim. Oto dzisiaj właśnie, za godzinę odjeżdża kurjer ambasady do Londynu, który może zabrać list jego celem doręczenia pułkownikowi.

Pretwicz ożywił się nieco. Obiecał skreślić parę słów do pułkownika, na co otrzymał od telefonującego zapew-

nienie, iż tenże natychmiast wysłał boy'a ambasady dla odbioru listu.

Pretwicz w kilkunastu słowach zawiadomił Macready'ego o dokonaniu przez siebie odkryciu na tajemniczym wybrzeżu, nadmieniając równocześnie, że obszerniejszy raport o tem wszystkiem ma zamiar przesłać w tych dniach swemu Ministerstwu.

O Ozari nie wspomniał ni słowa.

Zaledwie ukończył pisanie listu zjawił się wysłany z ambasady boy.

W kilkanaście minut później tenże boy wręczył list Pretwicza generałowi Tawasichiki.

Po zapoznaniu się z jego treścią generał kazał się natychmiast zawieźć do Ozari.

Ta przyjęła gościa w sypialni, gdyż, jak trafnie przewidywał Pretwicz, czuła się zmęczoną i dlatego udała się wcześniej niż zwykle na spoczynek.

— Co się stało, wuju? — pytała, zmieszana ponurym wyrazem twarzy, uśmiechniętego i pogodnego zazwyczaj generała.

Tawaschiki wyjął z kieszeni list Pretwicza i podał go jej bez słowa, poczem zająwszy stojący opodal bambusowy fotelik, obserwował z pod oka siostrzenicę.

Straszne przeczucie ścisnęło jej serce. Papier trząsał się w jej drżących dłoniach; nie przeczytała dotąd jeszcze ni jednego słowa, lecz wiedziała już, że ta ćwiartka zapi-

sa-nego znanym pismem papieru mieści w sobie nieznaną, a jednak okrutną w siwej treści rzeczywistość.

Opanowawszy się, przebiegła szybkim, niespokojnym wzrokiem kilkadziesiąt wierszy listu.

Poczuła, że nagle pod czaszką rozszalała się burza niepokoju. Przerazenie ostrymi, zakrzywionymi zachłanianie szponami chwyciło ją za gardło i stłumiło okrzyk, jaki gwałtem wyrwał się z piersi.

Wparła oczy, w których widniał obłądny strach, w twarz Tawaschiki'ego.

Nastąpiła chwila milczenia. Ozari zdawało się, że chwali tej nie będzie nigdy końca.

— Tak... — ozwał się wreszcie Tawaschiki, nie patrząc na nią. — Więc ten polak jest pierwszym cudzoziemcem, który wie coś konkretnego o sprawie! Jak widać z treści listu, ten stary wyga Macready węszył już od dawna. Krzyżowaliśmy jego zamiary tak, iż prócz domysłów niczem pewnym poszczycić się nie mógł i gdyby nie przypadek....

— Tak... masz wuju rację, że to tylko przypadek! — podchwyciła gorąco Ozari.

Tawaschiki spojrział na nią przelotnie.

— Nie potrzebujesz upewniać mię w tem! — rzekł, wzruszając ramionami. — Pochlebiam sobie i mym pomocnikom, że żadne poszukiwania nie zdołałyby wykryć jednej z największych naszych tajemnic i tylko ślepy

traf zdemaskował ją... ale — tu uczynił dłuższą pauzę, — ale to w niczem nie zmienia istoty rzeczy!

Ozari poruszyły się niespokojnie.

— Fakt pozostał faktem, — ciągnął dalej obojętnym tonem generał. — Ktoś jest panem tajemnicy, o której do pewnego czasu nikt nie powinien wiedzieć i ten ktoś... — w tym miejscu utkwiał w bladej twarzy Ozari swe ciemne, połyskujące zimnym blaskiem źrenice — ten ktoś... musi zamilknąć na wieki przedtem, niż zdoła się podzielić swem odkryciem z innymi.

Ozari siedziała bez ruchu i tylko drżenie jej pobladłych warg świadczyły o wrażeniu, jakie na niej wywierały, tchnące bezwzględnością słowa Tawaschiki'ego.

— Że tak być musi — wiesz sama, również dobrze, jak ja, więc nad tam nie będziemy się rozwodzić... chodzi tu tylko jedynie o to, że rzecz ta ma się stać dzisiaj.

Rozpaczliwy jęk wydarł się z piersi japonki.

Tawaschiki, jak gdyby nie słyszał tego. Palił dalej, wodząc obojętnym wzrokiem po ścianach sypialni, zawieszonych makatami.

— Dzisiaj... gdyż nie możemy być pewni, czy temu zuchowi nie przyjdzie ochota koncytować swego raportu, o których wspomina w liście... na przykład... jeszcze dzisiejszego wieczoru. Sprawa wówczas stałaby się o wiele trudniejszą... i dlatego jestem tutaj, — dokończył twardo, powstając z fotelu i pochylając się nad siostrzenicą.

Ozari przymknęła oczy, nie mogąc znieść jego rozkazującego spojrzenia.

Tawaschiki po chwili przysunął do łóżka mały inkrostowany koralem stoliczek z przyborami do pisania.

— Pisz! — rzucił twardym tonem, siadając na poręczy łóżka.

Ozari wstrząsnęła się, bezwiednym ruchem odsuwając dłoń generała, podając jej pióro.

— Pisz! — powtórzył ten, z naciskiem, umieszczając pióro w jej drżących palcach. — Zaproszenie na dzisiaj... na herbatę! Bez wątpienia przybędzie! — dorzucił z lekkim uśmiechem. — O ile wiem, z radością powita twój list... zawróciłaś mu nieco głowę... prawda? Przyznaj się! Zresztą... to jest już dość głośne!

— Wuju! — wyjąkała Ozari, zwracając ku niemu błagalne spojrzenie.

Tawaschiki zmarszczył brwi.

— Ojciec twój zginął, idąc do szturm na czele oddziałów, atakujących okopy Portu Artura, a je dyny brat w czasie zajmowania Kiao-Czau! — rzucił twardo, powstając.

Ozari spuściła głowę. Machinalnie dłoń jej poczęła kreślić na papierze litetry, które w jej oczach zlewały się z sobą, formując jedno tylko słowo — śmierć.

Tawaschiki dyktował.

— Podpisz wyraźnie! — uprzedził, przytrzymując, drżącą od febrycznych wstrząsów ciała Ozari, teczkę.

— Teraz mamy zaledwie ósmą — rzekł, chowając list do kieszeni munduru. — Zjawi się tu on, mniej więcej o dziewiątej... musisz tak manewrować, aby przed godziną jedenastą nie opuścił tego domu. Po upływie dwóch... trzech godzin nie potrzebujesz go już zatrzymywać! Dowidzenia! — dorzucił, kierując się ku wyjściu.

Ozari siedziała nieporuszenie, jak gdyby nie słysząc wyrzeczonych do niej przed chwilą słów.

Wychodząc, Tawaschiki odwrócił głową i ogarnął spojrzeniem złamaną postać siostrzenicy.

— Pamiętaj o ojcu swym i bracie, którzy zginęli dla przyszłości Japonji! — rzucił twardo, znikając w mroku korytarza. Za chwilę warkot motoru automobilowego oznajmił jej o odjeździe generała.

Upłynęła dłuższa chwila zanim Ozari otrząsała się z osłupienia.

Szeroko rozwartymi z przerażenia źrenicami patrzyła na drzwi, za którymi zniknął Tawaschiki. Myśl jej potrzebowała paru minut czasu, aby zrozumieć, że marzeniom jej nadszedł kres ostateczny, że za godzin parę brutalna rzeczywistość powali ją na samo dno najstraszliwszego bólu i rozpacz.

Nie łudziła się ni przez jedną chwilę, aby udało się jej odwrócić od Pretiwicza niebezpieczeństwo. Zdawała sobie aż nadto dobrze sprawę z tego, że żadna siła ludzka nie zdoła stanąć na przeszkodzie zamiarom i postanowieniom Tawaschiki'ego i jemu podobnych, stojących na

czele świętego ruchu, zmierzającego do wywalczenia żółtej rasy należnego jej stanowiska w świecie. Wiedziała, że ludzie ci są bezwzględni nie tylko dla innych, lecz i dla siebie i że darmo szukać w ich sercach litości i zmiłowania.

Zresztą... takąż samą była i ona dotąd, dopóki iskry głębokiego uczucia nie zapadły w jej duszę, dopóki myśl, zajęta dotąd wyłącznie świętą dla każdego człowieka Wschodu sprawą, nie poczęła snuć rojeń, wywołujących w jej dziewiczym sercu rozkoszne dreszcze uniesień i pożądania.

Należała do tych nielicznych, którym znane były tajniki największego ruchu, jaki kiedykolwiek istniał na świecie. Pociągała ją ta myśl wielka i wspaniała zarazem; wychowana w tradycjach bohaterstwa i poświęcenia dla idei, upajała się obrazami przyszłości, jakie nie tylko już fantazja, lecz i trzeźwe, zimne obliczenia stawiały przed jej oczyma. Koła z utęsknieniem o dniu, w którym na dany znak powstaną niezliczone gromady wojowników ojczyznanego Nipponu, pokrewnych Chin, mrokiem odwiecznych tajemnic pokrytego Tybetu, kołysanej pieśniami tradycji burzycieli światów Mongolji, Sjamu, Tonkinu, drzemających w półśnie odrętwienia Indji, mściwych, wiecznie podminowanych niepokojem, wysp południowoazjatyckiego archipelagu, na wpół dzikich, z lekka zaledwie pokostem zachodniej kultury dotkniętych, niezliczonych wysepek i atolów Oceanu Spokojnego. Powstaną,

aby runąć zwycięskim, łamiącym w czystko taranem na znieawidzoną Europę

Amerykę, na ów świat biały, świat bez szczytnych ideałów, kupczący sumieniami narodów, wiat, którego jedynym hasłem był zawsze i będzie po wieczne czasy — pieniądz, jedynym celem — użycie i jedyną drogą, którą się do tego dążą — fałsz i wyzysk. Dotychczas nienawidziła śmiertelnie tych białych, którzy dla pieniądza przepływali oceany morza, podbijali ziemię, coraz to nowsze kraje, drwiąc z umów, zapominając o przyrzeczeniach, rzucając na wiatr nigdy nieziszczalne obietnice.

Jak każde prawe dziecko Wschodu gardziła nimi w głębi duszy... a jednak? A jednak los chciał, aby jeden z tych białych zabrał jej serce, zawładnął zmysłami i zapanaował nad jej myślą tak, iż czuła, że cała jej istota należy niepodzielnie do niego.

Ozami wiła się z bólu, bijąc głową o chłodny metal prętów swego łoża.

Z jednej strony wszystkie dotychczasowe jej ideały, wszystkie wierzenia, porywy, uświęcone tradycją wieków — z drugiej on, taki daleki, a jednak tak bliski, obcy i równocześnie najwięcej przez nią zrozumiały... on, przedmiot jej rozkosznych, tajemnych marzeń i we dnie i w ciągu cichych, przepojonych zapachem wiśniowych kwiatów nocy.

— Czemu tak... czemu! — szeptała, zaciskając zębami wargi aż do krwi, łamiąc bezradnie dłonie i roniąc gorzkie, palące policzki łzy.

Chwilami porywał ją pożar buntu. Z zaciśniętego jej gardła wydobywały się wówczas harde, nacechowane akcentami stanowczości przysięgi, iż nie pozwoli wydrzeć sobie jedyne go swego szczęścia, lecz natychmiast zimna rzeczywistość i świadomość czynu, jednoczącego ją z milionami współbraci, przygniatały porywy serca, rwały w strzępy myśli buntownicze i po upływie pewnego czasu, sprawiły to, że w mózgu jej wyraźnie zarysował się sposób pogodzenia obowiązków córki Wschodu z miłością ku człowiekowi z wrażego świata.

Umrą oboje!

Duchy ojca i brata, poległych za świętą sprawę nie będą jej przeklinać, jako odstępczynię i zdrajczynię świętej idei... sama zada śmierć temu, który bezwiednie, czy celowo, stał się przeszkodą na drodze wielkiej sprawy. Sama... a później pójdzie a nim, gdyż wie, że bez niego nie żyć jej na ziemi. Lecz przedtem jeszcze raz nasyci się nim, zakosztuje jego pocałunków, na wspomnienie których płoną jej lica rumieńcem, odda mu siebie... całą. Będzie to ich pierwsza miłosna noc i zarazem ostatnia przed śmiercią, która nadejść musi rychło, gdyż tak widocznie zapisane jest w księdze ludzkich przeznaczeń.

Spokojna już, spokojem tych, którzy wiedzą, że żadną miarą nie są zdolni, wstrzymać zbliżającej się chwili,

poczęła z pomocą zwołanej służby czynić niezbędne przygotowania na przyjęcie spodziewanego gościa.

A gość ten, rozradowany otrzymanym przed chwilą właśnie listem Ozari, przebierał się z gorączkowym pośpiechem, pragnąc jak najszybciej znaleźć się u ukochanej.

Zbiegnąwszy szybkimi krokami na ulicę, zatrzymał się przed domem, poszukując wzrokiem taxi.

Stał opodal z podniesioną budą, gdyż od paru godzin mżył lekki deszcz.

-- Aleja „Pachnącego Kwiecia”... numer szesnasty! — rzucił rozkaz szoferowi, wsuwając się jednocześnie we-wnątrz nieoświetlonego pudła auta.

W tejże sekundzie spostrzegł, że wewnątrz, w rogu siedzenia widnieje postać kobieca.

Auto ruszyło ostro; Pretwicz zatoczył się na siedzenie.

— Kto tu? — pytał, usiłując przekrzyczeć warkot motoru.

W odpowiedzi rozległ się głośny, wesołością nabrzmiały śmiech, który dziwnie znajomym dźwiękiem odbił się o jego pamięć.

— Dobry wieczór... mister Pretwicz! — śmiała się kobieta, potrząsając na powitanie jego dłonią.

— Miss Hooward! — wyjąkał, zmieszany tym niespodziewanym spotkaniem.

— Ha... ha...! — zanosila się od śmiechu miss Alice — Jaki Pan zdumiony! Czyżby to porwanie tak przerażało Pana?

Pretwicz otrząsnął się już z wrażenia. Z uwagi na zaproszenie Ozari to nieoczekiwane spotkanie z amerykańką niezbyt mu było na rękę.

— Chętnie pozwoliłbym się porwać Pani, gdyby nie to, że muszę natychmiast załatwić pewną, bardzo poważną sprawę, niecierpiącą zwłoki. Czekają na mnie i doprawdy, choć z żalem, muszę jednak Panią pożegnać. Ale... dokąd my dążymy? — usiłował rozejrzeć się przez okno w labiryncie ulic, którymi pędziło auto.

— Do mnie! — odparła amerykanka.

Pretwicz zachnął się.

— To niemożliwe, miss Alice! Ktoś na mnie czeka i...

— I u mnie ktoś czeka na Pana! I temu komuś przyrzekłam przywieźć Pana żywego, czy umarłego!

Pretwicz nachmurzył się nieco.

— Żartuje chyba łaskawa Pani, a ja doprawdy.

Miss Hooward przysunęła się doń.

— Pułkownik Macready chce Pana koniecznie widzieć dzisiaj jeszcze! — szepnęła mu w ucho.

Pretwicz aż zaniemówił na chwilę ze zdumienia.

— Pułkownik! Przecież on wyjechał do Europy!
— zakrzyknął.

Mimo ciemności, panujących w pudle karoserji dostrzegł, iż amerykanka wzruszyła ramionami, jak gdyby uważając jego słowa za niedorzeczność.

— Ależ tak! — zapewniał, unosząc się nieco.

Miss Hooward dotknęła dłonią jego ramienia, wskazując jednocześnie ruchem głowy na szofera.

— Pułkownik od trzech dni bawi w mojej willi, -- rzekła, zcisząc głos. — Ale... zdaje się, że to jest tajemnica, gdyż polecił nazywać siebie przy służbie nieswoim nazwiskiem, — dorzuciła po chwili namysłu.

— Skąd Pani zna pułkownika? — zapytał, sądząc, że amerykanka mogła paść ofiarą jakiejś mistyfikacji.

Z opowiadania miss Hooward okazało się, że zna Maeread'ego z czasów pobytu jego przed trzema laty w Bombaju, gdzie bawiła i ona przez czas dłuższy, czyniąc z tego miasta wycieczki w głąb Indii. Następnie, o czym nie wiedział Pretwicz, spotkali się parokrotnie w Tokio. Przed trzema dniami, jak opowiadała dalej amerykanka, pułkownik zjawił się u niej późnym wieczorem, prosząc o pozwolenie zamieszkania przez krótki okres czasu w wolnym pokoju dla szofera, znajdującym się w budynku garażu w podwórzu rozległej willi, wynajętej przez miss Hooward na cały czas pobytu jej w Tokio.

— Naturalnie, zgodziłam się na to z radością — zakończyła swe opowiadanie amerykanka. — Po pierwsze dlatego, że bardzo lubię poczciwego pułkownika, a po

drugie, widzę w tej sprawie jakąś niezwykłą awanturę, a ja za awanturami przepadam!

Pretwicz domyślał się, że awantura, która zmusiła Macready'ego do sfingowania wyjazdu swego z Tokio, musiała być rzeczywiście niezwykła. Przeczucie mówiło mu, że krok ten miał bez wątpienia logiczny związek ze śmiercią Hitashi'ego i w ogóle tej całej sprawy niebezpieczeństwa, zagrażającego białemu światu ze strony Wschodu. Równocześnie przyszło mu na myśl, że dzisiejszy list jego do pułkownika, wysłany za pośrednictwem sekretarza ambasady, bezwątpienia przy czynił się do pobudzenia ciekawości Macready'ego. Stąd cała ta awantura z porwaniem go przez amerykańkę, skutkiem czego spóźni się z wizytą u Ozari.

Zły był na pułkownika, miss Alice, a zwłaszcza na siebie za ów list, którego treść, rzecz prosta, musiała zaalarmować starego wojaka.

Miss Hooward szarpnęła taśmę, łączącą wewnątrz karozerji z miejscem dla szofera. Auto zatrzymało się na jednym z placów, leżącym niezbyt daleko od alei „Pachnącego Kwiecia”.

— Tutaj! — zapytał Pretwicz, pomagając wysiadającej amerykance.

Miss Alice ujęła go pod ramię.

— Nie... stąd do mojej wili jest zaledwie sto kroków. Pułkownik uprzedzał, aby nie podjeżdżać samochodem pod samą willę.

Po upływie paru minut znaleźli się w ogrodzie, okalającym willę.

Amerykanka wskazała Pretwiczowi budynek garażu z oświetlonymi dwoma oknami.

— Tam jest pułkownik! — rzekła, zegnając uściskiem dłoni towarzysza. — A skoro się już nagadacie, przychodźcie na kolację! Czekam!

Macready powitał wchodzącego wybuchem radości.

Pretwicz, chociaż zasepiony nieco myślą o daremnym oczekiwaniu nań Ozari, rozjaśnił twarz mieć co do tej kwestji wyczerpujące informacje i dlatego on, Macready celowo zniknął z szerszego horyzontu, aby móc niekrępowany przez nikogo zająć się zebraniem potrzebnych danych, mogących wyjaśnić owe niepokojące wydarzenia.

Pretwicz, słuchając słów opowiadającego, był niemiłe dotknięty pominięciem przez pułkownika sprawy odkrycia tajemniczych składów materiału bojowego, dokonanym przezeń podczas wycieczki do Sendai .

Czyżby Macready bagatelizował to odkrycie? Nie możliwe!

Uchwyciwszy przeto moment, gdy pułkownik, zajęty zapalaniem cygara, umilkł na chwilę, zapytał go wręcz o to.

Macready spojrział nań zdziwionym wzrokiem.

— Nic nie rozumiem! — rzekł, wzruszając ramionami. — O jakich składach mówisz, kochany kolego?

Z kolei Pretwicz popadł w zdumienie, graniczące z osłupieniem.

— Przecie komunikowałem to w liście, jaki wysłałem dzisiaj do Pana. Czyżbyś go Pan dotąd nie odebrał? — pytał niespokojnym tonem.

Macready, wypytawszy go szczegółowo o okoliczności, towarzyszące wysłaniu listu, zerwał się z krzesła, jak oparzony.

— Nic podobnego! To oni w ten sposób podeszli cię, kolego! — zakrzyknął. — Kelley nie mógł do ciebie telefonować, gdyż właśnie to on pojechał w moim płaszczu i furazerce wraz z sir Bruce'm na „King Adalbert“ do Londynu. Maskaradę taką urządziliśmy w tym celu, aby wywołać wrażenie, że jestem nieobecny w Japonii. Ktoś

podesłany odebrał list, który, naturalnie, już mają w swych rękach japończycy! No... teraz to nic dałbym i pensa za moje i twoje, kolego, życie! Ba! To jasne, że grozi nam poważnie niebezpieczeństwo! Co za szczęście, że wpadłem na myśl, żeby Pana tu dzisiaj ściągnąć! Jutro już byłaby za późno... a wiesz, kolego, dlaczego? — zapytał, kładąc dłonie na jego ramionach i nachylając się nad nim. — Oto dlatego, że jutro byłbyś już... trupem!

Pretwicz milczał, targany straszliwym niepokojem. Czyżby słowa pułkownika były proroczymi? Jeśli tak, to w takim razie Ozari...? — odpychał siłą woli uporczywie nawijającą się mu myśl.

Macready spojrzał nań uważnie raz i drugi.

— Dokąd wybierałeś się dzisiaj, kochany majorze?
— zapytał po chwili. — O ile mnie pamięć nie zawodzi, wspomniałeś, kolego, że miss Hoovard porwała cię z ulicy?

Pretwicz przez krótką chwilę zwlekał z odpowiedzią. Był przekonany, że imię Ozari wywoła rozmaite komentarze pułkownika i dlatego miał zrazu chęć ukrycia przed nim zamiaru złożenia wizyty japonce.

Lecz pułkownik, dostrzegłszy jego wahanie, łatwo domyślił się prawdy.

— Musicie być ze mną zupełnie szczerzy, kochany majorze! — rzekł, zcisząc mimowoli głos. — Od odpowiedzi na moje zapytanie zależeć będzie nasze dalsze postępowanie, tak pana, jak moje. Otóż... czy wizyta u panny Asaka, bo wszak w tym celu wyszliście z domu, kolego... była tylko waszym indywidualnym pomysłem, czy też... — urwał i przez chwilę wpatrywał się w pobladłą nagle twarz Pretwicza. — Czy też japonka zaprosiła pana, majorze na dzisiejszy wieczór? — dokończył, akcentując mocno końcowe wyrazy zdania.

Zamiast odpowiedzi, Pretwicz podał mu list Ozari. Pułkownik wpatrywał się weń długo.

— List pisany jest w chwili wielkiego zdenerwowania, — rzekł po chwili. — Znam się nieco na sztuce grafologicznej i dlatego mówię to z całym przekonaniem. Zresztą to obojętnie! Tak, czy inaczej iść tam nie możecie! — zdecydował stanowczo.

Pretwicz poruszył się niespokojnie.

— Bah! — ciągnął, dalej Macready, dostrzegłszy w oczach majora chęć oponowania przeciw temu zakazowi. — Nie podejrzewam miss Asaka o wrogie względem was, kochany kolego, zamiary, ale bardzo możliwe, a nieomal nawet i pewne, że jest ona nieświadomym celów narzędziem w ręku swego godnego wuja...

— Więc przypuszczasz pułkowniku, że Tawaschiki ośmieliłby się na jakiś wrogi krok względem dyplomatycznego przedstawiciela obcego mocarstwa? — przerwał Pretwicz. Macready uśmiechnął się, wzruszając lekko ramionami.

— Nie tylko przypuszczam, ale jestem tego zupełnie pewien! Z chwilą, gdy rozpoczyna się wielka gra, wszelkie względy usuwają się w cień... a gra ta już się rozpoczęła, — dodał marszcząc czoło.

W tej chwili rozległo się lekkie pukanie w drzwi wejściowe. Pułkownik pośpieszył, aby je otworzyć. Do pokoju wsunął się japończyk w pasiastym kimono i długim płaszczu. Na głowie miał kapelusz o obwisłym rondzie.

Macready rozjaśnił twarz w uśmiechu.

— W samą porę zjawiasz się, Joe! — zawołał, ściskając serdecznie dłoń przybyłego. — Majorze! — zwrócił się do Pretwicza. — Słyszałeś zapewne coś niecoś o t.zw. „Intelligence Service“?

Pretwicz skinął potwierdzająco głową.

— Oto, kochany majorze — ciągnął dalej pułkownik — masz przed sobą jednego z grona tych dzielnych ludzi. Nazwisko — numer 3412... zawód — porucznik królewskiej marynarki wojennej.

Zamieniono uściski dłoni. Pretwicz z przyjemnością patrzył na potężne barki porucznika, znamionujące ni zwykłą siłę.

Przybyły spojrział pytająco na Macready'ego.

Ten rzekł, wskazując gościowi fotel.

— Możesz, Joe mówić swobodnie! Przed majorem nie mam tajemnic, gdyż w wiadomej ci Sprawie odgrywa sam poważną wielce rolę. Noce nowego? — pytali, wyciągając ku niemu papierośnicę.

Gość zapalił i puściwszy kłęb dymu, rzeki powoli.

— Niema co szukać ni biednej „Adelaidy“, ni też kontrtorpedowców... leżą na dnie morza!

Macready, aczkolwiek sam przed chwilą opowiadając o zaginięciu krążownika i torpedowców, wyrażał pewność, że okręty te są już bezpowrotnie stracone, zerwał się z fotelu i przyskoczył do opowiadającego.

— Ozy to pewna rzecz? — pytał niecierpliwie.

Gość skinął głową.

— Kto? — wyrzucił z siebie jedno tylko słowo pułkownik.

— Oni! — odrzekł sucho porucznik.

Nastąpiła chwila milczenia. Macready gryzł nerwowo wargi, marszcząc brwi i zaciskając kurczowo dłonie. Pre-twicz domyślił się, że „oni“ oznacza japończyków.

— Torpedy? — rzucił nagle Macready, pochylając się ku Joemu i wpijając się weń niespokojnym wzrokiem.

Porucznik zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie... to nie torpedy! — rzekł, sięgając do kieszeni kimona i wyjmując stamtąd niewielki, podłużnego kształtu przedmiot, zawinięty w kawał brudnej tkaniny.

Odwinął tkaninę i ostrożnie postawił na stoliku metalowy cylinder o wysokości mniej więcej dwudziestu paru centymetrów i grubości ręki dorosłego człowieka. Cylinder kończył się u góry łagodnym owalem. Zdaleka przypominał ładząco nabój szrapnelowy, zwłaszcza, że część owalu zdawała się być ruchomą, o czym świadczyło wgłębienie, idąc wokół cylindra.

— To było... to! — rzekł porucznik, patrząc na Miacready'ego.

Ten sięgnął ręką w kierunku cylindra.

Porucznik szybkim ruchem powstrzymał go od tego zamiaru.

— Ostrożnie, pułkowniku... o ile wiem w naczynku tym drzemie potworna siła, która być może, zamieniłaby nie tylko nas, lecz i część miasta w drobny pyłek! — zakrzyknął.

Pretwicz, pochyliwszy się nad cylindrem, począł go rozglądać ciekawie. Nagle okrzyk zdumienia wydarł się z jego piersi.

— Pułkowniku, patrz! — rzekł, wskazując palcem owal cylindra.

Macready przez chwilę badał z uwagą wskazany szczegół przedmiotu. Na wierzchołku owalu widniały niewyraźne znaki.

— Znak z medaljonu Hitaschi'ego; — mruknął po chwili. — Tak... nie ulega wątpliwości... najwyraźniej dwie, splecione w uścisku dłonie i pochodnia. No więc... słuchamy! — zwrócił się do porucznika, siadając.

Ten milczał przez chwilę, wreszcie, poprawiwszy się wygodnie w fotelu, począł mówić.

— Otrzymałszy od ciebie, pułkowniku, rozkaz badania na tamtejszym gruncie sprawy zniknięcia statków, podzieliliśmy się z Walkerem pracą. On, jako znający doskonale teren portu w Sasebo, udał się do tej bazy operacyjnej i głównego arsenału floty japońskiej, aby tam czynić poszukiwania, a ja pozostałem w Tokio, gdyż przecucie mówiło mi, że japończycy nie są tacy naiwni, aby tajemnicę swych wynalazków i udoskonaleń broni trzymać w porcie, który, jakkolwiek, jako wojskowy teren, jest strzeżonym, lecz i również często bywa, zwiedzany przez rozmaitych attaches oraz misje wojskowe. Zresztą we dwóch nie mielibyśmy tam co robić. Natomiast począłem usilnie śledzić Tawaschiki'ego.

Pułkownik poruszył się niecierpliwie i rzucił okiem na Pretwicza, jak gdyby chcąc się przekonać, czy ten dosłyszał końcowe słowa opowiadającego.

Lecz Pretwicz siedział nieruchomo, utkwivszy wzrok w twarzy porucznika. Zmarszczone brwi oraz skupione spojrzenie świadczyły o zainteresowaniu, jakie nań wywierały słowa Joego.

— W przebraniu japońskim deptałam mu po piętach — ciągnął dalej opowiadający — i po paru dniach obserwacji zauważyłem, że generał codziennie, a nawet niekiedy i dwa razy na dzień, jeździ do pewnej willi w pobliżu politechnika. Willa ta, jak się okazało, należała do profesora chemii na politechnice. niejakiego doktora Sato. Uderzyło mnie to. Tawaschiki i chemik... ehe, myślę sobie, w tom coś jest!

Macready kiwnął parokrotnie głową na znak swego uznania.

— Porzuciłem więc Tawaschiki'ego, gdyż był mi on już niepotrzebnym i główną uwagę zwróciłem na profesora. Parę dni, nic. Aż raz widzę, jak mój czcigodny profesor pakuje się do auta z walizką w rękę. Jadę zanim! Na dworzec... dobrze, myślę sobie! Już cię nie puszcę! Kupuje bilet do Kagoszimy, jadę i ja! Kagoszyma to jest portowe miasto na wyspie Kiuszu — pojaśnił. — Na dworcu czeka auto... a w aucie kto... Tawaschiki i paru wyższych oficerów. Ucieszyłem się, bo już z wachałem, że coś tu się będzie dziać ciekawego. Nie ma żarty prze-

cie chyba mój staruszek profesor fatygował się taki kawał drogi!

A mrok już był zupełny. Ruszyli... ja za nimi w aucie. Podjeżdżają do portu... stanęli na bulwarze moło i czekają. Od razum się domyślił, że wyjadą na morze. Więc ja w bak... żywego ducha naokół nie ma... kimono z siebie i do wody! Dopłynąłem cichutko pomiędzy słupami moło aż do tego miejsca, gdzie stali. Głowę za słup i czekam! Za parę minut podchodzi motorówka. Siadają... ja nura i chwyciłem się za pióro steru! Ruszyli... płynę, uważając, aby mi ster łba nie rozbił...ale, że było zupełnie ciemno, więc też niezbyt się krępowałem i uczepiłem się mocno.

Szczęściem była to motorówka kierowana z maszyny, gdyż inaczej sterujący mógłby mnie łatwo dojrzeć. Płyną dość długo... zrazu wzdłuż zatoki, a potem na pełne morze i w prawo! Po upływie pół godziny zawinęli do małej zatoczki... zwolnili biegu i podjechaliśmy do jakiegoś przedmiotu, leżącego na wodzie. Łódź podwodna... ale maleńka... nie większa od cztoroosobowej łódki! Z łodzi wyszedł jakiś jegomość, któremu przybyli poczęli wieszować! Cicho było, więc słyszałem każde siłowo wyraźnie. Biedna „Adelaida“... biedne kontrtorpedowce! — westchnął, zwieszając głowę. — Ni żywa dusza nie ocalała! Wszyscy... wszyscy!

Umilkł na chwilę, patrząc ponurym wzrokiem przed siebie.

Wreszcie westchnął z żalem i ciągnął dalej:

— Gdyby mi kto opowiadał, parsknąłbym śmiechem... ale sam słyszałem całą relację tego, który je zatopił. Straszna rzecz! Piekielny wynalazek! Otóż, ten jegomość, który był na łodzi opowiadał o całej tej sprawie z detalami. Gdy statki były odeń odległe o trzy mile morskie, umieścił cylinder na pływaku i sam pośpiesznie umknął. Jak opowiadał, po upływie 20 minut, gdy statki zbliżyły się na odległość poł mili nastąpił wybuch, który podniósł podobno takie góry wodne, że wszystkie trzy statki, porwane straszliwym wirem zatoneły w przeciągu paru sekund. „On“ obserwował przez lornetę z oddali i widział, jak „Adelaida“, przekręciwszy się parę razy w powietrzu, poszła na dno, jak kamień. Co zaś się tyczy kontrtorpedowców, to twierdził, że nawet nie zauważył kiedy zatoneły. „On“ opowiadał dalej, że choć miał dwa cylindry, jednak zużył tylko jeden, gdyż działanie tego jednego wystarczyłoby na zatopienie całej floty. Wyniósł ten drugi cylinder z łodzi i wręczył go profesorowi. Teraz z kolei poczęto winszować temu ostatniemu. Profesor zaś zaznajamiał obecnych z istotą swego wynalazku, lecz, ma nieszczęście, nie wiele co mogłam z tego dosłyszeć, gdyż mówił nadzwyczaj cicho. Odróżniłem jednak kilkakrotnie powtórzone słowo: „powietrze“. A potem ów jegomość z łodzi powrócił na nią... wszedł do wnętrza... zatrzasnął za sobą coś w rodzaju okrągłej pokrywy i począł manewro-

wać. Co ja widziałem... co ja widziałem! — wzdrygnął się nagle opowiadający, załamując ze zgrozą dłonie.

Macready spojrział nań wyczekująco.

Porucznik zerwał się nagle z fotelu.

— Pułkowniku! — zakrzyknął, zbliżając się ku niemu i topiąc w jego oczach rozgorączkowany niepokojom wzrok. — Jaką sobie pani wyobraża największą szybkość najbardziej nowoczesnego statku wojennego?

— Trzydzieści dwa.... trzydzieści trzy węzły na godzinę — odrzekł Macready po chwili namysłu.

— Trzydzieści trzy... tak... to maksimum.... maksimum! — powtórzył porucznik, pochylając się coraz więcej nad siedzącym pułkownikiem. A „on“ robił na godzinę węzłów co najmniej... siedemdziesiąt!

Macready wskoczył na równe nogi.

Przez chwilę mierzył Joego wzrokiem, w którym przebijało się zdumienie i niewiara.

— Nie może być! — zakrzyknął zdławionym głosem.

Porucznik skinął powoli głową.

— Jestem marynarzem i... znam się na tem. Ruchy łodzi były tak szybkie, że nie mogłem za nią nadążyć wzrokiem... opływała nas dokoła, to nurkując z błyskawiczną szybkością, to wynurza jac się tuż obok motorówki, aby zaraz o kilkanaście metrów dalej zapaść się, jak widmo w głębiny! Nie... takiej łodzi żaden artylerzysta nie weźmie nawet na cel, a cóż dopiero mówić o trafie-

niu! Eh! — machnął ręką i opadłszy z powrotem na fotel, znieruchomiał w ponurej zadumie...

Nastała chwila długiego, przygniatającego milczenia. Pretwicz ze współczuciem obserwował obu angików... Niepokój ich był dlań łatwo zrozumiałym. Oto ci dwaj synowie dumnego Albionu, który swój byt i rozwój zawdzięczał zawsze jedynie tylko niepodzielnemu władztwu na wodach mórz i oceanów, przekonali się w tej chwili, że władztwu temu zagrażać może kres, że dumna, niezwyciężona dotąd przez nikogo flota, chluba i chwała obywateli Imperium, może się stać bezsilną wobec jednego tylko genialnego przeblysku myśli skromnego uczonego.

Zwłaszcza porucznik, ten, który na własne oczy przekonał się o niszczycielskiej sile nowej broni japońskiej, zdawał się być w obecnej chwili zupełnie złamanym na duchu. Nic dziwnego... jako oficer floty uważanej dotąd powszechnie za niezwalczoną, musi cierpieć niezmiernie, widząc zmierzch jej potęgi.

Jednak Macready, siedzący dotąd z zaciśniętymi kurczowo wargami, i zmarszczoną brwią, otrząsnął się rychło z przygnębienia.

Wyprostował się w fotelu i ozwał się, jak gdyby karzącym nieco tonem.

— No Joe... dalej! Nie myśl o tem, co będzie! Ta rzecz do nas nie należy! Zadaniem naszym jest wykrywanie niebezpieczeństw... odwróceniom ich zajmują się inni.

Skąd masz to? — dorzucił, wskazując stojący na stole przedmiot.

Porucznik ze stanu przygnębienia przeszedł nagle do wybuchu wesołości. Począł śmiać się, świecąc przytem niepokalaną bielą swych zębów.

— Ha... ha!—śmiał się jak szalony.—Wypłatałem potężnego figla temu całemu szacownemu gronu! To jedno ironie jeszcze pociesza w tej sprawie! Jak już wspomniałem, człowiek z łódki zużył tylko jeden nabój, zatapiając nasze statki, drugi egzemplarz tej broni zwrócił profesorowi. Otóż, gdy już, pożegnawszy się z tym, z łodzi, znajdujący się w motorówce dali rozkaz do powrotu, profesor, siedzący na ostatniej ławce, położył cylinder koło siebie... o pół zaledwie metra przed moim nosem. Kiedy motorówka dobiegała do molo... puściłem ster i uchwyciwszy się lewą ręką burty, drugą szczęśliwie ściągnąłem cylinderek i, nurkując, ukryłem się między słupami molo. Ach... żebyście wy wiedzieli, jak oni szukali tego cylindra... tobyście pękali ze śmiechu! Bardzo to było zabawne... przysięgam na honor! — opowiadał, zanosząc się od śmiechu.—Profesor uporczywie twierdził, że cylinder musiał się stoczyć z ławki na dno motorówki... przetrząsnęli ją całą... no i, rzecz prosta, nie znaleźli nic! Wreszcie Tawaschiki zdecydował, że cylinder wpadł do

morza przy pochyleniu się łodzi. Wysiedli i poszli! Motorówka również odpłynęła... odnalazłem swoje kimonno... no i jestem tutaj! To wszystko!

— Wspomniałeś się spisałeś Joe! — rzekł Macready, wyciągając ku niemu, dłoń. Poślemy to zaraz do Londynu... niech tam w arsenale robią sobie z tem, co chcą! A teraz, o ile nie jesteś, mój chłopcze, zmęczony, wypłatamy Tawaschiki'emu takiego figla, jakiego mu nikt dotąd w życiu nie urządził. Czy masz przy sobie europejskie ubranie?

— Mam je pod kimonem, a co się tyczy zmęczenia, to chociaż naprawdę spać mi się chce nieco, jednak, jeśli chodzi o figiel, jestem gotów!- z błyskiem energii i jak gdyby łobuzerskiego rozradowania w oczach zapewnił Joe.

Pułkownik w krótkich słowach zaznajomił go z odkryciem Pretwicza i z niebezpieczeństwem, jakie wskutek tego grozi temu ostatniemu ze strony Tawaschiki'ego.

Porucznik, dowiedziawszy się o tem, począł spoglądać odtąd na Pretwicza z pewnego rodzaju uszanowaniem, a gdy pułkownik mimochodem wspomniął o medalionie, jaki dzięki Pretwiczowi umierający Hitaschi zdołał przesłać ambasadzie, Joe w porywie uznania uścisnął serdecznie dłoń majora.

Macready zanim przystąpił do wyłuszczenia na czem polegać ma ów figiel, którego ofiarą paść ma Tawaschiki, zapytał Joego, czy tenże posiada jakikolwiek dokument osobisty.

Okazało się, że porucznik ma przy sobie wszelkie papiery na imię Henryka Jooville, stewarda francuskiego

pasażerskiego statku, kursującego na linii, Marsylia — Jokohama. Ze słów Joego wynikało, że autentyczny Jonville zginął w bójce w jakimś szynku w porcie joko-hamskim, gdzie pocieszał się po utracie zajmowanej na statku posady. Jakim sposobem Joe wszedł w posiadanie dokumentów zmarłego — było tajemnicą porucznika. Zapewne, jako świadek bójki skorzystał z nadarzającej się sposobności, aby zdobyć dokumenty, wspaniale ochraniające jego incognito w razie wpadnięcia w ręce kontrwywiadu japońskiego.

Plan Maeready'ego polegał właśnie na tem, że porucznik zdołał uniknąć dotąd wszelkich podejrzeń owego kontrwywiadu, czyli, jak się to określało fachowo, był zupełnie „czystymi”. Otóż Joe mając w kieszeni, sfabrykowany naprędce list do miss Alice, polecający go jej, jako stewarda na „My Boy'a“, miał, jakoby przez omyłkę, zadzwonić do bramy willi Ozari

— Istnieje 99 szans na 100, że Tawaschiki urządził przy hramie zasadzkę na was, panie majorze!—twierdził Macready. — Otóż zbiry wezmą Joego za pana i porwą go, gdyż o zabijaniu na ulicy niema, zdaje się umowy. Zapewne wy wiozą go w jakąś dziurę, gdzie będą więcej swobodni. Wówczas Joe postara się o to, aby ich pomyłka wyszła na wierzch. Sądzę, chłopcze, że ci nic nie zrobią! — zakończył, zwracając się do porucznika.

— Han... zobaczymy! — odmruknął tenże, zrzucając z siebie kimono i przyprowadzając swój ubiór do porządku.

— W każdym razie będę się starał, aby się wywinąć, zwłaszcza, że mam nadzieję dowiedzieć się tam czegoś nowego.

— Fabrykuj więc list na imię miss Hooward i w drogę! — komenderował Macready. No... majorze, wdziejaj kimono! Udamy się zdała za Joem, aby obserwować komiczną pomyłkę funkcjonarjuszów pana generała!

Za chwilę znaleźli się na ulicy, która ze względu na dość późną godzinę, była zupełnie pustą.

Pułkownik objaśnił Joego o miejscu znajdowania się willi japonki i porucznik, pożegnawszy się z nimi, ruszył naprzód.

Macready pociągnął majora na drugą stronę ulicy.

— Idźmy powoli, nie tracąc go jednak z oczu! — szepnął, biorąc pod ramię Pretwicza. — Nasze wcześniejsze przybycie na miejsce wypadku mogłoby spłoszyć ptaszków!

Szli cicho wzdłuż ogrodzeń parków i z rzadka stojących willi, unikając miejsc oświetlonych. Postać Joego widniała przed ich wzrokiem po drugiej stronie ulicy.

Przeszli tak w milczeniu odległość, dzielącą willę miss Alice od willi Ozari.

Nagle Macready ścisnął znacząco ramię Pretwicza.

— Przed willą stoi samochód... doskonale... byłem tego pewien — szepnął przyspieszając nieco kroku.

Joe dochodził już tymczasem do bramy willi. Przyjaciele widzieli go doskonale, gdyż akurat obok bramy paliła się jaskrawym światłem uliczna latarnia.

W ciszy wieczoru rozległ się energiczny, doniosły dźwięk dzwonka.

Macready przystanął wraz z towarzyszem prawie na wprost willi za węglem jakiegoś ogrodzenia.

— Zaraz się zaczniesz; — szepnął cicho w ucho majorowi.

Dzwonek zabrzmiał po raz drugi, targany niecierpliwą dłonią Joego.

Z za samochodu poczęły się wynurzać trzy skulone cienie czających się do skoku ludzi. Obserwujący wyraźnie dostrzegli, że jeden z podkradających się ku stojącemu obok furty porucznikowi trzymał w rękach swych spory kawał jakiejś materji.

Jeszcze chwila i nagle zakotłowało się przed bramą. Do obserwujących dobiegły odgłosy staczanej walki. Trwało to wszystko zaledwie kilkanaście sekund. Trzy cienie podbiegły do samochodu, niosąc na ramionach jakiś duży przedmiot.

Przedmiotem tym był Joe, omotany szerokim kimonem. Cienie wniosły go do wnętrza samochodu i za chwilę ten ruszył przed siebie szalonym pędem, znikając po chwili z oczu obserwujących z ukrycia całą tę scenę.

— Udało się!—mruknął Macready. — Możemy podejść nieco bliżej ku willi. Nic mamy się czego obawiać... Taiwaschiki‘ego tam niema — dodał, wychodząc z ukrycia.

— Z czego tak wnosisz, pułkowniku? — pytał Pretwicz, podążając za nim.

— Nie było drugiego auta, co jest znakiem, że Tawaschiki oczekuje na przywiezienie mu jeńca gdzieindziej.

Nagle... głośny huk wystrzału przerwał wywody pułkownika. Zaraz po tem szczęk tłuczonego szkła i brzęk metalowych naczyń, spadających wysoka. Odgłosy te wydobywały się z rozwartych, migocących światłem poprzez liście drzew, okien willi Ozari.

Pretwicz rzucił się naprzód.

— Stój! — krzyknął Macready, usiłując go dopędzić. — Stój... tam śmierć!

Lecz Pretwicz dobiegł już do bramy willi. Przez chwilę targał wściekle klamką furty, która po kilku szarpnięciach ustąpiła. Jak szalony biegł poprzez gazony, klomby, kierując się ku znanym sobie drzwiom wejściowym. Olbrzymiemi skokami przesadzał krzewy tamujące mu drogę, a straszliwy niepokój targał nim całym, ukazując przed jego oczyma scenę mordowania Ozari przez Tawaschiki‘ego. Tak... tylko on... ten nieludzko bezwzględny człowiek mógł być teraz tam, wewnątrz wili,

aby wymierzyć siostrzenicy karę za okazanie miłości dla cudzoziemca... dla niego!

Szczęknięły rozgłośnie drzwi, rozwarte jego dłonią. Pędem przebiegł hall i wpadli do jadalni, którą znał dobrze z czasów swych kilkakrotnych wizyt w willi japonki.

Straszny widok uderzył jego oczy. Na posadzce, prawie pośrodku pokoju, obok niewielkiego stolika, z którego zwieszała się serweta, wśród szczątków rozpryśniętego nakrycia do herbaty, leżała Ozami. Białe jej kimono skrwawione było obficie w okolicach serca. W zaciśniętych kurczowo palcach prawej ręki błyszczał metalowym połyskiem rewolwer.

— Ozari! — zakrzyknął Pretwicz, rzucając się ku niej i chwytając ją w ramiona.

Powieki japonki zadrgały lekko i po chwili uniosły się w górę. Dwie ciemne źrenice spojrzały w oczy Pretwicza.

W źrenicach tych odbiło się bezgraniczne zdumienie. Głowa Ozari oderwała się od podtrzymującego ją ramienia i poczęła z wysiłkiem zbliżać się ku twarzy Pretwicza.

— Ozari! — zakrzyknął Pretwicz — Kto cię zabił? Tawaschiki?

Na wargi japonki wybiegły ciche słowa.

— Żyjesz?... Sądziłam, że to ciebie... nie... to ja sama zabiłam siebie, bo cię kocham... kocham cię.. Uciekaj... uciekaj! — zakrzyknęła głośnie.

Wąskie pasemko krwi ukazało się na jej poblądłych wargach. Żrenice jej poczuły zachodząc mgłą.

— Uciekaj! — szepnęła i powieki jej zwarły się... głowa przechyliła się na bok... dłoń jej lewej ręki osunęła się z głuchym stukiem z ramienia

Pretwicza na posadzkę.

Pretwicz podniósł się, kołysząc jej bezwładne ciało ma swych rękach. Obok pod ścianą stała kozetka, zarzucona wzorzystemi poduszkami. Złożył na niej Ozari, przemawiając do niej najczulszymi wyrazami. W pewnej chwili uczuł dotknięcie czyjejś dłoni. Podniósł głowę... Macready usunął go lekko na bok i, pachyliwszy się nad Ozari przyłożył ucho do jej piersi.

Pretwicz z trwogą śledził jego ruchy.

Macready po chwili wyprostował się. Miękim, pieczołowitym ruchem zakrył kimonem jej krwawiącą pierś — i obnażywszy głowę, milcząc, wpatrywał się w leżącą.

— Pułkowniku... Ozari...? — wybiegł na usta.

Pretwicza zdławiony zgrozą okrzyk. Macready zwrócił nań poważne spojrzenie.

— Nie... żyje! — odrzekł szeptem.

Pretwicz z rozpaczliwym jękiem rzucił się ku leżącej. Pułkownik zatrzymał go żelaznym uściskiem swych ramion.

— Chodź stąd, kolego — rzekł stanowczym głosem.— Zmarłej nie powrócisz życia, a sam je... utracisz!

Lada chwila zbiegnie się służba... zawiadomią Tawaschiki'ego... a wówczas...

— Umrę z nią razem! — rwał się oszalały z bólu.

— Ojczyzna potrzebuje cię żywego! — surowo rzucał Macready, patrząc nań swemi stalowemi oczyma.

Pretwicz jęknął głucho.

Macready sięgnął ręką do wazonu, stojącego obok kozetki i, wyjąwszy z niego pęk białych chryzantem, rzucał je ma ciało japonki.

-- Odejdźmy! — rzekł, ujmując rękę Pretwicza.

Ten objąwszy dłońmi stopy leżącej, przylgnął do nich twarzą, całując.

-- Chodź! — z mocą w głosie powtórzył pułkownik Macready.

Pretwicz podniósł się z klęczek. Macready ujął go wpół i pociągnął za sobą.

VI.

Te dwa tygodnie, jakie upłynęły od owego pamiętnego wieczoru, gdy Ozari targnęła się na swe życie, przebył Pretwicz, jak gdyby nie zdając sobie sprawy z tego, co się wokół niego działo.

Kilkakrotnie wesoła, kipiąca życiem amerykanka usiłowała wyrwać go ze stanu odrętwienia, w jakim się znaj

dował, w czym gorliwie dopomagał jej Macready, którego dramat majora wstrząsnął do głębi. Lecz wszystkie ich starania nie odnosiły skutku. Pretwicz towarzyszył miss Alice podczas spacerów po miniaturowych alejach ogrodu, odpowiadając jedynie monosylabami na jej zapytania, z przyjemnością, zda się, spędzał wraz z pułkownikiem długie godziny wieczorów w jej salonie, słuchając Beethovena i Griega, odtwarzanych przez nią po mistrzowsku, ale, tak miss Alice, jak i Macready widzieli dobrze, że czyni on to, jak gdyby pod pewnego rodzaju przymusem, gdyż skoro tylko zaprzestawano zwracać nań baczną uwagę, wracał natychmiast do swego pokoiku, którego sam nigdy nie opuszczał dobrowolnie.

Miss Alice, powiadomiona przez Macready'ego o wypadku w willi Ozari, udała się tam następnego zaraz dnia lecz willa pustą była zupełnie, jak gdyby w pokojach jej nie mieszkał nikt już od dawna. Również i wizyta amerykanki w domu Tawaschiki'ego nie dała żadnych rezultatów. Generał był nieobecny w Tokio, bawiąc, jak zaręczała służba, od dłuższego już czasu na inspekcji magazynów amunicyjnych w garnizonach prowincjonalnych.

Macready, wysłuchawszy relacji miss Hooward o tem wszystkim, orzekł, że najwidoczniej Tawaschiki, pragnąc uniknąć komentarzy ogółu o samobójstwie Ozari, polecił zlikwidować całą tę sprawę przez wywiezienie zwłok siostrzenicy skryte ich pochowanie.

Przypuszczeniem tym nie podzieli! się jednak pułkownik z Pretwiczem, nie chcąc rozjątrzać słowa mi swymi krwawiącą się ranę przyjaciela. Natomiast wyciągał go często na długie dysputy polityczne, do których tematu dostarczały mu informacje, w tajemniczy sposób otrzymywane z ambasady.

Obydwaj czekali na rezultaty raportów, przesłanych swym rządowi. Poza tem niepokoił się zwłaszcza Macready brakiem wiadomości od Joego, który, porwany pamiętnego wieczoru zamiast Pretwicza, zginął odtąd, jak kamień w wodzie. Pułkownik coraz częściej począł wypowiadać przypuszczenie, że śmiały i ryzykowny aż do bezczelności porucznik padł ofiarą zaciekleści i zemsty Tawaschiki'ego.

Lecz na szesnasty dzień po porwaniu, późnym wieczorem w pokoju, zajmowanym przez dwóch przyjaciół zjawiał się niespodziewanie Joe.

Wbrew nadziejom Macready'ego i swoim fakt porwania nie wniósł nic nowego do sprawy. Skrępowany zarzuconym nań przez sprawców porwania kimonem, symulując omdlenie, Joe po dwóch godzinach jazdy samochodem znalazł się na jakimś pustkowiu przed typową chatą rolnika japońskiego. Wprowadzony do izby, uwolniony został z więzów. W izbie, prócz sprawców porwania znajdowało się jeszcze trzech mężczyzn, którzy na widok więźnia uczynili tak zdumione miny, że porucznik musiał z trudem panować nad chęcią parsknięcia śmie-

chem. Zrewidowano go drobiazgowo list przezeń sfabrykowany przechodził z rąk do rąk owych trzech jegomościów, będących, jak się zdawało, zwierzchnikami sprawców potrwania, którzy najwidoczniej wstydząc się swej pomyłki mieli miny obitych psów.

Badanie nie trwało długo. Wystarczające dowody, posiadane przez Joego, jego rozbrajająca naiwność uspokoiły niebawem zupełnie badających, którzy po chwili rozmowy między sobą oznajmili porucznikowi, że aresztowany został przez pomyłkę, jako sprawca napadu rabunkowego. W końcu zapytano, dokąd chce, aby go odwieziono. Joe, udający, iż nie rozumie ni słowa po japońsku, poprosił o odwiezienie go do Jokohamy, gdzie jak opowiadał spodziewał się znaleźć jakiegokolwiek zajęcie na jednym ze statków, udających się do Europy.

W krytym samochodzie z zasłoniętymi u okien firankami przywieziono go rzeczywiście tejże jeszcze nocy do portu jokohamskiego, gdzie go umieszczono w jednym z podrzędnych hotelików. Nazajutrz zbudził się już całkowicie wolny. Miał zrazu zamiar powrócić natychmiast do Tokio, lecz parę chwil po opuszczeniu hotelu dostrzegł, że jest śledzony, wobec czego nie pozostawało mu nic innego, jak odgrywać dalej rolę poszukującego pracy. Śledzenie to trwało dość długo i dopiero mistrzowskie zachowanie się Joego w obranej przezeń roli uspokoiło japończyków. Przekonawszy się, iż nie jest już śledzonym, opuścił Jokohamę drogą okrężną na Tojamę i Kanasawę,

aby zmylić ślady przybył do Tokio. Poza tem porucznik, zanim przybył tutaj, odwiedził w przebraniu ambasadę, gdzie wręczono mu dla Macready'ego list, nadeszły pocztą aeroplanową z Londynu.

Rozpieczętowawszy go, Macready, zakrzyknął ze zdumienia.

Wewnątrz znajdowała się mniejsza koperta, adresowana na imię attache wojskowego przy poselstwie polskim, Karola Pretwicza.

— Z gabinetu ministra wojny! — zauważył major, rzuciwszy okiem na wręczoną mu przez pułkownika kopertę.

— Zdaje się, że nasze raporty zrobiły swoje! - zauważył Macready, zabierając się do odcyfrowania szyfrowanego pisma.

Pretwicz uczynił to samo. Gabinet ministra zawiadomił go, iż raport jego wzięty został pod uwagę, tembardziej, iż nadszedł on w czasie, gdy rząd londyński przez swe go umyślnego wysłannika zaznajomił rząd polski z obawami i przewidywaniami swymi co do zamierzeń złótego świata. W dalszym swym ciągu pismo zawierało instrukcję, tyczącą się jego przyszłych losów. Oto, uznając przyczyny, dla których nie może nadal pozostać w Japonji, gabinet poleca mu skomunikować się bezwłocznie z angielskim attache wojskowym, Macready'm, celem wspólnego zbadania przyczyn masowej emigracji japońskich wykwalifikowanych robotników kolejowych i bu-

dowlanych na pogranicze chińsko tybetańskie, o czym rząd angielski został powiadomiony przed niedawnym czasem. W zakończeniu pismo zawierało wiadomość o posunięciu go do rangi podpułkownika oraz wskazówki co do przesyłania gabinetowi dalszych raportów. Raporty te miały odchodzić z raportami Macready'ego do Londynu, skąd natychmiast będą przesyłane do Polski.

Pretwicz, ukończywszy czytanie listu, zamyślił się głęboko. Znał doskonale swego ministra i wierzył bez zastrzeżeń w jego głęboki umysł i obiektywne, nacechowane krytycyzmem, zapatrywanie się na rzeczy.

Więc jednak prawdą jest to, o czym zapewniali od swego czasu sir Bruce i pułkownik? Więc jednak wybitne umysły starego świata zupełnie logicznie zdają sobie sprawę z możliwości targnięcia się ludów Azji na Europę? Ba... nie tylko myślą o tem, lecz, jak świadczy treść odczytanego przed chwilą pisma, robią wszystko, co możliwe, aby ewentualne wypadki nie zaskoczyły białej rasy niespodzianie!

Zrozumiał to i uczył, że świadomość wielkiej misji, jaką został obarczony, pozwoli, chociażby na razie, zapomnieć o bólu, jaki bezustannie szarpał go swymi zachłannymi szponami za serce.

Rozmyślanie jego przerwane zostały słowami pułkownika, który utkwivszy weń rozradowany wzrok, pytał.

- Cóż... kochany kolego... jedziemy, prawda?

Pretwicz wyciągnął ku niemu dłoń.

--- Serdecznie rad jestem z tego, że nie będę musiał rozstawać się z tobą, pułkowniku! — mówił z akcentem rozradowania w głosie.

W stalowych oczach Macready'ego zamigotało rozczulenie.

Podniósł się i serdecznie objął Pretwicza.

— Gdy będziesz pisał, kolego, pierwszy raport do swego ministra nie zapomnij nadmienić, że pewien stary angielski pułkownik, który przez całe swoje życie nie miał ni chwili czasu na sentymenty, dziękuje mu serdecznie za towarzysza, jakiego dlań wybrała jego decyzja. Niech żyje twój minister, kolego! — zakrzyknął z entuzjazmem. —

Dzielny to chłop... coś, niecoś słyszałem o nim!

Radosny okrzyki pułkownika zbudził Joego z drzemki, jaką ten sobie uciał, korzystając z zajęcia się obu ich listami. Wytrzeszczył więc swe, zaspane nieco oczy na Macready'ego, nie rozumiejąc powodów rozweselonej miny pułkownika.

Ten dostrzegłszy to, zwrócił się ku porucznikowi.

— Hej... Joe! — zakrzyknął. — Jedziemy do Tybetu!

Porucznik zerwał się i bez słowa począł naciągać płaszcz na ramiona.

Pułkownik, a za nim Pretwicz parsknęli głośnym śmiechem.

— Nie bądź taki w gorącej wodzie kąpany, chłopcze! — żartował Macready, ściągając z jego ramion płaszcz. — Jedziemy, lecz przedtem musi my pożegnać naszą urczą gospodynię i podziękować jej za użyczoną nam łaskawie gościnę.

Miss Alice spotkała ich, wywijając trzymanym w ręku listem.

— Przed chwilą właśnie otrzymałam anonim, donoszący, iż „My Boy“, naprawiony już, znajduje się w Naga saki i, że każdej chwili mogę go obsadzić swoją załogą! List... — poczęła rozglądać kopertę — wysłany jest z Takuszimy.

Macready strzepnął lekceważąco palcami.

— Kiedy indziej zainteresowalibyśmy się praw dopodobnie tych listem, ale wobec naszego wyjazdu...

- Dokąd, że znowu? — pytała zaciekawiona amerykańkanka, zapraszając ich równocześnie ruchem ręki do stołu.

Pułkownik zaspokoił jej ciekawość, nie wymieniając naturalnie powodów wyjazdu. Dowiedziawszy się, że Pretwicz również wyjeżdża, miss Alice zasepiła się nieco.

-- Indie... cudny kraj! — szepnęła po chwili, jak gdyby do siebie. — Kto wie... może spotkamy się tam... a kiedy wyjeżdżacie, panowie? — zapytała w oczach jej zatliły się błyski, świadczące o nagłym zainteresowaniu się jakoś nową myślą.

Pretwicz roześmiał się lekko.

-- Właśnie... z tym naszym wyjazdem, mam wrażenie, będzie nielada kłopot — rzekł, rzucając spojrzenie na pułkownika.

Oblicze Macready'ego zachmurzyło się nagle.

— Prawda! — mruknął, trąc dłonią czoło.—Nie pomyślałem o tem.

Nastąpiła chwila milczenia.

Miss Alice uważnie obwiodła wzrokiem twarze swych gości.

— Chcecie wyjechać, nie spostrzeżeni przez nikogo? — rzuciła nagle pytanie przyciszonym głosem.

Macready spojrzał na nią badawczo.

— Tak! — przyznał po chwili namysłu.— Ale to trudna sprawa! — dodał, kręcąc w zakłopotaniu głową.

— A „My Boy“? — poddała amerykanka.

Pułkownik ożywił się.

— „My Boy“! — powtórzył. — Tak... to dobra myśl!

— Dobra i... nie dobra! — oponował Pretwicz. Należy przypuszczać, że wszelkie wyjazdy z portów są ściśle kontrolowane przez japończyków.

— Bez wątpienia! — poparł go Joe. — Zresztą... przy przedostawaniu się naszym na pokład jachtu poznałiby nas niechybnie!

— Można by was przetransportować na jacht w kufrach — zaproponowała gospodyni.

Pułkownik potrząsł głową, zaprzeczając.

— Pod pierwszym lepszym pretekstem zarządzą rewizję celną pakunków, transportowanych na pokład statku i znajdujących nas. Prawda Joe? — zwrócił się z zapytaniem do porucznika.

Ten wzruszył ramionami, jak gdyby zaznaczając, że projekt amerykanki nie przypada mu do gustu.

— Naturalnie! Ja, będąc na ich miejscu sam uczyniłbym tak!

— Jest tylko jeden sposób przedostania się na „My Boy‘a“, o ile, naturalnie, miss Hooward ze chce zrobić z mów małą wycieczkę, — Ozwał się Pretwicz.

Spojrzenia obecnych spoczęły na jego twarzy.

Począł rozwijać swój plan.

Jacht miss Hooward powinien oczekiwać na nich na morzu, w odległości paru mil od wybranego uprzednio punktu wybrzeża, skąd oni będą starali się dotrzeć do „My Boy‘a“ motorówką lub zwykłą łodzią żaglową. Zdaniem jego, plan ten ma największe szanse udania się, łatwiej im będzie wykraść się, chociażby w przebraniu, na łodzi z jakiejś ustronnej miejscowości, niż jawnie ukazać się w ruchliwym, rojącym się na pewno od szpiegów Taschiki'ego porcie.

Projekt spotkał się z ogólną aprobatą. Chodziło tylko o określenie miejsca. Joe, po namyśle wybrał Nagasaki, jako najbardziej wysunięty na zachód punkt wybrzeży japońskich. Jacht miał oczekiwać na nich, krążąc na morzu w odległości paru mil morskich od brzegu. Jako termin

oznaczono sobotę, od której dzieliło ich jeszcze pięć dni. Miss Alice miała zatem czas na przygotowanie „My-Boy‘a“ do podróży.

Postanowiono, iż opuści ona jutro rano willę, o ile można bez rozgłosu, gdyż należało się spodziewać, że ludzie Tawaschiki‘ego śledzić będą „My Boy‘a“ oraz wszystkich tych, którzy znajdą się na jego pokładzie. Bezpieczniej będzie zatem, gdy Tawaschiki dowie się jak najpóźniej o odejście jachtu.

Omówiwszy szczegółowo wszystko, amerykanka skreśliła parę słów instrukcji dla Smitha, przebywającego w jednym z hoteli Tokio. List obiecał dzisiaj jeszcze doręczyć kapitanowi Joe, który prócz tego miał się skomunikować ze służącym Pretwicza, aby tenże wyjechał pierwszym statkiem, odpływającym do Europy, zabierając z sobą rzeczy swego pana. Miał on jednak, korzystając z zawinięcia okrętu do portu Singapoore, wysiąść w tym mieście i zgłosić się do dowództwa twierdzy, celem zasiągnięcia wiadomości o Pretwiczu lub spotkania siłą z nim, gdyż zamiarem Macready‘ego było przedostać się do Singapoore, a stamtąd linią kolejową przez półwysep Malajski dotrzeć do Birmy Górnej, graniczącej z Tybetem.

Końcowym etapem ich podróży kolejną miało być miasteczko Sadija, leżące nad rzeką Lo-hi, lewobrzeżnym dopływem Bramaputry. Sadija miało się stać punktem, z którego rozpocząć mieli podróż przez Tybet Wschodni, kierując się przez jeziora Tsiszisan i Kukunor do sto-

ków potężnego Nanszanu, za którymi rozciągała się pustynia Gobi, której południowo-zachodnia część była ostatecznym celem ich wyprawy.

Dobrze już było po północy, gdy goście amerykański opuszczali jej willę, w której przez tak długi przeciąg czasu korzystali z gościny.

Pułkownik osądził, że nieroztropnem byłoby pozostawać dłużej w willi; Joe, znający wybornie miasto, zobowiązał się do natychmiastowego ulokowania ich w bezpiecznem miejscu na jednym z oddalonych przedmieść. Miejszem tym był dom zamożnego angielskiego kupca, zamieszkałego w Tokio oddawna.

Gospodarz, samotny stary kawaler, przyjął ich z rozpostartymi ramionami, gwarantując przybyszom zupełne bezpieczeństwo, gdyż cała służba jego składała się z kucharza i lokaja, Anglików, którym można było zaufać w zupełności. Okazało się, że Joe niejednokrotnie korzystał już z uprzejmości gospodarza w momentach, gdy wypadało mu zniknąć na całe tygodnie celem zatarcia za sobą śladów.

Ulokowawszy przyjaciół, udał się niezwłocznie do Smitha. Po krótkiej chwili powrócił, przynosząc wiadomość, że kapitan Wraz z załogą wyjeżdża nieodwołalnie jutro do portu, gdzie się znajduje „My Boy“. Sprawa służącego Pretwicza również została przezeń załatwiona.

Z gościny kupca korzystano jednak tylko przez dni trzy. Czwartego dnia, wczesnym rankiem samochodem

kupca wyruszono do Nagasaki, Joe, pełniący funkcje szofera, pędził jak szalony wybornemi szosami przez Nagoję, Kioto i Hiroszymę, aż na południowy cypel wyspy Hon-do. Tutaj wąska tylko cieśnina oddzielała ich od wyspy Kiuszu, na południowo-zachodnim krańcu której, znajduje się Nagasaki.

Przed samem miastem Joe przeobraził się w rodowitego japończyka. Do miasta przybyli późną nocą. Stosownie do umowy z kupcem w Tokio, Joe odprowadził samochód do jednego z domów bankowych angielskich, skąd miano go odesłać właścicielowi koleją.

Uporawszy się z tem, Joe wraz z towarzyszami skierował się w stronę portu. Poczynano już szarzyć, gdy znalaziono się na molo portowem. Pusto tu było a cicho. Olbrzymie góry skrzyń, jak i wszelkiego rodzaju tłumoków, zawierających towary wyładowane przed niedawnym czasem ze statków lub też przeznaczone na wywóz, zalegały molo, tworząc kręte labirynty. Gdziekolwiek straż portowa, pilnująca złożonych towarów, przechadzała się miarowym krokiem; niektórzy ze strażujących, zbudzeni z zadumy lub snu krokami trzech mężczyzn, spoglądali na nich, dziwiąc się zapewne w duchu tak wczesnemu pojawieniu się ich na terenie portu. Lecz przyzwyczajeni snąć do ciągłego ruchu podróżnych i handlujących nie zwracali na nich baczniejszej uwagi.

Po godzinnem prawie błędzeniu pomiędzy stertami towarów, trójka nasza znalazła się wreszcie na krańcu

molo, gdzie i towarów było mniej i statki również nie stały tak gęsto.

Rozejrzawszy się bacznie wokół, Joe usadowił się w zagłębieniu, utworzonym w stosie desek, zapraszając ruchem ręki przyjaciół za sobą.

— Pobędziemy tu dotąd, dopóki się nie rozwidni — szepnął, wyciągając lornetę z przepaścistych kieszeni siwego kimona.

Zrozumiano go. Najwidoczniej chciał on przed wyruszeniem na morze upewnić się co do jachtu miss Howard.

— Jakież ma pan plan, poruczniku? — zapytał Pretwicz.

— Dość ryzykowny... ale trudna rada! — odparł zapytany, wzruszając ramionami.— Powinien się zresztą udać, ale tylko w tym wypadku, jeżeli jacht będzie rzeczywiście w oznaczonym miejscu. Inaczej może być z nami krucho!

— Mów wyraźnie, Joe! — zniecierpliwił się Macready. — Co zamierzacie uczynić?

Porucznik zwrócił nań spokojne spojrzenie swych błękitnych oczu.

— Wyjechać na morze! — odparł.

Pułkownik zachnął się.

— Czemu... u pioruna? Nic takiego nie widzę! — mruzczał, rozglądając się naokół.

— A ot... tamtą motorówką! — pojaśniał Joe, wyciągając rękę.

Na prawo od miejsca, w którym się znajdowali, kołysała się na wodzie motorówka, na rufie której trzepotała na wietrze flaga państwowa kraju Wschodzącego słońca".

— Zwarjowałeś chłopcze! — mierząc go nachmurzonym nieco spojrzeniem, syknął Macready. — Toż to, zdaje się, jest łódź jakiegoś portowego urzędu !

Joe skinął niedbale głową.

— Hm... nie mylisz się, pułkowniku! Jest to łódź straży celnej!

Z kolei Pretwicz podniósł nań zadziwiony wzrok.

— Więc, jakżeż? — zapytał, zaciekawionym tonem.

— Wszystko będzie dobrze! — zapewnił spokojnie porucznik, przecyszczając chustką szkła lornety. — Aby tylko „My Boy“ nie zawiódł!!

— O to niema się co niepokoić! — zamruczał pułkownik. — Miss Alice dała słowo... ale ważniejsze jest to, że ty, mój chłopcze jesteś w błędzie, sądząc, że łódź straży celnej przewiezie nas do jachtu! W tem niema przecież ni za grosz sensu!

Zirytowany ton głosu Macready'ego, zdawało się, nie uczynił żadnego wrażenia na obojętnym, lekko nawet uśmiechniętym obliczu porucznika. Majstrował on. coś w dalszym ciągu przy swojej lornecie. Wreszcie podniósł ją do oczu i począł pilnie rozglądać rozjaśniający się coraz więcej horyzont.

Pretwicz i pułkownik obserwowali pilnie jego ruchy.

— Coś majaczy na prawo od nas, ale może to być tak dobrze statek, jak dżonka rybacka — ozwał się wreszcie po chwili Joe, wskazując ruchem ręki punkt na horyzoncie.

Pretwicz wytężył wzrok. Joe potrząsnął głową.

-- Nic pan nie ujrzy! Na to trzeba marynarskich oczu!

— Nie tak oczu, jak lornety! — zgryźliwie ozwał się Macready.

Porucznik roześmiał się wesoło.

— Pułkownik zapewne o tę łódź? — zapytał.

— No... pewnie! — odburknął Macready. — Już ja wiem, żeś wymyślił coś szalonego... a ja nie mam ochoty dać się złapać, jak dudek w sidła!

— Statek! — zakrzyknął Joe, podniósłszy lornetę do oczu. Płynie miała parą!

Macready ożywił się.

Wziął z rąk Joe'go lornetę i przez dłuższą chwilę patrzył przez nią.

— Teraz to i ja widzę — rzekł. Nie wygląda na statek kupiecki...

— Bo też to jest „My Boy“! — przerwał porucznik, powstając. — No... do dzieła! Proszę się nie ruszać dotąd, dopóki nie usłyszycie mego gwizdka! Nawet, gdybyście mnie widzieli oddalającego się stąd, nie wolno

wam opuszczać kryjówki! Mam nadzieję, że się uda! — dorzucił, skinąwszy im na pożegnanie głową.

Pretwicz patrzył za nim i nie mógł się nadziwić zmianie, jaka zaszła w postaci rosłego porucznika. Zgarbił się i jak gdyby zmałał. W przebraniu, w pasiastym kimono i ryżowym kapeluszu robił wrażenie zmęczonego wyteżoną pracą robotnika portowego. Szedł, nie śpiesząc się, wzdłuż molo.

Pretwicz podniósł na towarzysza pytające i zaciekawione zarazem spojrzenie.

— Nie niepokój się, kolego! — rzeki Macready, zapalając cygaro. — To diabeł wcielony, a nie człowiek! Jestem pewien, że cały plan ma już od dawna ułożony, a droczył się z nami, a raczej ze mną, dlatego tylko, że jest siebie pewnym. Bo mnie jego poznałem, że zamyśla on jakiś niebotyczny kawał.

Tymczasem Joe podchodził do małego, drewnianego budynku, obok którego kołysała się na falach motorówka. Zlustrował ją baczным spojrzeniem i widocznie przegład wypadł po myślnie, gdyż na usta jego wybiegli wesoły uśmiech.

Zaglądnął przez okienko do wnętrzu domku. Okryty płaszczem, wpół siedział, wpół leżał na ławie strażnik celny. W kącie stał karabin z zawieszoną na nim ładownicą.

Joe podszedł ku drzwiom i zastukał w nie kilkakrotnie. Po chwili w drzwiach stanął rozespany strażnik, kurcząc się od rannego chłodu.

— Czego? — burknął opryskliwie, mierząc natręta nieprzyjaznym spojrzeniem.

Joe, wyrzekłszy tradycyjne japońskie powitanie, wskazał ruchem głowy kołyszającą się łódź.

— Wasza? — zapytał.

— Portowa! — mruknął strażnik, naciągając płaszcz na ramiona. — A cóż cię ona obchodzi? — dorzucił gniewnie.

Joe zrobił chytrą miną, tak właściwą ludziom Wschodu.

— Można zarobić — szepnął, przysuwając się bliżej ku drzwiom.

Strażnik spojrzał nań zdziwionym wzrokiem.

— Grubo! — ciągnął dalej Joe, przymykając znacząco jedno oko.

— Czego chcesz! — wybuchnął strażnik.

— Łódź!... — szepnął tajemniczo Joe, w skazując ruchem ręki motorówkę.

-- Po co? — irytował się gospodarz domku.

— Można zarobić! — powtórzył Joe, zcisząc głos. — Dadzą dużo pieniędzy... dużo... tysiąc jenów....

— Kto? Mów wyraźniej! — wrzeszczał strażnik, wyprowadzony z cierpliwości półsłówkami rozmówcy ten obejrzał się wokoło niespokojnie.

— Nie trzeba krzyczeć! — mówił prędko. Można zarobić! Dwóch białych chce wyjechać z portu niepostrzeżenie! Chcą zapłacić tysiąc... może dwa tysiące jeńców...

Na apatycznej twarzy strażnika odbił się nagle wyraz skupienia i zainteresowania.

— Kto są ci biali? — pytał szeptem, postępując krok ku Joemu.

Teru wzruszył ramionami.

— Nie, wiem! Biali i tyle! Wyglądają na wojskowych, ale kto ich tam zresztą wie! Nie moja sprawa! Chcą, żeby im znaleźć łódkę, a po co... to nie moja rzecz!

Strażnik położył dłoń na jego ramieniu.

— Mówisz, że wojskowi! — pytał z nagłym błyskiem w ciemnych oczach.

— Zdaje się — odparł po namyśle Joe. — Wiem tylko, że chcą wyjechać niepostrzeżenie! Płacą... dużo płacą...

— Gdzie są ci biali?

Joe wzruszył ramionami.

— W mieście... mają tu być za trzy godziny... tak umówiliśmy się. Ja mam się wystarać o łódź.

— Dobrze! — rzucił strażnik, cisnąc dłonią jego ramię. - Dam łódź... sam ich przewiozę, dokąd będą chcieli! Czekać tu na nich, rozumiesz... ja pobiegnę tymczasem po benzynę, bo mogłoby jej zabraknąć! Czekać na nich... ja zaraz, wróczę!

Joe skinął obojętnie głową.

— Nie masz się co tak śpieszyć... oni przyjdą dopiero za trzy godziny! — mówił, siadając na ławeczce, stojącej przy ścianie domku. — A ile chcesz? — dorzucił. Mogą zapłacić dobrze... to jacyś podejrzani ludzie...

Lecz strażnik nie odpowiadając na ostatnie pytanie, naciągnął spiesznie płaszcz i spinał go pasem.

Ukończywszy tę czynność, pochylił się nad siedzącym.

— A gdzie oni zatrzymali się w mieście? — pytał niecierpliwie..

Joe skrzywił się.

— Tego nie wiem... nie mówili. Mają tu być odrzekli obojętnym tonem.

Strażnik wyprostował się. Na twarzy jego malowało się podniecenie i radość.

— Dobrze... dobrze! — mówił, uśmiechając się ironicznie. — Będą mieli łódź... czemu nie... skoro płacą...

— Płacą! — podchwycił z przejęciem Joe. Mnie obiecali za wynalezienie łodzi sto jenów! Sto jenów, — powtórzył z dumą.

Strażnik wpadł do wnętrza domku i po chwili wyszedł stamtąd w furażerce na głowie i z karabinem w ręku.

— Czekaj! Ja zaraz wrócę; — zapowiadał, oddalając się szybkim krokiem.

Joe skinął przytwierdzająco głową.

Strażnik zmiłkł za stertą bambusowych koszów, nalożonych owocami.

Joe, kryjąc się, udał się za nim. Przystanąwszy za stertą, przez chwilę śledził wzrokiem oddalającego się.

— Głupiec! — szepnął do siebie, splunąwszy pogardliwie na ziemię.

W paru susach przebył przestrzeń dzielącą go od łodzi. Wprawnym spojrzeniem zbadał zawartość zbiornika benzyny.

— Wystarczy! — mruknął do siebie, odczepiając łańcuch, łączący łódź z wybrzeżem.

Gwizdnął donośnie i zasiadł przy motorze.

Bo upływie paru chwil Macready i Pretwicz stali obok łodzi.

— Wsiadajcie panowie... zaraz ruszamy! — zapraszał Joe, puszczając motor w ruch.

Za chwilę donośny warkot motoru odbił się echem o sterty złożonych na molo towarów. Łódź mknęła szybko, gdyż Joe z miejsca nadał jej najszybszy bieg.

Pretwicz wytężonym wzrokiem wpatrywał się w linię horyzontu, mając nadzieję ujżenia zbawczego jachtu. Macready zajęty był rozpatrywaniem wybrzeża, które przed chwilą opuścili.

— Gonia nas! — rozległ się spokojny głos pułkownika.

Joe mierzył przez, chwilę wzrokiem odległość, dzielącą ich od czarnego punktu, mającego przy wybrzeżu.

— Jeśli to łódź tego typu, co ta... nie dogonią nas nigdy! — rzekł lekceważącym tonem...

— Druga łódź! — zakrzyknął Pretwicz, dostrzegłszy ciemny punkt odrywający się w tej chwili od linii brzegowej.

Joe powrócił do motoru. Kierowana wprawną jego dłonią łódź, tańczyła lekko na falach, igrając jak gdyby z niemi. Dziób jej rozcinał fale, odrzucając je na bok. Śruba pracowała w tak szybkim tempie, że łódź drżała w każdym swoim spojeniu.

Upłynęło w milczeniu kilkanaście długich minut. Kontury jachtu stawały się coraz więcej wyraźne. Dostrzec już można było wysmukły komin, z którego leniwym pasmem wydobywał się dym. Goniące ich łodzie były jeszcze daleko, lecz nawet niewprawne oko Pretwicza dostrzegło, że odległość ta zmniejsza się z każdą chwilą.

Ciszę przerwał głośny okrzyk Joego.

Pretwicz pochylił się ku niemu.

— „My Boy” dostrzegł nas i płynie w tę stronę! — krzyczał Joe, połyskując radośnie białkami oczu. Nic nam nie zrobią! — dorzucił, machnąwszy lekceważąco ręką.

Rzeczywiście, z komina jachtu wydobywały się gęste kłęby dymu. Widać było, że dąży całą szybkością, na jaką go stać było.

Po upływie kwadransa zbliżył się on tak znacznie, że Pretwicz nieuzbrojonym w szkła okiem dostrzegł gwiaź-

dzistą banderę Stanów Zjednoczonych, powiewającą na tylnym maszcie.

Wtem warkot motoru zaczął wyraźnie słabnąć, Joe pochylił się nad motorem, lecz ten zamilkł nagle.

Porucznik, porzuciwszy motor, przeskoczył na tył łodzi.

Benzyna się wyczerpała! — mówił spokojnym tonem, wyciągając z kieszeni rewolwer.

— Może jacht będzie prędzej? — pytał Macready, porównyując wzrokiem odległości, dzielące motorówkę od „My Boy’a“ i goniących łodzi.

— Może! — rzucił Joe, sprawdzając zawartość magazynu rewolwerowego. — Chociaż... nie zdaje mi się, oni tu będą prędzej! Eh... gdyby ten Smith miał głowę na karku, to, ale...

Urwał i przez chwilę wpatrywał się w jacht, na którego masztach zabielały nagle wielkie płachty.

— Zuch stary! — zakrzyknął, zwracając ku towarzyszowi śmiejącą się twarz. — Zuch! Rozpiął żagle! Teraz jestem pewny, że przybędzie wcześniej, niż ci! Nie warto się nimi teraz zajmować! — i, jak gdyby okazując ścigającym lekceważenie, całą swą uwagę poświęcił zbliżającemu się jachtowi.

W niespełna pół godziny później uciekinierzy czuli pod swemi stopami pomost gościnnego „My Boy’a“, witani radośnie przez miss Alice i poczciwego Smitha.

VII

Pretwiczowi nic trudno było dowiedzieć się o swego służącego, który stosownie do instrukcji miał oczekiwać nań w Singapoore. Dyżurny oficer komendatury twierdzy, zapytany przez Pretwicza, czy nie posiada jakich wiadomości o niejakim Szymonie Mrozie, roześmiał się wesoło.

— A jakże! Jest! Jest tutaj i wierzaj pułkowniku, dał nam się wszystkim dobrze we znaki! Niema dnia, żeby nie dopytywał się o pana? Potrafił nawet jakimś cudem dotrzeć do samego generała Duncana, dowódcy twierdzy, interpelując go o pański los. Dzisiaj jeszcze go nie było, ale jestem przekonany, że zjawi się lada minutę. Dobry chłopak... polubiliśmy go wszyscy. A... otóż idzie! — dorzucił, wyjrzawszy przez okno. Na końcu alejki, okolonej żywopłotem, która szła od głównego podwórca cytadeli ku gmachu komendatury, ukazała się smukła postać dwudziestoparoletniego chłopca, zamieniającego przyjazne ukłony z kręcącymi się wokół komendatury ordynansami.

Ze sposobu jego zachowania się widać było, iż czuje się on tutaj, jak gdyby na swym podwórku. Dyżurny oficer z wesołym uśmiechem zwrócił się do Pretwicza i stojących obok niego Macready'ego i Joego.

— Jeśli panowie chcecie być niewidzialnymi obserwatorami zachowania się tego zucha, to przejdźcie do sąsiedniego pokoju, z którego doskonale będziecie słyszeć całą rozmowę! Ręczę, iż ubawicie się świetnie!

Zaledwie trójka zaciekawionych przyjaciół zdążyła opuścić pokój, do gabinetu dyżurnego oficera wszedł Szymon Mróz i pomimo cywilnego odzienia, jakie miał na sobie, przybrał zaraz przy progu postawę na „baczość”.

- Jak się masz? — powitał go wesoło oficer. — No, jakżeż tam z twoim panem? Nie otrzymałeś żadnej wiadomości?

-- Nie — brzmiała odpowiedź.— A tutaj nic nie wiadomo?

--- Nie!—odparł oficer, usiłujący ukryć uśmiech, jaki mimo woli cisnął mu się na wargi.

Przez chwilę panowało milczenie.

--- No... to ja wracam do Japonji! — zdecydowanym tonem ozwał się wreszcie Mróz,

— Po co? — udając zdziwienie, rzucił pytanie oficer.

— Po co? — powtórzył Mróz. — Mówię panu porucznikowi, że mojego pana spotkać musiało coś złego!

— Eh... bajesz mój drogi!

Głos Mroza nabrał akcentów obrażonej godności.

— Baję... już ja wiem! Niedarmo te japończyki co godzina dowiadawali się o niego! I pułkownik Macready

znikł też, jak kamień w wodzie, że ani rusz o niego się dowiedzieć nie można było! To mi się nie podoba zupełnie! Może ich porwali obu?

— Kto? — interesował się oficer.

— Kto? Już ja wiem... tylko nie mogę mówić, bo uważam, że to nasza tajemnica...

— Czyja? — przerwał ze śmiechem oficer.

— Mego pana... no i moja... a może nawet i pułkownika Macready'ego! Ale co tu gadać! Jak w nic nie wiecie... to...

— Jak to... nic nie wiemy?

— Phi... bo, prawdę mówiąc, to nic! Myślałem, komenda twierdzy... coś... tego, a tu nic! — gorączkował się Mróz. — No... rozumiem... o moim panu możecie nie wiedzieć, bo obcy, ale żeby nie można było się dowiedzieć o panu pułkowniku Macready'm... to, co to za komenda! Phi... o takim oficerze... przecież to nie pierwszy lepszy kapral od taborów! Iii... taka armja!

Ostatnie słowa wypowiedziane były tonem takiej bezmiernej pogardy, że oficer, zerkający bezustannie w stronę sąsiedniego pokoju, parsknął śmiechem, któremu zawtórowali ukryci. W rozwartych nagle drzwiach stanął Pretwicz, mierzący Mroza wesołym, rozbawianiem spojrzeniem. Za nim widać było uśmiechnięte twarze Macready'ego i Joego.

A Szymon Mróz zdumiał się tak, iż zdawało się, że legendarny Lot nie był więcej zdumiony, ujrzawszy swą

małżonkę, przemienioną nagle w słup soli. Wreszcie otrząsnął się z zadziwienia i, przesadziwszy jednym skokiem barjerę, dzielącą gabinet na dwie części, począł witać Pretwicza, nie jak sługa, a jak przyjaciel.

Bo też łączyły z nim Pretwicza wspomnienia długiej znajomości i przebywania w obliczu tysiącznych niebezpieczeństw w dniach wojny światowej i najazdu bolszewickiego na Polskę. Mróz, piętnastoletni wówczas wyrostek, przyplątał się gdzieś w okolicach Lublina do szwadronu ułanów Beliny, w którym Pretwicz nosił już rzetelną pracą zarobione odznaki wachmistrza. Zrazu nie wiedziano co zrobić z wyrostkiem, lecz dzięki wstawianictwu Pretwicza zatrzymano go przy taborach pułkowych, gdyż, jak się okazało, okropności wojny zabrały mu w jednym dniu rodziców, właścicieli paru morgów gruntu w jednej ze wisi, leżących w pobliżu Łysej Góry. Z czasem, sprytny i zdatny do konia, Szymek stał się ułanem, niegorszym od tych, którzy służyli w pułku od początku wojny. W czasie najazdu bolszewickiego był już plutonowym. W jednej z utarczek w okolicach Kowla ocalił życie Pretwiczowi, zasłoniwszy go własną pierśią od pchnięcia bagnietem. Czyn ten przyplacił ciężką raną. Po opuszczeniu szpitala powrócił do pułku i odtąd stał się nieodłącznym towarzyszem Pretwicza, zwłaszcza, gdy się okazało, że ojcowiznę w Sandomierskiem, jakimiś oszukańczymi sposobami zagarnęli dalsi krewni.

Wyjeżdżając do Japonii, Pretwicz zabrał ze sobą Mroza w charakterze służącego. Sprytny chłopak w bardzo prędkim czasie nauczył się jako tako po angielsku. Stosunek jego do swego byłego go dowódcy cechowała wierność i bałwochwalcze niemal uwielbienie.

To też Pretwicz, ucieszony jego widokiem, ucałował go teraz serdecznie, co ten, jak zauważyli angielscy oficerowie, przyjął, jako rzecz całkiem zwykłą.

— Cóżżeś ty mówił o jakichś staraniach japończyków, aby się dowiedzieć o mnie? — pytał Pretwicz, gdy po opuszczeniu twierdzy znaleźli się wszyscy na drodze, wiodącej ku miastu.

Mróz zrobił znaczący ruch głową, mający wyobrazić, iż słowa jego oparte były na pewnych podstawach.

- Zrazu, jak pan major nie wrócił tego wieczoru, co to poszedł z wizytą, nie martwiłem się, bo przecież cóż... w naszym żołnierskim fachu można się zabawić przez jedną... drugą noc i to nie wielka rzecz! — opowiadał. — Ale już tak na trzeci... czwarty dzień zmiarkowałem, że coś jest niedobrego. Nie było dnia, ba... nawet i dwa... trzy razy dziennie przynoszono jakieś, niby to bardzo pilne listy, aby je natychmiast doręczyć panu majorowi, albo dopytywano się przez telefon, gdzie pana majora można zastać? Latali z tymi listami, jak wściekli! A ja nic! Mówię... pan major wyjechał, niema go i... szlus! A oni... a dokąd... a czy pan pułkownik Macready też wyjechał... a może tu był... a może telefonował? Ee... braciszki kocha-

ne, myślę sobie, coś wy bardzo latacie i dopytujecie się! I zaraz skombinowałem, że coś takiego jest! I zacząłem uważać. Szpiedzy chodzili za mną po całym mieście, a ja ich, tak dla pucu, wodziłem po wszystkich ulicach, aż biedacy całkiem zgłupieli. A już najgorzej raz, kiedym im urządził taki kawał, że, aż potem ze trzy dni się śmiałem z ich głupich min!

— No... opowiadaj łobuzie!—zachęcił go uśmiechem Pretwicz.

— To było tak! Patrzą raz wieczorem, a tu trzech ich wartuje koło naszej bramy! Poczekajcie juchy, myślę sobie... już ja was wykiwam po ułańsku! Wychodzę z domu, jakby nic, siadam do taksy, każę się wieść o cztery ulice dalej, Wysiadam, znowu do drugiego taksy i tak ich wodziłem za sobą z godzinę. A oni, ofiermy, trop w trop za mną! Aż nareszcie na odludnej ulicy wysiadam i, niby skrywając się, walę przez całe miasto takim siarczystym krokiem, aż się domy trzęsą! A on za mną, pewni, że gdzieś idę na spotkanie z panem majorem! A ja, nie wiele myślący, do domu generała Tawaschiki'ego! Melduje się... jest! Przyjął mnie grzecznie, niema co mówić, a ja go się pytam o pana majora, czy czasem nie wie dokąd wyjechał? To mówię panu, panie majorze, tak patrzył na mnie, jakby mię jucha chciała zjeść! A ja nic, warjata walę na całego! To on mówi, że nie wie, ale, że ma do pana majora pilny interes i żeby go zawiadomić, jak się co dowiem! Akurat, myślę sobie, dam ci znać... możesz cze-

kać! No to ja chcę już iść, a on, tak, jakby sobie coś przypomniał... pokazuje mi jakiś miedziany, czy złoty krążek, niby pieniądz i mówi, że panu majorowi dał do obejrzenia taki krążek i, że pan major zapomniał mu go oddać!... więc, żeby niby poszukać w domu i odnieść mu to...

Pretwicz i jego towarzysze, aż przystanęli, poruszeni końcowymi słowami opowiadania.

Mróz przystanął również i parsknął śmiechem.

— Wiedziałem, że buja, panie majorze, ale trzasnąłem kopytami, jak samemu Dziadkowi przy raporcie i mówię „ rozkaz”... poszukam. A on, że niby wynagrodzi mnie... Taka jucha... przekupić zaraz chce! A ja ten krążek mam...

— Jaki krążek? — wykrzyknęli równocześnie Pretwicz i Macready, topiąc w opowiadającym zadziwione spojrzenia.

— Taki sam, o jaki generałowi Tawasehiki‘emu chodziło!

— Skąd? Co ty pleciesz! Przecież żadnego takiego krążka nic miałem! — gorączkował się Pretwicz.

— Najwidoczniej jakieś nieporozumienie — wtrącił Macready. — Medalion Hitaschi‘ego dawno już przesłałem do Londynu.

Tymczasem Mróz, nie tracąc ni na chwilę kontensu, wyjął z portfelu jakiś przedmiot, zawinięty w papier i podał go Pretwiczowi.

— Medaljon! — zakrzyczał ten, rozejrzawszy go bliżej.

Podniósł zdumiony wzrok na chłopca.

Macready posunął się żywo i, wzięwszy z rąk Pretwicza medalion, począł go oglądać uważnie.

— Skąd masz ten przedmiot? — zapytał Pretwicz głuchym głosem, gdyż widok medalionu przywołał mu na pamięć postać zmarłej Ozari, jątrząc temsamym krwawiącą wciąż ranę bólu.

— Tak, taki sam, jak ten znaleziony przy Hitaschi'm - mruknął Macready, oddając medalion Pretwiczowi.

— To było tak! — mówił Mróz. — Na dwa dni przed wyjazdem moim z Tokio, kurier z Poselstwa zjawił się u nas w domu i polecił mi udać się z nim do Poselstwa natychmiast. Poleciałem mu zaraz, bo byłem pewny, że zastanę tam jaką wiadomość od pana majora, ale sekretarz oznajmił mi, że pragnie mię widzieć jakaś japonka. Ki djabeł, myślę sobie, co za japonka i czy to nie jakiś nowy kawał ze strony tych, co tak interesują się miejscem pobytu pallia majora? Wchodzę do osobnego pokoju... siedzi jakaś stara baba. Pytam się, czego odemnie chce, a ta nic... wyciąga z za pasa kimona ten oto znaczek i trochę po angielsku, trochę po japońsku klaruje, że jedna osoba przesyła to panu majorowi z prośbą, aby zawsze o niej pamiętał. Com się, panie majorze, nie namordował, aby się dowiedzieć, kto przysyła to cacko... na nic! Baba, ju-

cha, nie chciała powiedzieć żadną miarą! To tylko z niej wydobyłem, że ten upominek pochodzi z za grobu... niby, że to od kogoś umarłego... czy jak... nie wiem! Odchodząc, dodała, żeby pan major miał zawsze ten krążek przy sobie i w chwili grożącego mu niebezpieczeństwa użył go, a przyniesie on mu ocalanie. No... i poszła... ja chyłkiem za nią, ale zaraz na następnej ulicy zginęła mi tak chytrze z oczu, że ani znaleźć!

Pretwicz słuchał blady, ze ściągniętami boleśnie brwiami i drżącymi ze wzruszenia ustami. Opowiadający dostrzegł, że słowa jego uczyniły na Pretwiczu olbrzymie wrażenie, więc patrzył nań niespokojnie, dziwiąc się bladej, pokrywającej jego oblicze. Macready był również wzruszony. Ujął on Pretwicza za ramię, usiłując doprowadzić go do równowagi.

— To Ozari! — szepnął zciszonego głosem. — Pamiętała o was, kolego, nawet w ostatnim momencie swego życia.

Pretwicz, patrzył przed siebie szklanym wzrokiem, w którym przebijał głęboki, beznadziejny smutek.

Nagle jakaś myśl wstrząsnęła nim całym. Chwył dłonie Macready'ego i zacisnął wokół nich kiście swych rąk.

— A jeśli... jeśli ona... nie umarła! — szeptał, przerywanym przez ból głosem.

Wpił się wzrokiem w twarz pułkownika, usiłując w oczach jego wyczytać potwierdzenie swego szalonego domysłu.

Stary oficer potrząsnął lekko głową..

— Uspokójcie się kolego... i nie rozszarpujcie dawnej orany rozpaczliwymi przypuszczeniami! — mówił miękko, obejmując Pretwicza: ramieniem.

— Słyszeliście przecież, iż upominek ten pochodzi aż... z poza grobu! Nie należy się łudzić, gdyż to może tylko powiększyć wasze cierpienia!

Pretiowicz przeciągnął dłonią po zroszonym zimnym potem czole.

Tak... nie należy się łudzić... nie należy! Prawdę mówi Macready! Ozari nie żyje! Zmarła przecież na jego rękę... patrzył na śmierć jej własnemu oczyma... słyszał przecież słowa pożegnania, wyszeptane przez jej pobladłe wargi! Tak... nie żyje... nie żyje! Rysy jego ściągnął taki ból, że wierny sługa spojrzął z, niepokojem na stojących obok towarzyszy Pretwicza, jak gdyby oczekując od nich pomocy w ulżeniu smutku, trapiącego jego piana. Lecz stary pułkownik i Joe milczeli, spoglądając ze współczuciem na młodego oficera. Mróz przyjrzał się bacznie swemu panu. Uderzyła go zmiana, jaką dostrzegł w jego wyglądzie.

Zauważył, że oblicze Pretwicza wychudło i jak gdyby zczerniało. Oczy, tryskające niegdyś wesołością i junac-

twem, straciły teraz swój blask i patrzyły przed siebie smutnie i obojętnie.

— Cosik go na wnętrzu żre i kąsa! — domyślił się zafrasowany Szymek. — Musieli mu coś zrobić te żółte, pokurczone djabły!

Tymczasem Pretwicz ochłonął już całkowicie z ataku bolesnego smutku, jaki zatargał nim całym na widok medaljonu, który przywiódł mu na pamięć szczęśliwe zrazu, a następnie tragiczne chwile jego miłości.

Powolnym ruchem wsunął medaljon do kieszonki kamizelki i, biorąc pod rękę Macready'ego skierował się w stronę hotelu, w którym zarezerwowano dla nich trzech, jak również i dla miss Alice oraz jej towarzyszek pokoje.

U wejścia do hotelu Mróz pożegnał Pretwicza i anglików, gdyż, stosownie do rozkazu swego pana, udał się do podrzędnego hotelu, w którym zamieszkiwał, aby przetransportować rzeczy Pretwicza, zabrane przezeń z Tokio oraz swoje. W halu hotelowym dowiedzieli się, iż miss Alice poleciła ich uprzedzić, alby nie czekali na nią z obiadem, gdyż pojechała z wizytami i powróci dopiero przed wieczorem.

W sali restauracyjnej czekała ich nieład a niespodzianka. Przy jednym z bocznych stolików, ukończywszy śnać obiad, siedział przy czarnej kawie... Clermont.

Spotkanie było tak nieoczekiwana, że tak om, jak i Pretwicz oraz Macready spoglądali na siebie przez chwilę, jak gdyby niedowierzając własnym oczom.

Francuz rzucił się ku nim ucieszony, witając ich hałaśliwie i zasypując pytaniami. Po chwil, na propozycję Macready'ego, całe towarzystwo przeniosło się do oddzielnego gabinetu, gdzie można było być zupełnie swobodnym. Zaledwie usługujący, otrzymawszy zamówienia, znikli za drzwiami, Macready począł dopytywać się Clermonta o powód i cel jego pobytu w Singapoore.

Odpowiedź francuza nie była zbyt jasną. Twierdził, że bawi tutaj, ot... tak sobie, dla przyjemności, że nie znał dotąd Singapoore, więc skorzystał z paru dni swobodnych, aby uczynić małą wycieczkę i t.d. Widocznem jednak było, iż nie jest z przyjaciółmi zupełnie szczerym i że coś przed nimi ukrywa. Wreszcie, nieco skonfundowany, oznajmił, iż —opuszcza Singapoore jeszcze dzisiaj, późnym wieczorem.

Dokąd, jeżeli wolno wiedzieć, udajecie się, kolego? — pytał spokojnie Macready, napełniając jego kieliszek koniakiem.

Clarmont zmieszał się.

— Naturalnie... do Tokio... tak... odjeżdżam statkiem linii Marsylja-Jokohama — mówił, unikając przenikliwego wzroku Macready'ego. — A ponowie? — zwrócił się ku nim z zapytaniem, w którym przebijała ciekawość.

— Zostajemy tutaj jeszcze parę dni, a potem... potem jeszcze nie wiemy, co uczynimy... może powrócimy również do Tokio — odparł flegma tycznie pułkownik, patrząc nieco złośliwie na Clermonta.

Ten wyraziwszy nadzieję, iż zapewne spotkają się jeszcze dzisiaj przy kolacji, powstał i pożegnał ich tłumacząc krok ten koniecznością załatwienia paru pilnych spraw.

Po jego wyjściu Macready zapalił cygaro i, spoglądając roześmianym wzrokiem na swych towarzyszków, rzucił wesoło.

— Nie zadziwiło was niezwykle zachowanie się kochanego Clermonta? Jestem pewien, że on coś starał, się ukryć przed nami.

— Może jaka awanturka miłosna? – poddał Joe, szczerząc białe zęby w uśmiechu. Macready spojrzał nań jak gdyby z pewnego rodzaju politowaniem.

— Zaraz widać, chłopcze, żeś jest młody i grubo ni doświadczony — rzekł mentorskim nieco tonem — Zwyczaj awanturki nie usiłuje się ukryć tak starannie. Spostrzeżliście przecież wyraźnie, że moje zapytania wprowadzały go w szalony ambaras. Nie, w tem musi być cios innego, coś poważniejszego!

— Może jaka tajna delegacja! — ozwał się milczący dotąd Pretwicz.

Macready skinął głową na znak, iż podziela tę myśl.

- Masz rację, kolego! Coś na to wygląda... ano chłopcze — zwrócił się do Joego — dowiedz się telefonicznie w porcie, czy odchodzi dzisiaj jaki statek w stronę Japonii? Przekonamy się, czy kochany Clermoncik mówi prawdę?

Joe powrócił po paru minutach. Okazało się, że żaden ze statków nie odchodzi dzisiaj ni do Japonji, ni do Szanghaju, ni też do Sajgonu.

Clermont usiłował więc zatem wyprowadzić ich w pole. W jakim celu? Co robił w Singapoore i jak długo w niem zamierzał pozostać?

— Mam. wrażenie — mówił ze śmiechem Macready, udając się po skończonym obiedzie wraz z Pretwiczem do swych pokojów — że, mimo wszelkich starań Clermonta spotkamy się z nim znów niebawem. Jeśli nie tutaj, to gdzieindziej.

— Co chcesz przez to powiedzieć, pułkowniku? — pytał Pretwicz.

— Nic takiego ważnego... zresztą przekonasz się sam, kolego, że moje przypuszczenia są słuszne — odparł Macready, a po chwili dodał, jak gdyby do siebie — Nasi sąsiedzi po drugiej stronie La Manche też są sprytni!

I pożegnawszy Pretwicza, udał się do swego pokoju na zwykłą poobiednią dwugodzinną drzemkę.

VIII

Podróż z Singapoore do Sadiji nie należała do zbyt uciążliwych. W wygodnych wagonach linii kolejowej, łączącej południowy kraniec półwyspu Malajskiego z Birma Górną, czas upłynął naszym podróżnym względnie szybko i znośnie, zwłaszcza, iż towarzyszami podróży byli oficerowie dość gęsto rozsianych tutaj garnizonów i posterunków wojskowych.

Macready'ego znała niemal cała armia angielska, zwłaszcza kolonialna, dzięki czemu wszędzie tam, gdzie zatrzymywano się po drodze, przyjmowano ich nader gościnnie.

W Martaban, nadmorskim mieście w prowincji Tennasserim zatrzymano się nieco dłużej. Dowódcą garnizonu miejscowego był pułkownik Stoke, serdeczny przyjaciel Macready'ego i towarzysz z czasów pochodu przeciw Mahdiemu.

Macready, nie wyjaśniając celu swej podróży, starał się wybadać przyjaciela o stosunkach, panujących w krajach Szańskich oraz w sąsiednim Sjamie, gdyż, jak twierdził generał Duncan w Singapoore, ludność tych krajów coraz więcej niechętnym Olkiem poczęła spoglądać na anglików i w ogóle ludzi białej rasy, powtarzając coraz skwapliwiej wieści o mającej jakoby niebawem wybuchnąć „wojnie świętej” przeciwko „białym djabłom”.

Stoke potwierdził słowa Duncan a, lecz do wypadków tych nie przywiązywał zbytnej uwagi. Zdaniem jego, wieści takie kursowały już poprzednio, znajdując zazwyczaj posłuch wśród szczepów góralskich Birmy Górnej i równin rozciągających się wokół Rangoonu. Zwłaszcza od czasowi przetworzenia się w południowych Chinach ruchu bolszewickiego w ruch zdecydowanie nacjonalny, wieści te przybrały na rozmiarze. Lecz nie znaczy to bynajmniej, aby jakieś rzeczywiste niebezpieczeństwo mogło zagrażać panowaniu angielskiemu w Indiach.

Swoją drogą pułkownik Stoke był oburzony na Londyn i wyższe dowództwo.

— Wyobraź sobie, kochany Arturze — uskarżał się z oburzeniem Macready'emu — że, zapewne pod naciskiem parlamentu, rząd cofnął wszystkie kredyty, przyznane ongi na umocnienie linii rzeki Irawadi, która na wypadek jakiejś awantury stać się powinna niewzruszoną linią obronną całych Indji. Było w projekcie ufortyfikowanie nie tylko Rangoomu lecz i Awy, Mandale i całego szeregu leżących nad Irawadi punktów strategicznych, tymczasem cóż się robi? Nic! Absolutnie nic! Toż samo, weź na przykład, choćby i ten Martaban! Aż się prosi, aby stworzyć zeń przyzwoitą fortecę... toż samo Tawoj i Tennasserin! Przecież to są jedyne punkty, łączące całe Indie z Singapoore... jedyna droga, oprócz naturalnie morskiej... należałoby więc ją umocnić i zabezpieczyć mawawsze! Pierwszy lepszy kadet, który co dopiero wyszedł

ze szkoły zrozumiałby to... ale cóż... nie chcą tego zrozumieć panowie z Izby Gmin i... nic się nie robi! Goddam!

Napełnił kieliszki złotawym likierem. Przez chwilę panowało milczenie, przerywane tylko gniewnym sapaniem zaperzonego gospodarza.

Pretwicz przysłuchiwał się słowom Stokego z zainteresowaniem. Były one powtórzeniem słów generała Duncana i wszystkich wyższych oficerów, jakich poznał podczas pobytu w Simgapoore oraz, w drodze do Mandale. Wszyscy oni narzekali na dziwną obojętność rządu w sprawach zabezpieczenia perły kolonji przed ewentualnymi niespodziankami. Generał Duncan skarżył się, że zewnętrzny pierścień fortów twierdzy Singapurskiej nie jest zupełnie wykończony, że z powodu braku pieniędzy nie może wybudować należytej ilości schronów amunicyjnych, skutkiem czego zapas amunicji działowej nie jest wystarczający.

Pretwicz porównywał ogrom przygotowań japońskich na wypadek wojny z pogotowiem sił angielskich w Indjach i mimowoli przyznawał rację utyskiwaniom Macready'ego, który, jeszcze w Tokio, nie taił przed nim swych obaw co do utrzymania się Anglji na ziemiach azjatyckich.

To samo usłyszeli od komendantów w Amanapurze i Mandale. Na trzeci dzień po opuszczeniu tego ostatniego

znaleźli się nareszcie w Sadija, skąd dalsza droga ich, po przekroczenia rzeki Lo-hit, biegła poprzez ziemie tajemniczego Tybetu.

W Sadija należało poczynić konieczne przygotowania do podróży, jaką mieli odbywać konno. Wsiadłszy z pociągu na niepozornej stacyjce, zatroszczono się w pierwszym rzędzie o dach nad głową.

— Wątpię, czy w tej dziurze znajdziemy jakikolwiek hotel! — mrucał Joe, pogardliwym wzrokiem wodząc po niskich domostwach miasteczka — Zdaje się, że jeszcze przed wkroczeniem do Tybetu będziemy musieli kontentować się namiotami lub szałasami, o ile, naturalnie, znajdziemy tutaj drzewo na ich wybudowanie!

Lecz okazało się, że przewidywania porucznika marynarki były co najmniej pesymistyczne. Naczelnik stacji, stary, ozdobiony siwą, rozłożystą brodą, birmańczyk zapewnił ich z dumą, że w Sadija znajduje się, jedyny co prawda, lecz bardzo porządny hotel, w którym zazwyczaj zatrzymuje się „sam pan sędzia z Sibsagni”, ilekroć przyjeżdża tutaj na sądy.

— Przedwczoraj zatrzymał się w tym hotelu jakiś bogaty „sahib”, który przybył aż z Singapoore — komunikował im najświeższą nowinę gadatliwy birmańczyk.

Macready zwrócił się żywo ku niemu.

— „Sahib”, powiadasz przyjacielu? Z Singapoore? A po co on tu przyjechał? — pytał obojętnym na pozór tonem. Naczelnik stacji wzruszył ramionami.

— Kto jego tam wie? Może na polowanie? Bogaty... trzy konie kupił wczoraj i zgodził dwóch przewodników, którzy mają iść z nim aż do Tsiszisan...

— Do Tsiszisan? — zdumiał się Macready.— Toż to już Tybet?

Brodacz skinął głową.

— Tak... do Tsiszisan, czy też nawet do samego Kukunor! Nie wiem dobrze, ale tak słyszałem.

I kiwnąwszy głową ma pożegnanie odszedł do swych zajęć, pozostawiając podróżnych na pastwę gromady nawpół nagich chłopaków, ofiarujących krzykliwie swe usługi przy przeniesieniu waliz i pakunków do hotelu.

Macready, poruczywszy Joemu i Mrozowi pieczę nad walizkami, kroczył z Pretwiczem przez puste prawie uliczki miasteczka, rozglądając się bacznie naokół i uśmiechając się raz po raz pod wąsem.

Pretwicz zauważył dobry humor towarzysza i zainteresował go o przyczynę tej wesołości. Dochodzono właśnie do hotelu, którego jaskrawy szyld rażąco odbijał od szarego toczenia niepokaźnych domostw.

— Jak myślisz, kolego, kogo zastaniemy tutaj? — zapytał, wskazując budynek hotelu.

Pretwicz spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Tutaj? Sądzę, że nikogo ze znajomych!

Anglik uśmiechnął się.

— Jesteś tego pewien, kolego?

Pretwicz wzruszył ramionami.

— Jak najpewniejszy! Któż włóczyliby się po takich dziurach, kochany pułkowniku! Przecież stąd droga wiedzie, jak sam powiadasz, tylko w jednym kierunku — do Tybetu!

— Właśnie... właśnie!—śmiał się Macready, zacierając dłonie i oglądając się na nadciągający pochód z rzeczami.

Pojawienie się talk licznych „sahibów” w miasteczku uczyniło na mieszkańcach jego pewne wrażenie. Pierwsze dzieci poczęły pędzić co sił w stronę hotelu, za nimi zbliżali się powoli poważni ich ojcowie i, matki. Z hotelu wybiegi gospodarz i z unizonymi ukłonami zapraszał gości do wejścia.

Macready zwrócił się ku niemu.

— Czy ten „sahib”, który onegdaj przybył jest w domu? — zapytał.

Gospodarz zgiął się w ukłonie.

— Jest... jest... pije u siebie kawę!

— Prowadź nas do niego! — rozkazał Macready, biorąc Pretwicza pod ramię.

— Tutaj! — wskazał gospodarz drzwi.

--- Przygotujcie się na niespodziankę panowie!— rzekł pułkownik do Pretwicza i Joego półgłosem, pukając w drzwi.

— Entrez! — ozwał się z pokoju głos, dziwnie znajomy Pretwiczowi.

Macready rozwarł drzwi.

— Bont jour, mon colonel! — zakrzyknął wesoło.
— Mam nadzieję, że poczęstujesz kawą swych towarzys-
szów podróży... nieprawdaż, kochamy kolego!

Pretwicz nie wierzył własnym oczom.

„Sahibem” był pułkownik Clermont, który zasko-
czony niespodziewanym spotkaniem, patrzył z komicz-
nym zdumieniem w oczach na śmiejącej go się Macrea-
dy'ego i stojących w progu Pretwicza oraz Joego.

Macread'y, jak gdyby nie zauważywszy wiraże nia,
jakie uczyniło na francuzie ich niespodziewano zjawienie
się, usiadł na jednym z płóciennych foteli i z najspokoj-
niejszą w świecie miną począł rozpytywać Clermonta o
szczegóły jego podróży z Singapoore do Sadijia.

Ten odpowiadał pułkownikowi, zamieniając powi-
tania z Pretwiczem i Joem.

— Ale, kochany kolego! — ozwał się Macready,
topiąc dobroduszne wejrzenie w ściągłej, ruchliwej twa-
rzy Clermonta. — Czy nie wydaje ci się dziwnym, że na-
sze drogi od pewnego czasu spotykają się, jak gdyby wio-
dły one do jednego i tego samego celu?

Francuz spojrział na mówiącego pytająco.

— No, tak mniej więcej wypada — ciągnął dalej
Macready — Kolega do Singapoore i my do Singapoore...
kolega do Sadijia i my do Sadijia... obecnie kolega narazić
do Tssziszian i my...

Clermont młodzieńczym ruchem doskoczył doń i chwycił go za ręce.

— I wy...? — pytał, potrząsając silnie dłońmi pułkownika.

— I my do Tsisziszian! — dokończył Macready, uśmiechając się figlarnie — Narazić.... zastrzegam, kolego, że na razie! — dorzucił, poważniejąc i przyciszając głos.

Oblicze francuza przyobekło się natychmiast w wyraz powagi.

Podbiegł ku drzwiom i wyjrzał na korytarz.

— Możemy mówić spokojnie — rzucił, zajmując miejsce obok Pretwicza. — Misja... co? — pytał, wodząc wzrokiem po twarzach swych gości.

Macready i Pretwicz skinęli głowami.

— Tak... misja! — rzekł pułkownik. — I jestem pewien, że rozkazy, wysyłające cię, kolego, aż do Tsisziszian, i zapewne dalej jeszcze, są bliźniaczo podobne do rozkazów, dzięki którym i ja i kolega

Pretwicz znajdujemy się tutaj.

— Chodzi... o kolej przez Gobi? — wyszeptał Clermont.

Macready wzruszył ramionami.

— Ależ tak, kochany Clermont! Wszyscy mamy do spełnienia jednakowe zadanie.... a wiecie czego to dowodzi? — zwrócił się z zapytaniem do wszystkich trzech — Jest to oznaką, że pomimo istniejących antagonizmów

rządy europejskie potrafią o nich zapomnieć w chwilach wielkiej wagi i działać wspólnie, dzieląc się swymi spostrzeżeniami i udzielając sobie wzajemnie potrzebnych wiadomości. A to już dużo! — dorzucił!, podnosząc głos — Stąd już tylko krok jeden do solidarnych czynów!

Z dalszej rozmowy okazało się, że Clermont był zaskoczony rozkazem francuskiego ministerstwa wojny, otrzymanym przezeń w Tokio. Ręczył słowem, że nie alarmował on swych władz żadnymi wieściami o zbrojeniu się Japonii i wrzeniu, jakie opanowało żółtą rasę. Rozkaz ministerstwa, polecający mu udanie się do serca Azji, był zatem spowodowany wieściami i ostrzeżeniami, udzielanymi rządowi francuskiemu przez kogoś innego.

— Może Londyn skomunikował się z Paryżem ze względu na wspólność interesów kolonialnych, a może rząd polski przesłał swej sojuszniczce raport Pretwicza — niewiadomo! Zresztą... to wszystko jedno! — mówił Macready — Szkoda tylko, że nie wiedzieliśmy nic o sobie wcześniej... na przykład w Tokio! Niepotrzebnie kryliśmy się tak przed sobą!

— Co myślisz czynić, kolego? — zwrócił się Pretwicz z zapytaniem do Clermonta — Udasz się tam osobno, czy też razem z nami?

Clermont namyślał się przez chwilę.

— Instrukcja nie zabrania mi iść razem z tymi, którym przyświeca taki sami, jak i mnie, cel przed sobą! — odparł, ściskając dłonie towarzyszy.

— Cieszę się z tego prawdziwie, bo zżyliśmy się już z sobą, a wierzajcie — niema to, jak dobrani towarzysze! — ozwał się Macready — Ale też, powołując się na tę naszą zażyłość, muszę ci, kolego, zwrócić uwagę, że nieopatrznie postępujesz! — zwrócił się ku Clermontowi.

Ten, stropiony temi słowami, patrzył na anglika, usiłując wyczytać z jego oblicza, czy zarzut ten, nie jest jedynie niewinnym żartem.

Ale Macready był poważnym.

Podszedł ku Clermontowi i ujął go za ramię:

— Szukałeś przewodników do Tsiszisanu? — zapytał patrząc nań bystro.

Clermont skinął głową potwierdzająco.

— Głupstwo zrobił, kochany Clermont! Kapitanie głupstwo! — gderał anglik, trąc w zakłopotaniu dłonią czoło — Któż widział wyjawiać cel takiej podróży! Ręczę, że cała Sadija już o tem tylko mówi.

Clermoni stropił się widocznie.

— Ach, przesadzasz, kolego! — usiłował się bronić — Całe miasto! O mym zamiarze wie tylko właściciel hotelu i handlarz, pośredniczący przy kupnie koni.

— I naczelnik stacji tutejszej wie o tem również! — dorzucił z lekkim uśmiechem ironji milczący dotąd Joe.

Słowa Joego wprawiły francuza w zakłopotanie. Zrozumiał, iż postąpił więcej, niż nieostrożnie.

— Co robić teraz? — szepnął, zagryzając nerwowo wargi.

— Jakoś się tam temu zaradził — zaśmiał się Macready, obejmując go przyjacielsko — Trzeba tylko, jak to mówią u nas, puścić teraz „falszywą farbę“.

— Ale jak? — dopytywał się Clermont.

Macready machnął lekceważąco ręką, jak gdyby dając temsamem do poznania, że sprawa ta nie będzie znów tak arcytrudną i polecił Joemu, aby sprowadził gospodarza. Tem, zjawił się natychmiast bijąc niskie pokłony przed „sahibami“, co do których powziął przekonanie, że należą do ludzi bogatych i nie liczących się z wydatkami, to jest takich, przy których, przy pewnej dozie sprytu można nieźle zarobić.

Macready przyglądał mu się z pod oka, wreszcie zapytał, czy można będzie w Sadija kupić więcej koni i znaleźć przewodników. Hindus zapamiętywał się wprost w zachwalaniu koni, jakimi handluje jego brat, znany ma całą okolicę kupiec.

— Takich koni, jak są u niego, niema w całej Birmie... ba, co ja mówię, nie tylko w Birmie, ale i w Bengali, a może nawet i w Dekanie! — cmokając wargami i wymachując rakami, mówił — Taki każdy koń zajdzie nietylko do Tsiszisan, ale i do Uirgi... miało do Uirgi... na koniec świata! Co za konie... co za konie! Sam wicekról w Kalkucie nie ma takich koni...

— Eh... może ma? — wtrącił nawpół drwiącym, na wpół poważnym tonem Joe.

Hindus spojrzał na niego zezem. Nie był pewnym, czy zakpiono zeń, czy też pytanie to było postawiane serio.

Na wszelki przeto wypadek wyprostował się z godnością i zrećcznie przeskoczył na inny temat.

— Przewodnicy? Któż może nie wiedzieć, że Sadija słynie z nich? Sahibowie widać przybywają z bardzo daleka, inaczej wiedzieliby coś o tem! Każdy pierwszy lepszy mieszkaniec zna drogę do Tsiszisan... każdy przesmyk... każdą przeprawę! Sahibowie mogą być zupełnie spokojni i pewni, że niebawem staną w Tsi-szisan! — zaręczał, bijąc się żylastą dłonią w pierś, aż dudniło.

— Ba! — rzucił, wzruszając ramionami Macready — Cóż nam przyjdzie z tego, że tutejsi przewodnicy znają tak wybornie drogę do Tsiszisan, kiedy my się tam nie udajemy!

Hotelarz wybałuszył oczy ze zdumienia. Spojrzał na Macready'ego, Clermonta i wyjąkał.

— Jakto nie do Tsiszisan.. przecież sahib....

Pułkownik przerwał jego słowa.

— Rozmyśliliśmy się! Udamy się wzdłuż rzeki Dihong do Czetangu!

Hindus magle spowaźniał.

— To po drodze do Świętego Miasta?

— Talk! — przytwierdził Macready — Czetang leży niezbyt daleko od Lhassy.

Birmiańczyk zadumał się na chwilę.

— To sahiby obcą do Lhassy? — rzęśli wreszcie pyt nie, wpatrując się podejrzliwym wzrokiem w oblicze Maeready‘ego.

Ten wzruszył ramionami.

— Do Lhassy... nie do Lhassy... może dojdziemy tylko do Czetang... a może dotrzemy dalej... do Szigace — ciągnął obojętnym tonem. — Mówiono nam, że nad Dihongiem jest więcej zwierzyny niż w okolicach Tsiszisanu — dorzucił i utkwiał wzrok w hindusa, jak gdyby oczekując odeń potwierdzenia tej wiadomości.

Lecz tem zdawał się nie słyszeć końcowych słów, wyrzeczonych doń przez pułkownika.

— Do Lhassy... hm... do Lhassy! — powtarzał, kręcąc głową. — Tam z naszych ludzi nikt nie pójdzie!

— Czemu? — pytał Macready. — Przecież to bliżej, niż Tsiszisan?

— Bliżej... ale źle! Ludzie źli! Nad Dihongiem włóczą się rozbójnicze plemiona, a i z Butanu zagładają tam rabusie! Nie... tam milkli z Sahibami nie pójdzie! A jeszcze do Lhassy! Nie... strach!— powtarzał, trzęsąc głową.

— Mniejsza z tem! — rzekł obojętnie Macready — Sprowadzimy przewodników z Martabanu! Ale komie mogą być?

Hotelarz miał zamiar jeszcze raz roztoczyć przed nimi pochowały towaru swego brata, lecz Macready kazał mu odejść i przygotować obfitą kolację.

— Wspaniale! — aa chwycił się Clermont, skoro gadatliwy birmańczyk znikł za drzwiami.

— Za godzinę całe miasto będzie wiedziało, że mamy zamiar iść do Lhassy — śmiał się Joe.

— Lecz, doprawdy, skąd weźmiemy przewodników? — interesował się Pretwicz.

Macready uspokoił go zapewnieniem, że pomyślał już o tern w Mandale. Dowódca garnizonu, jego przyjaciel ma mu za dwa — trzy dni przysłać sipaya, znającego świetnie przesmyki górskie nie tylko do Tsiszisanu, lecz i do samego jeziora Kukunor, a nawet i dalej. Sipay ten ma być zupełnie pewnym człowiekiem, za co ręczył kolegia Macready'ego.

Rozpoczęto rozmowę o wyprawie i o oczekujących na nich możliwościach i niebezpieczeństwach. Clermont twie rdził, że niebezpieczeństwa te zacząć się mogą dopiero po drugiej stronie grzbietu Nanszaimu, to jest, u samych wrót pustyni Gobi.

Pretwicz, a z nim i Joe byli zupełnie odmiennego zdania.

— Jeżeli żółci przygotowują coś naprawdę gigantycznego na pustyni, to nie mogą pozwolić, aby pierwszy lepszy podróżnik lub wysłannik mógł dotrzeć aż do Nanszaniu, skąd już krok jeden do krańca pustyni! — prze-

konywał Pretwicz — Byłoby to największą lekkomyślnością z ich strony! Należy przypuszczać, że sieć ich straży rozrzucona jest szeroko, a więc możemy się zaplątać w nią nie tylko za Kukunor, lecz zaraz na wstępie do Tybetu. Nie ręczyłbym za to, czy nie mają oni swych szpiegów i tutaj!

— Splendid! Mister Pretwicz ma rację! — poparł go gorąco Joe — Co do mnie, jestem przygotowany ma to, że na drugi... trzeci dzień po wkroczeniu w ziemie Dalaj Lamy natkniemy się na ich ludzi.

Milczący dotąd Macready wmieszał się wreszcie do rozmowy.

— Słuszność jest po jednej i po drugiej stronie — mówił powoli, wodząc po nich bystrym, spojrzeniem — Kolega Pretwicz zupełnie słusznie podejrzewa obecność szpiegów na pograniczu indyjsko tybetańskim, a nawet może i tutaj. Lecz co do niebezpieczeństw, skłaniam się więcej do zdania naszego kochanego Clermonta! Nastawać na nasze życie w pobliżu granicy nie ośmieliliby się... zawsze to ryzykowne... mogłoby się rozejść... byłby krzyk, a oni chcą tego wszystkiego uniknąć, aby przeciągnąć sprawę przygotowań jaknajdłużej. Co innego w środku Tybetu... tam nam mogą urwać głowy ciałkiem swobodnie.

— I nikt się o tem nie dowie, co najważniejsze! dorzucili Joe.

— Teraz ja z tobą, kochany poruczniku, nie zgadzam się! — żartował Pretwicz — Moim zdaniem, mniej ważnym jest to, że się nikt nie dowie o naszych urwanych głowach, ważniejszym będzie sam fakt urwania nam głów!

— Nie wiem tego... nigdy dotąd nie byłem w podobnej sytuacji! — odrzekł z komiczną powagą Joe.

— No... to będziesz! — straszył go, śmiejąc się, Macready i powstał z fotelu, gdyż na dole rozległ się donośny dźwięk gongu, oznaczający zazwyczaj w Indjach, żel podatno do stołu.

IX.

Trzydziestu czterech długich, mozolnym trudem poświęconych, dni potrzeba było, aby karawana, opuściwszy Sadija, znalazła się w Cyamdo, małym miasteczku, leżącym ma połowie mniejwięcej drogi z Sadija do Tsisiszanu.

Wyruszywszy z Sadija, podróżnicy skierowali się zrazu kotliną Dihonga, lecz po jednym dniu drogi przez znane przewodnikowi przełęczce powrócili ku rzece Lahit i, kierując siłę na północo wschód, przekroczyli niebawem linię graniczną pomiędzy Indjami, a Tybetem.

Z chwilą tą musieli już liczyć wyłącznie tylko na siebie.

Wśród przepaścistych wąwozów tybetańskich, pomiędzy szczytami niezliczonych gór, po kamienistych osypiskach, ciągnących się całymi kilometrami wzdłuż wartkich, z hukiem i, szumem pędzących po kamieniach, rzek, pośród mieszkańców, nieufnie spoglądających na każdego obcego, nie zrażając na trudy i piętrzące się na każdym kroku trudności, garstka śmiałków dążyła naprzód wytrwale, prowadzona nakazem obowiązku i poświęcania.

Sepoj, przysłany z Mandale, służący za przewodnika w tej wyprawie, okazał się w rzeczywistości mało wartościowymi, gdyż, jak się rychło przekonał Macready, jego znajomość Tybetu ograniczała się jedynie do orjentowania się w dorzeczach Lahit i Lukiangu, wypływającego z leżącego opodal Lhassy jeziora Tingrinor. Dalej niż linja Lukiangu Ram Puna, takie imię nosi sipaj, nie bywał on nigdy. Słyszał jeszcze coś nie coś o Cyamdo, mieście nad rzeką Lautsaukiang, lecz doprowadzić tam podróżnych nie umiał i gdyby nie przewodnicy wynajęci, w drodze karawana błdziłaby zapewne długo wśród tysiącznych wąwozów i dolin zanim by się nareszcie znalazła w tym mieście.

Uradzono zatem, aby odesłać do Mamdale Ram Punę i dążyć dalej przy pomocy miejscowych przewodników, o których, na szczęście, nie było znów tak trudno.

Z postanowienia tego najbardziej zadowolonym był Szymon Mróz, który od pierwszego zaraz dnia żywił niechęć do mrukliwego, patrzącego nieco z podelba sepoja.

— Niech wraca, skąd przyszedł, jucha! — ucieszył się Mróz, usłyszawszy od Pretwicza nowinę o zamiarze odesłania Ram Puny — Co mi to taki przewodnik, któremu trzeba pokazywać drogę!

I ja to samo potrafię i jakbym się tak na dobre uparł, to bym doszedł przez te górki nie tylko do tego jakiegoś Kukunoru, ale jeszcze i dalej. Zresztą, żeby tak prawdę powiedzieć, to mi się Ram Puna całkiem podejrzany wydawał. Niby niemrawy, oferma taka, trzech, jucha, zliczyć nie umie, a do wszelakich rozmów i wypytywań o to dokąd idziemy, to ciekawy, niczem baba! Damy sobie i baz niego radę! — dorzucił z powagą. Joe, który nadzwyczajnie polubił wesołego i zawsze chętnego do pracy chłopaka, wmieszał się do rozmowy.

— Więc powiadasz, Szim (tak zanglizował jego imię), że potrafisz wędrować po tych górkach? — pytał z wesołym uśmiechem, wskazując ruchem głowy na widniejące na zachodzie masywne zarysy gór Tangla — Zdaje mi się jednak, że zbyt no je lekceważysz... — to nie górki, a całe góry, mój chłopcze!

Mróz, który od paru chwil zerkał na kręcącą się po podwórzu zajazdu młodą tybetankę, podniósł nań oczy, krzywiąc równocześnie usta w pogardliwym grymasie.

— To są góry? — rzekł, wzruszając ramionami
— To pan porucznik prawdziwych gór nie widział! U nas to są góry, jak się patrzy! Ale to! — machnął ręką i zajął się znów obserwowaniem tybetanki, usiłującej nadaremnie zapędzić do obory młodego jaka.

Joe spojrział ze zdziwieniem na Pretwiczu, z uśmiechem przysłuchującego się rozmowie.

— U nas... gdzie to u nas? — pytał zaciekawiony słowami Mroza anglik — Czyż mogą być większe góry od Himalajów? Nic o tem nie słyszałem.

Pretwicz mrugnął nań porozumiewawczo.

— Szymek! Pan porucznik chce się dowiedzieć, gdzie są prawdziwie góry? Mówi, że chyba przesadzasz! — rzekł, powstrzymując się od śmiechu.

Mróz oburzył się.

— U nas, w Sandomierskiem to są góry, jak się patrzy... prawdziwe! — mówił z przekonaniem — Taka, niby na ten przykład, Łysica! Albo Opucza... he! To są piękne góry! Las zieloniusieńki od dołu, aż do samego wierzchołka, tratwa w pas, ptaszki śpiewają, aż człowiekowi radość! Wyjdiesz se na szczyty przysiądziesz i patrzysz! A w okolusieńko widać i Nową Słupią i Daleszyce i Wierzbnik... ale gdzie... nawet Opatów, jak stonko świeci, można dojrzeć! To są dopiero góry... o, rany boskie... stratuje dziewuszysko na nic! — zakrzyknął, przesadzając parapet okna i znikając za nim.

Pretwicz i Joe rzucili się ku oknu.

Młody jak, rozdrażniony razami kija, którym chciała go zmusić do posłuszeństwa dziewczyna, schyliwszy łeb i błyskając groźnie nabiegłymi krwią oczyma, ganił dziewczynę, usiłując dosięgnąć ją rogami. Dziewczyna umykała, jak mogła przed rozjuszonym zwierzęciem, kryjąc się w zakamarkach podwórza. Dostrzegłszy Mroza zwierz rzucił się nań z kopyta. Uchyliwszy się zręcznie, chłopak kopnął w brzuch przebiegające obok niego w rozpędzie zwierzę z taką siłą, że zatoczyło się na bok, wydawszy donośny ryk bólu i przestachu. Mróz nie dał się opamiętać zwierzęciu. Doskoczywszy doń, chwycił je za rogi. Jak począł się szamotać, lecz dziewczyna zdążyła tymczasem przewlec sznur przez żelazne kółko, przeciągnięte przez chrząstkę nosową zwierzęcia. Poczuvszy ból, jak uspokoił się momentalnie i bez trudu dał się zapędzić do obory.

— Splendid! — zachwycił się Joe — Zuch Szim! Ale... jak to jest naprawdę z temi jago górami, pułkowniku? Nigdy nie słyzałem o takich olbrzymich górach w Polsce... Ta Lis... Lisie...

Pretwicz parsknął śmiechem.

— Łysica, chcesz zapewne powiedzieć! Wysokość jej wynosi sześćset z czymś metrów, więc w porównaniu z temi gromadami jest to zaledwie pagóreczek. Ale dla Szymka nie będzie na całym świecie większych ni też piękniejszych gór od Świętokrzyskich, bo tak się owe Ły-

sice i Opucze faktycznie nazywają. A wiesz czemu, Joe? Bo urodził się on wśród nich i wyrósł.

Joes skinął głową na znak, iż w zupełności podziela zdanie przyjaciela.

— Ja to wiem! — rzekł, zcisząc nieco głos — Ja to rozumiem! Dom rodziców moich stoi opodal Damfries nad zatoką Solway. Tyle mórz i oceanów widziałem już, a jednak zdaje mi się, że tak, jak szemrzą fale Solway nie szemrze żadne morze... żaden ocean...

I widocznie wspomnienia o domu rodzinnym i cichym szepcie zielonawych wód Solway rozkołysały duszę zu-chowatego porucznika, sprowadzając nań zadumę, gdyż przez resztę wieczoru, aż do chwili udania się na spoczynek był milczącym, co niepomiernie zadziwiło Macready'ego, troskliwie wypyującego się o powód tajemniczego milczenia.

Nazajutrz, skoro świt Mróz wślizgnął się do izby, w której spali jeszcze smacznie członkowie wyprawy.

— Oj, Szymek... niepoprawny jesteś! Jak widzę i w Tybecie chcesz pozostawić rozdarte serca, jak to robiłeś na Ukrainie! — gderał Pretwicz, udając lekko zagniewanego.

Joe, który również przebudził się z chwilą wejścia Mroza, mrugnął ku niemu porozumiewawczo.

— Zapewne pomagałeś znowu tej dziewczynie zapędzać jaka do stajni! — śmiał się — A może tybetanka dziękowała ci tak długo za wczorajszą przysługę?

Chłopak usiłował uśmiechem pokryć swe zmieszanie.

Patrząc na jego nieszczęśliwą minę i Pretwicz i Joe parsknęli śmiechem, który rozbudził pułkownika.

— Jesteś nareszcie, łobuzie! Gdzieżeś ty bujał przez całą moc — zakrzyknął na widok Szymika — Uważaj, aby jaki mściwy tybetańczyk nie pchnął cię nożem z zazdrości o tę tam... jakżesz jej na imię?

— Aischa! — bąknął Mróz — Eh; — dodał, obrzucając spojrzeniem śmiejących się — Panowie zaraz myślą Bóg wie co, a ja tylko tak...

— Co... tak? — dopytywał się Joe.

— Niby tak... ze względów ogólnych... — bąkał Szymek — Rozmawialiśmy... niby o tem... o gospodarstwie... o jakach...

— Jakimże sposobem porozumiewaliście się?— dopytywał się Macready — Rozumie ta twoja Aischa po angielsku, czy też ty już nauczyłeś się tak wiele po tybetańsku, że mogłeś wyjawic jej swoje uczucia?

Mróz spojrzał nań prawie, że pogardliwie.

— Nie umiałem po włosku, a z każdą włoszką rozmówiłem się, kiedyśmy to jeszcze w ofenzywie szli przez Piawę... co to nas tam morowo sprali... panowie wiedzą prawda? — pojaśniał.

— W Japonji też zaraz po przyjeździe, z japonkami gadałem, jak się patrzy... w Singapoore też dałem sobie radę z malajkami, chociaż one ani w ząb po angielski

sku, to i dla takiej czarnej tybetanki nie będę sobie wykręcać języka! Jak mówiliśmy? Ja po polsku, a ona po swojemu. Ułan powinien umieć rozmówić się z samym nawet dja-błem.

— Zuch! — mruknął Joe — No i cóż?

Mróz skrzywili się.

— Ii... melduję służbowo, nic tam znowu szczególnego takiego! Czarna... chuda... niema co w garść wziąć! Eh!... — machnął lekceważąco ręką — A co pan pułkownik mówi o tym nożu, to, rzeczywiście, ma się tu do niej jeden, ze służących, ale tego akurat wieczorem wystął Ram

Puna, więc niby przeszkód nie było.

— Ram Puna? — zainteresował się Macready

— Dokąd? Przecież miał sam wrócić do Mandale?

Mróz wzruszył ramionami, przybierając tajemniczy wyraz twarzy.

— Właśnie z tym odmieńcem to coś jest nie w porządku! — mówił cichym głosem — Bo to było tak! Ta Aischa chciała mi pokazać swoją izdebkę, więc idziemy... przechodzimy koło okna izby, gdzie mieszka gospodarz... patrzę... siedzi Ram Puna... ten niby narzeczony Aischy i paru jeszcze. Gadają coś, ale cicho i palcami po atole wodzą... przyglądam się... mapa! Coś mnie tknę ło, więc uważam. A akurat izdebka Aischy przytyka do izby, w której siedzieli. Więc niby dziewczynie zawracam gitarę,

a sam nad słuchuję. Ciągłe tylko słyszę Tsisziszan i Kuku-nor! Ehe... bratku... myślę sobie o tym Ram Punie, boś ty taki... trzech zliczyć nie umiesz, a po mapie palcem wodziś, jak jaka lala sztabowa! Gadali tak z godzinę, albo i więcej, a potem Ram Puna pisał i pismo oddał temu, co to niby ma się do Aischy i coś mu długo klarował, a tamten tylko łbem kiwał. Wreszcie pismo schował do kieszeni przy siodle i wyszedł. Zarazem się domyślił, że do stajni. Więc mówię Aischy, żeby pożegnała frajera, bo niby wypada. Dziewczyna do stajni, a ja za nią chyłkiem. Ano... zaczęli się żegnać i szwargotać po swojemu, a ja tymczasem do konia... lekuchno rączką do paktaszy przy siodle i pismo do kieszonki. Jak już ten oferma wyjechał, to ja dziewczynie trochę jeszcze potrajlowałem i mówię „adieu, Róziu Fruziu“. No... i jestem i pismo też! — zakończył, wydając z kieszeni skrawek papieru, zawinięty w chustę.

Zaciekawiony Macready chwycił pismo i podniósł je do oczu. W miarę czytania twarz jego zasepiała się coraz bardziej. Pretwicz i Joe z niecierpliwością wyczekiwali jego słów. Macready złożył pismo i przez chwilę spoglądali, milcząc, na swych towarzyszy.

— Ram Puna jest „ich“ szpiegiem! — rzekł wreszcie.

Pretwicz i Joe milczeli, zdumieni tą nieoczekiwaną całkiem wiadomością, natomiast Mróz rozjaśnił twarz w radosnym uśmiechu.

— A co? — mówili, z akcentem zadowolenia w głosie — Od razu mi się ten czarny jucha nie podobał! Nawet mówiłem panu porucznikowi o tem! Oho... nie ułana brać na takie kawały!

— Masz rację, chłopcze! — przyznał Macready — Posłuchajcie co zawiera pismo! — dodał, rozwijając papier — „Czterech europejczyków, jak należy przypu szczać wojskowych, wyruszyło z Singapoore przez Sadija do Kukunor i dalej. Obecnie znajdują się w Cyando. Dać znać do Ansifan i zażądać instrukcji co z nimi uczynić“.

— Goddam! — zaklął Joe — Najwyraźniej są na naszym śladzie! Pismo dobitnie świadczy o tem!

— Tak, to prawda, lecz z treści jego wynika również, że i my znajdujemy się na właściwym tropie — dorzucił spokojnie Pretwicz.

— To nie ulega wątpliwości! — przywtórzył jego zdaniu Macready — I nawet wiemy, gdzie się znajduje kierownictwo tej akcji. Ansifan leży za Suczou, o ile się nie mylę, nad rzeką Bulungir. Jest to już szczerza pustynia, na której czynione są zapewne jakieś przygotowania.

Pismo potwierdza całkowicie informacje, wspomnienie w rozkazach, otrzymanych przez nas od naszych ministerstw.

— A cóż się stało z Ram Puną? — zapytał Joe

— Czy jest jeszcze tutaj?

— Ba... żeby był, tobym i ja sam już z nim pogadał delikatnie! — wzruszając ramionami odrzekł Mróz —

Ale cóż... wyjechał tak niespodziewanie, że się nie opatrzyłem jak i kiedy...

— Przeszkodziła ci w tem zapewne ta Aischa? - rzucił sztucznie poważnym tonem Joe.

Mróz spojrział na niego zezem.

— Przeszkodziła... przeszkodziła! Pan porucznik podrwiwa sobie, a żeby nie moja ciekawość do rozmowy z nią, tobyśmy nic nie wiedzieli o sprawkach Ram Puny! — mrucał urażonym nieco tonem.

— Racja! — przyznał Macready, częstując go cygarem, które Szymek zapalił z miną prawdziwego znawcy — Widzę, że nawet zgubna zazwyczaj namiętność do przygód miłosnych może się na coś przydać!

— Zgubna? — zadziwił się Szymek — Eh, panie pułkowniku, a cóż można przy tem zgrubić?

— Co? Serce! — zaśmiał się Joe.

Chłopak wydał pogardliwie wargi.

— Ii... zaraz serce! Żołnierz może zgubić wszystko, nawet menażkę, ale co do serca, to musi je pilnować, gdyż inaczej ile postojów, tyle musiała by mieć i serc. Są naturalnie, ofermi takie, co i to nawet potrafią zgubić, ale... — umilkł nagle, spojrzawszy na Pretwicza.

Z opowiadań Joego wiedział o dramacie, jaki się rozegrał w willi Ozari.

Spoglądali przeto zmieszany nieco wzrokiem na siwego uwielbianego pana, nie wiedząc, czy niebaczne słowa nie uraziły go.

Przecież pan, jego nie był „ofermą”, a jednak zgubił swe serce tam, w wiśniowych ogrodach japońskich. Zgubił i... zdaje się... na zawsze.

Lecz Pretwcz, jak gdyby nie słysząc jego stów, milczał, utkwivszy wzrok w Widniejących za oknem poszarpanych szczytach grzbietu Tangla, ciągnącego się długim pasmem od świętego jeziora

Tengrinornu ośnieżonym wierzchołkom Kwenlunu.

X

Jakkolwiek wykradzenie przez Mroza listu Ram Puny otworzyło naszym śmiałkom oczy na czyhające na nich niebezpieczeństwo, nie usuwało go jednaką gdyż, jak należało przypuszczać, wysłaniec wiarołomnego hindusa znał treść wiezionego przez siebie pisma, dzięki czemu mógł ustnie uprzedzić żółtych szpiegów o zbliżających się podróżnikach.

Rzecz prosta, że cały południowy kraniec pustyni Gobi strzeżony był przez posterunki żółtych, które zapewne wysunięto dość daleko w głąb Tybetu. Nasi podróżni mogli się natknąć na nie już w okolicach Tsinszianu, a nawet i znacznie pręcej.

Po naradzie przeto, poprzedzonej szczegółowym przestudiowaniem map wyżyny Tybetańskiej, dotarłszy

na czwarty dzień po wyruszeniu z Cyamdo do pianistych wód Murussu, wyprawa skierowała się w górę tej rzeki, oddalając się temsamem w, kierunku zachodnim od utartego szlaku karawan, dążących z południa do Tsiszisanu i Kukunoru.

Tym sposobem miano nadzieję ominąć czaty strażujących, uprzedzonych już zapewne przez wysłańca Ram Puny o wyprawie. Lecz aby dotrzeć do płaskowzgórza Cajdam, oddzielonego od pustyni wąskimi grzbietami Ałtyn Tagu i Nanszaniu, należało przedrzeć się przez urwiska pasm górskich Bajankaraula i Markapolo.

Dotychczasowa podróż z Sadija do Cyamdo wydawała się zwykłą zabawką wobec trudności, jakie oczekiwały podróżnych w drodze przez skaliste zwały Bajankaraula. Częstokroć nie godziny lecz całe dni tracić musiała wyprawa na wyszukiwanie przejść przez przełęcze górskie, z których niejedne okazały się po bliższym zbadaniu nie przebycia ze, względu na strome spadki i kamienne rumowiska.

Nawpół dzicy przewodnicy, chociaż zachęceni obietnicą sutego wynagrodzenia, nie wiele przynosili korzyści. Znali oni wybornie wszelkie szlaki karawan, i orientowali się wśród, nich dostatecznie, lecz żaden, z, nich nie mógł zrozumieć dlaczego wyprawa ma przedzierać się przez przepaście i zawrotne urwiska pustynnych, rzadko nawet przez myśliwców odwiedzanych gór, za mieszkałych je-

dynie przez stadka krętorogich skalnych baranów i długowłosych jaków.

Coraz częściej, po parodniowych bezowocnych próbach znalezienia przejścia, zniechęceni przewodnicy opuszczali podróźnych, zaręczając, że wszelkie ich usiłowania przedostania się na płaskowzgórze Cajdam będą bezskuteczne i muszą zakończyć się źle, gdyż „potężne duchy gór, zaniepokojone obecnością ludzi, ukarzą srogo śmiałków, naruszających ich spokój”.

W wypadkach takich podróźni pozostawiani byli sami sobie dotąd, dopóki napotkani myśliwcy skalnych baramów lub zdziczali pasterze, skuszeni blaskiem i dźwiękiem złotych rupji, nie godzili się spełniać rolę przewodników.

Jednakże tylko nadludzkiej wprost wytrwałości i niezłomnej woli podróźni zawdzięczać mogli, że po upływie trzech długich tygodni niewypowiedzianych trudów znaleźli się na północnych zboczach Kwenlunu. Przed nimi rozciągał się płaskowyż Cajdamu, usiany niezbyt wysokimi wyniosłościami.

Hen... daleko, przed nimi... na północy szarzały w mgłach oddalenia groźne, urwiste szczyty Nanszanu.

Za szczytami tymi kryła się owa tajemnica, która była przyczyną zaniepokojenia rządów europejskich i stała się powodem ich wyprawy.

Podróż przez Cajdam zajęła im znacznie mniej czasu niż droga, którą dotąd przebyli z Cyamdo, jakkolwiek ze

wzglądu na spodziewaną obecność straży, strzegącej dostępu do pustyni, dążyli naprzód ostrożnie, niejednokrotnie nadkładając drogi przy dostrzeżeniu rzadkich osiedli ludzkich i koczowniczych obozowisk.

Nareszcie, przedarłszy się przez pustynne przełęczę Altyntagu, podróżni stanęli na piaszczystej równinie Gobi.

Stąd zaledwie sto kilkadziesiąt kilometrów dzieliło ich od Ansifanu, gdzie, jak przypuszczali, będą mogli uchylić rąbka tajemnicy pustyni.

Na wniosek Clermonta zatrzymano się dla odpoczynku przez parę dni w jednym z dzikich, krętych wąwozów górskich, który zdawał im się tak bezpiecznym, iż po namyśle uradzono uczynić zeń podstawową bazę dla czynienia wycieczek w stronę Ansifanu i szczątków „Chińskiego muru“, kończącego się w pobliżu Suczon.

Przypuszczenia ich o pilnowaniu krańców pustyni okazały się całkiem uzasadnione. Już na drugi dzień po zatrzymaniu się na odpoczynek,

Joe, strażujący, u wylotu wąwozu, przybiegł do obozowiska z wiadomością, iż spora grupka jeźdźców nadciąga ku górom od strony pustyni.

Z ukrycia obserwowano jeźdźców. Przeciągnęli oni w marszowym szyku w odległości kilkuset zaledwo metrów od ukrytych wśród skalnych załamów, podróżnych.

Jechali powoli, zbrojni w ciężkie tybetańskie saabie w szerokich drewnianych pochwach i w krótkie kawalerskie karabinki, zawieszane u siodeł.

Całe ich zachowanie cechował spokój. Widocznym było, że jest to zwykły objazd, czyniony zapewne codziennie.

Gdy jeźdźcy skryli się już za piaszczystymi wydmi, Pretwicz, obserwujący ich pilnie przez lornetkę, spojrział na Clarmontę, który również przez cały ten czas nie odrywał oczu od szkieł dalekowszkie.

Spostrzegłszy utkwiony w siebie wzrok Pretwicza, Francuz skinął porozumiewawczo, głową.

Dwaj kawalerzyści zrozumieli się w zupełności.

Jeźdźcy widziani przed chwilą nie byli luźną watahą. Czynili wrażenie żołnierzy regularnych.

Doświadczony wzrok obu kawalerzystów zauważył to momentalnie.

Zdanie ich, jak się następnie okazało, podzielał również tak Macready, jak i Joe.

Pierwszy z nich, znający wybornie stosunki środkowoazjatyckie, orzekł, iż żołnierze, których widzieli przed chwilą, zostali sformowani w ostatnim czasie, gdyż dotąd ni tybetańczycy, ni też Chińczycy, nominalni władcy pustyni, nie posiadali takiej kawalerii.

Rozmowa ich na ten temat przerwana została głośnymi nawoływaniami Mroza, na którego wypadła kolej strażowania u wylotu wąwozu.

Widok, jaki niebawem ujrzeni, był tak niezwykłym i pięknym że ze wzruszeniem i z niepokojem zarazem obserwowali go w milczeniu.

Z głębin pustyni, odrzynając się twardymi konturami na tle szarobłękitnego nieba i złotawo-rudych piasków, nadciągały ruchliwe, wydłużone prostokąty konnicy, idącej stępa.

Było tego, licząc na europejską modłę, kilkadziesiąt co najmniej pułków, skupiających się najwyraźniej w, brygady i dywizje.

Poza nimi, w drugiej linii toczyły się, głucho tętniąc kołami armat, licznie oddziały artylerii konnej.

Równanie w szeregach, odstępy między poszczególnymi szwadronami i pułkami, były zachowywane z taką precyzją, iż patrzącym zdawało się przez chwilę, że mają przed sobą najbardziej karne i wyćwiczone oddziały kawalerji europejskiej.

W pewnym momencie te dwie ławy ludzi, koni i dział zatrzymały się w miejscu. Na czoło oddziałów wysunęli się dowódcy, rozległy się ostre słowa komendy, zagrały chrapliwie trąbki i tysiące ludzi i koni poczęły rozwijać się w jedną linię.

— Przeglądał jakiś, czy ki djabeł! — zakrzyknął

Mróz, w którym zbudził się dawny ułan.

Zabrzmiały gromkie okrzyki krótkiego rozkazu i wszystko zastygło w bezruchu.

Na lewym, skrzydle linii ukazała się grupka jeźdźców, stępa przeciągająca wzdłuż długich i głębokich szeregów. Co chwila od czoła oddziałów wyskakiwał w ostrym galopie jeździec i, zrównawszy się z grupką, składał meldunek jadącemu na jej czele.

— Rychtyk, jak u nas na Saskim Placu! — przemówił Mróz. — A ten na siwym koniu, to musi być ichni Dziadek! — dorzucił po chwili tonem głębokiego przekonania.

Sztab zbliżył się tymczasem do środka linii i stał teraz na wprost miejsca, w którym znajdowali się w ukryciu obserwujący.

— Zdaje mi się, że pomimo oddalenia poznaję w tych sztabowcach niektórych z oficerów tokijskich — szepnął Clermont do Pretwicza, — W każdym bądź razie sposób trzymania się w, siodle i powodowania koniem dobitnie świadczy, iż sztab ten składa się prawie wyłącznie z japońskich kawalerzystów. A wy jakiego jesteście zdania, kolego?

Lecz Pretwicz nie słyszał jego słów, gdyż całkowicie pochłonięty był obserwowaniem jeźdźca, który grał rolę dokonywającego przeglądu.

Postać jego wydawała mu się zmianą.

Już gdzieś widział tę wysmukłą, nieco do kobiecej podobną, kibić kawalerzysty. Pretwicz miał nadzieję, że pochwyci moment, gdy jeździec powróci głową w jego stronę, dozwalając tem samem dostrzec zarysy twarzy,

lecz ten przez, cały czas przejazdu wzdłuż frontu nie odrywał oczu od głębokich szeregów, prężących się przed nim z wprawą karnych i wyćwiczonych żołnierzy.

Po upływie pewnego czasu dowódca i jego świta, przesunęli się w prawo na taką odległość, że nawet przez szkła, stali, się mało wyraźnymi.

Po ukończeniu przeglądu sztab stanął poza linjami oddziałów, wgłębi pustyni. Poczęła przed nim przeciągać defilada. Biegły kłusem oddziały konnicy, a następnie w galopie przemknęła artyleria konna.

Defilujące oddziały zakreślały na horyzoncie półkole i zwolna oddalały się w głąb pustyni, znikając za piaszczystymi wzgórzami. Sztab pociągnął rychło za nimi.

— Jedna tajemnica już wydarta pustyni! — przemówił Macready, wodząc zasepionym spojrzeniem po twarzach swych towarzyszy.

— Na dobrą sprawę już to samo wystarczyć nam powinno, gdyż świadczy o zakrojonych na gigantyczną modłę planach żółtych. — mówił Joe.

Macready wzruszył ramionami, jak gdyby na znak, iż nie zgadza się ze zdaniem młodego marynarza.

— Rozkaz mówi wyraźnie o konieczności zbadania całokształtu prac japończyków na pustyni.

Musimy go spełnić, choćby połowa z, nas miała to przypłacić życiem! — ozwał się poważnym tonem.

Wieczór i większa część nocy przeszły im na dziele-
niu się wrażeniami i spostrzeżeniami tyczącymi się wi-
dzianego przeglądu konnicy.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że sformowa-
nie tej całej konnej armji było dziełem sztabu i instrukto-
rów japońskich.

Jak obliczali, Pretwicz i Clermont, armja ta liczyła co
najmniej od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu tysięcy lu-
dzi.

Marcready, który dość dobrze znał szczepy tybetań-
skie i władał doskonale paroma ich narzeczami, zapewnił
towarzyszy, że tybetańczycy, jako materiał kawaleryjski
są wprost bezcenni.

Wytrwali, pół życia spędzający na grzbietach swych
małych, lecz nadzwyczaj rączych górskich koników, wy-
śmienici strzelcy, nieustępujący łatwo w obliczu niebez-
pieczeństw, stać się mogą w bardzo krótkim czasie groź-
nym przeciwnikiem każdej kawalerii europejskiej.

— Jak dotąd brakowało tym urodzonym żołnierzom
nowoczesnego uzbrojenia i wyćwiczenia, lecz brakom
tym, jak widzimy, zaradzili już nasi tokijscy przyjaciele
— zakończył swój wykład anglik.

Słowa jego uczyniły głębokie wrażenie na wszyst-
kich. Jeden tylko Mróz nie wziął ich zbyt do serca.

Przygotowując wraz z Joem wieczorny posiłek dał
temu wyraz w rozmowie z porucznikiem.

— Jużci, wielki oficer jest pan Macready i każde jego słowo to szczerze złoto, ale co na kawalerji, to z przeproszeniem pańskim, poruczniku, zna się tyle, co, nieprzyzierając, żyd na armacie — mówił, mordując się nad otworzeniem blaszanych puszek z konserwami. — Pan pułkownik mówi że taki tybetańczyk to pierwszoklasny żołnierz! Phi... może być w piechocie a choćby ta nawet i przy armatach. Czemu nie!

Ale co na koniu — to oferma jest i tyle! Jużci z siodła nie zleci szkapie przez łeb... szabliskiem też potrafi wywijać, bo to każdy kiep umie, ale to jeszcze nie jest wszystko! Grunt, że prawdziwy kawalerzysta, czy tam on dragon, czy ułan, czy inny czort, musi za jedno z koniem! To już, jak amen w pacierzu! Sam żołnierz to jest nic, koń sam też nic, dopiero oba do kupy to jest coś! Koło konia to trzeba chodzić... trzeba mieć starunek jeszcze lepiej niż przy babie! A ci?

Przecie widziałem... i w Cyamdo i po drodze.

Z przeproszeniem świński naród i tyle! Szkapę zgoni, utytła w błocku, podbije na kamieniach i nic! Tyle tylko, że w domu rozsiadła, a potem uzdą przez łeb i idź na zbity pysk... do stajni, albo i gdzie chcesz! Ani taki zółtek konia nie wyczyści, ani słomą nie wytrze, ani nie popieści!

A koń to mądry zwierz... oho! Jużci, iść — idzie, bo bat nad nimi, ale się do takiego ofermy nie przywiąże... o nic! A widzi pan porucznik, na wojnie pomiędzy żołnie-

rzem a szkapą mnisi być sitwa, bo inaczej zdechł pies! Juźci... jak trzeba to zdziel ostrogami, aż bebechy w brzuchu jękną, ale pogadaj też z nią, popleść, wszelaki obrządek zrób koło niej, przypilnuj, żeby swą porcję zjadła, a jak jej mało, to wyfasuj na lewo, albo zgoła ukradnij, bo dla konia to nie grzech! O... wtedy toś dopiero ułan, jak się patrzy... przepisowy! Na ułana, panie poruczniku, to się trzeba urodzić!

— Rozumiem! Tak jak trzeba się urodzić marynarzem! — przytaknął Joe.

— Musowo! — zgodził się Mróz łaskawie.

Następnego dnia, wczesnym rankiem w obozie w głębi mrocznego wąwozu znajdował się tylko

Clermont oraz Mróz, który coprawda nadzwyczaj niechętnie przyjął rozkaz Pretwicza co do swego pozostania na miejscu.

Pozostali, to jest dwaj anglicy i Pretwicz, przebrani w suknie mieszkańców pustyni, wyruszyli w stronę Ansifanu w nadziei, że tam zdołają wpaść na pewny ślad tajemnicy, wyświecenie której nakazywały rozkazy Londynu, Paryża i Warszawy.

Macready dzięki posiadaniu znajomości dialektu tybetańskiego miał odgrywać rolę nabożnego pątnika, udającego się wraz ze swym głuchoniemym towarzyszem do „świętej” Urgi celem złożenia „Żywemu Buddzie” ofiar i modłów dla ubłagania przywrócenia nieszczęśliwemu kalece mowy i słuchu. Kalekę, pochodzącego z Nepalu

miał grać Pretwicz ze względu na zupełną nieznajomość języków środkowo azjatyckich.

Co się tyczy Joego, to ten, jako władający wyśmienicie japońskim językiem, miał działać zupełnie samodzielnie. Powinien on według planu wślizgnąć się do grona japończyków, których, jak akcentowały rozkazy spora ilość miała być zajęta na południowym krańcu pustyni.

Już na wysokości Suczou, miasta skąd rozpoczynał się sławny w dziejach mur chiński, leżący obecnie w większej swej części w gruzach, spotkali się podróżnicy ze śladami działalności żółtych.

Od Suczou w kierunku północnowschodnim, gdzie leżał Ansifan musiała biec linja kolejowa, gdyż gwizdki i sapanie lokomotyw dobiegały aż tutaj. Od czasu do czasu z poza żółtych wydm i pagórków podnosiły się kłęby dymu, poruszając się to w stronę Suczau, to Ansifanu.

Gdy poraż pierwszy do uszu naszej trójki dobiegł przenikliwy gwizd żelaznego potwora,

Macready stanął i przez dłuższy czas nadśluchiwał dobiegającego z daleka turkotu toczących się wagonów.

— Kolej! — szepnął. — Informacje naszych rządów okazały się zupełnie ścisłe. Budowa tej linii żelaznej dokonana została zapewne w ostatnim czasie, gdyż przedtem nigdy tutaj nikt nie słyszał o lokomotywie. O ile mnie pamięć nie zawodzi, wschodnio północna linja kolejowa pekińska dochodziła tylko do Kukuchoto, zaś jej odnoga południowa do Singanu.

— Zapewne zatem linia, którą mamy przed sobą, jest dalszym przedłużeniem jednej z odnóg kolei pekińskiej? — pytał Pretwicz.

— Inaczej nawet być nie może! — potwierdził żywo Anglik. — Z Kukuchoto przez t.z w. step

Ordosów, wzdłuż wielkiego muru chińskiego przeprowadzono ją do pustyni Gobi i dalej aż do Ansifanu.

— A dalej? — rzucił pytanie Joe.

Macready przytknął oczy znacząco.

— Dalej, chłopcze? Owszem, jeśliś tego ciekaw, służę ci informacją. Z Ansifanu linia ta pobiegnie zapewne dwiema drogami: przez kotlinę Tarymską na Kaszgar do Taszkontu i przez

Kuldżę do Orenburga.

— Czyli... do Europy! — zakrzyknął Pretwicz.

Anglik skinął głową.

— Tak... i jestem pewien, że linie te rozbudowane są potężnie... na trzy... cztery co najmniej tory każda. Inaczej nie sposób byłoby przewieźć do Europy owych kilkunastu co najmniej milioników żołnierzy, którzy mają stanowić pierwszą awangardę żółtych hord...

Daleki głuchy huk wystrzałów działowych przerwał jego słowa. Huk ten wzrastał się z każdą chwilą. Po szczególne zrazu wystrzały zlały się niebawem w jakiś potężny, ogłuszający grzmot, rozlegający się ze wszech stron.

Kanonada ta nie ustawała mi na minutę.

— Wiecie co to oznacza? — zapytał po chwili Macready.

— Domyślam się — rzekł Pretwicz. — Odbywa się tutaj szkolenie nie tylko jednej konnicy!

I o artylerii nie zapominają japończycy również!

— Co najmniej kilkaset baterii — szepnął, jak gdyby do siebie Macready.

Joe, wpatrujący się nieprzerwanie od dłuższego już czasu w linię horyzontu, padł nagle jak długi na ziemię, dając towarzyszom znaki, aby czym prędzej poszli za jego przykładem.

— Co tam? — rzucił Pretwicz, usiłując nadaremnie wypatrzyć na mieniącej się blaskami pustyni przedmiot, jaki tak zaniepokoił porucznika.

Z prędkich, gorączkowych słów tego ostatniego dowiedzieli się, że dąży w ich stronę kilkuna stu jeźdźców. Zapewne był to taki sam patrol straży, jaki widzieli wczoraj.

Na spotkanie się ze strażą byli przygotowani już z chwilą opuszczenia wąwozu, więc wiadomość ta nie uczyniła na nich zbyt wielkiego wrażenia. Wiedzieli, że czy później, czy prędzej będą musieli się zetknąć z niebezpieczeństwem. Chodziło narazić o to, że straż nie powinna ich zastać we trzech. Joe przecież miał działać samodzielnie.

Uściskawszy przeto gorąco dłonie towarzyszy, młody porucznik, kryjąc się za wydmami i zrzadka roz-sianymi

skalnymi głazami, począł oddalać się w kierunku wschodnim. Wkrótce znikł z oczu

Macreadyego i Pretwicza.

Po pewnej chwili konni, dojrawszy snąć postacie podróżników, skierowali się ku nim całym pędem. Niebawem dwaj Europejczycy zostali otoczeni przez gromadkę jeźdźców, odzianych w szare uniformy i uzbrojonych w szable i karabinki kawaleryjskie typu japońskiego, co, naturalnie, nie uszło uwagi obu białych oficerowi.

Jeden z jeźdźców, na którego czapce widniał czerwony wąski sznurek, będący widocznie oznaką starszeństwa, zeskoczył z siodła i gardlanym nieco głosem przemówił parę słów.

Macready, posłyszawszy jego mowę, podziękował gorąco niebu za przypadek, który ich zetknął z ludźmi szczepu, zamieszkującego w samym ośrodku Tybetu, wokół potężnych gór Dupleix, wznoszących się nierzadko na wysokość siedmiu do ośmiu tysięcy metrowi. Szczep ten uchodził za najhardziej dziki, ze szczepów tybetańskich. Mowa dowódcy była nieco odmienną od języka, jakim najlepiej władał Macready, języka dzikich górali z Nepalu i północnego stoku głównego trzona Himalaj.

Począł tedy z godnością wyjaśniać tybetańczykowi powód i cele ich wycieczki.

— Wielkie i święte jest imię Buddy, który oby czuwał nad tobą zawsze, o potężny panie! — mówił, przebijając w palcach kulki różańca i pocierając niemi

co chwila czoło. — Oto ten młodszy brat mój przed dwoma laty spadł ze skały, ścigając ręce argale i utracił mowę oraz słuch.

Stał się, jako ten kamień bezruszny, jako drzewo wyschłe, gdyż do czegóż innego, o rycerzu waleczny i mężny, podobien jest szłowiek, którego usta i uszy zamknięte są na wieki.

Rzucił okiem na Pretwicza, który siedział spokojnie, obojętnym wzrokiem wodząc po twarzach dowódcy i żołnierzy, przyglądających mu się ciekawie.

— Oto świątobliwi i mądrzy starcy – lamowie w Lhassie, dokąd udaliśmy się o pomoc, powiedzieli, że „Żywy Budda” ze świętej Urgi jest tylko mocen uleczyć brata mojego — ciągnął dalej Macready — I dlatego udzielny tam, do owegoźródła wszelkich łask, do krynicy miłosierdzia, chociaż to droga daleka i trudna, a ciało moje jest już stare i mdłe.

Na wspomnienie imienia „Żywego Buddy” żołnierze nabożnie pochyłili się w siodłach, bijąc czołem o karki końskie.

Dowódca przez chwilę mierzył wzrokiem Macready’ego i zachowującego wciąż kamienny spokój jego towarzysza.

— Macie konie? — zapytał wreszcie.

Macready zaprzeczył ruchem głowy.

— Więc jakżeż chcecie się dostać do Urgi?

— Do Urgi... do świętego po trzykroć miasta?—
powtórzył Macready — Przecie to blisko! Już niedaleka
jest godzina, w której ujrzymy przybytek wiecznej szczę-
śliwości!

Żołnierze, a z nimi dowódca wybuchnęli śmiechem.

— Blisko? Ha... ha! — przedrzeźniał Macready'ego
tybetańczyk — A wiesz ty, jak daleko stąd do Urgi?

— Świętobliwi mężowie w Lhassie mówili, że
zaraz za wielkimi górami leży płaszczyna, a na niej
święte miasto — bełkotał anglik.

— Upał wysuszył twój mózg i nie wiesz co mó-
wiesz! — drwił dowódca — Stąd do Urgi jest tak daleko,
jak i do Lhassy!

Macready po mistrzowsku odegrał zdziwienie i prze-
rażenie, jakie powinno ogarnąć człowieka, który mniema-
jąc, iż jest tuż u celu swej wędrówki, dowiaduje się, iż
dzieli go odeń tysiące mil.

Wzrok jego wyrażał takie zdumienie i przerażenie, że
na wpół dzikiemu azjacie zrobiło się żal tych dwóch bie-
daków.

— Zresztą i takbyś nie dotarł do Urgi, gdyż wstęp na
pustynię każdemu wzbroniony — wyjaśniał.

— Wzbroniony?.. Czy znowu choroba, obracająca
skórę człowieka w czerwone sukno, grasuje na pustyni?
— pytał ciekawym i jak gdyby przestraszonym tonem fał-
szywy pielgrzym.

Za całą odpowiedź tybetańczyk wzruszył lekko ramionami i usunawszy się nieco nabok, począł cicho narażać się z jednym z żołnierzy.

Po pewnej chwili rozkazał pielgrzymom wsiąść na ikonie poza; plecy dwóch jeźdźców, którzy wraz z owym, żołnierzem, z którym przed chwilą rozmawiał dowódca, podążyli stępą w stronę skąd przybyli.

Reszta oddziału skierowała się ku góróm.

Zmrok już zapadał, gdy żołnierze wraz, z siedzącym za ich plecami pielgrzymami zbliżali się do Ansifanu.

Już z daleka poznać można było, że miasteczko to wre szalonym ruchem i gwarem.

Tysiące świateł elektrycznych błyszczało tak w samym miasteczku, jak i na okalającej je piaszczystej równinie.

Długimi szeregami, których krańce, zda się, zabiegały za linię horyzontu, ciągnęły się niskie, przeważnie parterowe budynki z szarej, wysuszonej przez słońce cegły. Były to koszary i stajnie.

Poza nimi majaczyły zarysy budynków i olbrzymich stert, pokrytych brezentowymi oponami, pilnowanych przez posterunki, strażnicze.

Nietrudno w nich było domyśleć się składów i magazynów.

Tysiące żołnierzy zapełniało place i ulice pomiędzy budynkami. Jedni z nich gawędzili, zbijając się w mniejsze lub większe gromady, drudzy tłumnie otaczali śpie-

waków i muzykantów, wygrywających na, prymitywnych instrumentach tęskne, nawpół dzikie melodie tybetańskie i mongolskie.

Gdzeniegdzie dymiły olbrzymie kuchnie, wokół których tłoczyły się tłumy, oczekujące chwili rozdawania wieczornego posiłku.

Pomimo, tysięcznych tłumów porządek panował wzorowy. Macready i Pretwicz, zwłaszcza ten pierwszy, dziwili, się w duchu energii i zdolnościom organizacyjnym japończyków, którzy w stosunkowo niedługim czasie potrafili przeobrazić w dyscyplinowane gromady te hordy, nie mających dotąd, żadnego pojęcia o ładu i karności, dzikusów i rozbójników.

Żaden szczegół nie uszedł uwadze pseudo piel grzymów, ukradkiem przerzucających się od czasu do czasu wymownymi spojrzzeniami.

Żołnierze umudurovani byli wyśmienicie; przez otwarte szeroko wrota stajen widać było cafe szeregi, koni, zajadających swą wieczorną porcję; oświetlone wnętrza koszar ukazywały przez okna długie rzędy dwupiętrowych prycz, zasłanych szarymi, kocami.

Co chwila mijały ich oddziały uzbrojonych żołnierzy, udających się pod przywództwem starszyny na zmianę wart.

Ponad płaskimi dachami domów biegły setki drutów telefonicznych. W oddali, gubiąc się konturami w szarym

zmroku, majaczyły potworne swą wielkością maszty radiostacji.

Grupka jeźdźców przekroczyła po jednym z niezliczonych mostów, płytką, w głębokiej dość kotlinie rozlaną rzekę Bulungir i omijając właściwe miasto, które niknęło prawie zupełnie pośród tych tysiącznych zabudowań, jeszcze przez dobre pół godziny podążała dalej, aż do plantu kolejowego, którego nasyp wznosił się niezbyt wysoko nad równiną.

Tu musieli zatrzymać się, gdyż właśnie przebiegały dwa długie pociągi, pełne ludzi.

Europejczyków uderzył fakt, iż oba; one biegły w jedną i tę samą stronę.

Zagadka ta wyjaśniła się niebawem, gdyż jak się przekonali, nasypem biegło sześć torów.

Zaraz za nasypem znajdowały się stanowiska artylerji. Głębokimi rzędami czerniały cielska armat i jaszczów, na których księżyc, który od dawna już jaśniał na niebie, kładł swe połyskliwe blaski.

Dalej jeszcze stało kilkaset tanków i samochodów pancernych.

Poza, nimi rozciągała się, niezbyt zresztą szeroka, pusta przestrzeń, zamknięta kilkunastu domami, z których parę posiadało po dwa i więcej nawet pięter. Do domów tych zbiegały się ze wszech stron setki drutów.

Przed jednym z takich domów jeźdźcy zatrzymali się.

Wprowadzono Macready'ego i Pretwicza do wnętrza i dowódca konwoju w krótkich słowach złożył raport niemłodemu już, dobrze szpakowatemu oficerowi, oddając mu przywiezionych z sobą.

Oficerem tym, jak rychło dostrzegli europejczycy, był japończyk, słabo władający narzeczem tybetańskim.

Indagacja trwała krótko. Macready po mistrzowsku grał rolę nieokrzesanego, pełnego naiwności górala. Pretwicz przybrawszy apatyczny wyraz twarzy, zdawał się usypiać.

Oficer przywołał paru żołnierzy i rzucił im po japońsku parę zdań rozkazu. Jeńców powiedziano w głąb budynku, gdzie ulokowano ich w małym pokoiku, urządzoneym zresztą dosyć znośnie.

Przyniesiono im żołnierski posiłek i jeden z japończyków za pomocą znaków polecił im udać się na spoczynek.

Za chwilę szcęk przekręcanego z zewnątrz klucza w zamku przekonał ich, że, jak na razie, są więźniami.

Umocnił ich również w tym przekonaniu fakt, że niebawem poza jedynym w pokoiku oknem stanął na warcie żołnierz z bronią na ramieniu.

Pomimo niepewności położenia, w jakim się znajdowali, zasnęli smacznie, gdyż prawie całodzienna podróż pieszo utrudziła ich niepomiernie. Z obawy, aby nie być podsłuchanymi nie przemówili do siebie ni słowa.

Zbudzili się dość późno, a raczej przebudził ich rozlegający się bezustannie huk wystrzałów działowych i jazgotliwy warkot karabinów maszynowych. Instruktorzy japońscy nie tracili widocznie czasu, gdyż aż dotąd dolaływały odgłosy ostrej, energicznej komendy i ciągły tupot stąpających wolno, lub biegnących szybkim, jak gdyby do ataku, krokiem oddziałów.

Po chwili, tenże sam, co i wczorajszego wieczoru żołnierz przyniósł im śniadane. Macready usiłował porozumieć się z nim, lecz ten nie rozumiał ni w ząb żadnego ze znanych anglikowi -tybetańskich narzeczy.

Z zachowania się jednak żołnierza uwięzieni wywnioskowali, iż nie uważają ich tutaj za jakichś podejrzanych osobników.

Japończyk kilkakrotnie poklepał obu po ramionach i, śmiejąc się, wykonał parę ruchów, oznaczających kopanie rydlem ziemi i dźwiganie ciężarów.

Zamknął co prawda, odchodząc, drzwi na klucz, lecz jeńcy przekonali się, że warta, pilnująca ich, została zdjęta.

W dwie godziny później Macready i Pretwicz znajdowali się już w partii tybetańczyków i ordosów, zajętej przy wyładowywaniu z wagonów amunicji działowej.

Macready dla oka tylko narzekał i jęczał, gdy oficer, który ich przesłuchiwał wczorajszego wieczoru, oznajmił mu, że tak on jak i głuchoniemy nie mogą udać się ni do Urgi, ni też powrócić do Tybetu, a muszą pozostać w An-

sifan przy budowie linii kolejowej. W istocie taki obrót sprawy dogadzał im, jak nie można było lepiej.

Korzystając z tego, że wiodący ich w stronę linii kolejowej żołnierze zagadali się między sobą, przyjaciele zdołali szeptem porozumieć się co do dalszego swego postępowania. Macready, jako władający tybetańskim narzeczem i potrosze też rozumiejący po japońsku, miał zająć się zdobywaniem wiadomości wśród mrowia robotników, zatrudnionych przy budowie kolei. Pretwicz miał za zadanie obserwowanie wojska.

Minęło kilkanaście dni, zanim partja, do której należeli, licząca do tysiąca robotników, zdołała uporać się z opróżnieniem kilkudziesięciu pociągów, stojących na przeładunkowych torach linii.

Przez ten czas dowiedzieli się Europejczycy wiele.

Z rozmów, toczonych przez swych towarzyszy, przekonali się, że linja kolejowa dochodziła już prawie do Barkuł, jeziora, leżącego na wchodnim krańcu Tianszanu, mniej więcej w tem miejscu, gdzie pustynia styka się z kamienistym płaskowzgórzem Dżungarji. Dalszy kierunek jej biegu nie był, rzecz prosta, znany nawpółdzikiemu tłumowi robotników, lecz tak Macready, jak i Pretwicz pewni byli, że linja bieć będzie przez Kuldżę i stepy Turkiestanu ku linji, łączącej Taszkient z Orenburgiem, czyli z wrotami do Europy. W tamtą też stronę szły bezustannie od Suczou sznury długich, naładowanych podkładami i

szynami pociągów. Gwizdki lokomotyw i miarowe stukanie kół wagonowych nie ustawały prawie nigdy.

Do Ansifanu przybywały codziennie całe góry broni, amunicji, mundurów, płaszców, środków żywnościowych i paszy.

Jak się rychło przekonał Pretwicz, od strony pustyni, jak również zresztą i od Tybetu codziennie przybywały na niskich, kudłatych konikach watahy wojowników, których instruktorowie japońscy w pośpiesznym tempie przetwarzali w karnych wyćwiczonych żołnierzy. Od rana do nocy rozlegały się okrzyki komend, wystrzały działowe i turkotanie karabinów maszynowych.

Wyćwiczona oddziały załadowywały się na pociągi i odjeżdżały na zachód.

Pretwicz w bardzo prędkim czasie potrafił, jak i Macready, rozróżniać te rozliczne ludy i szczepy, nadciągające ze wszech stron do obozu w Ansifan.

Szli więc tysiącami kirgizi w wysokich, pomimo letniej pory futrem pokrytych, czapach, mongołowie z nad Chałeyki, od strony Urgi i z piaszczystych, żarem dyszących równin Gobi, tybetańczycy, szło nieprzeliczone mrowie chińczyków i surowych, wilkiem spoglądających mandżurów. Zanimi przybywały gromady jukagirów i ostjaków, których nienaiwiść do białego świata i żądza walki wyrwały z mroźnych tundr i błot północy.

Koszary nie mogły pomieścić przybywających tłumów, więc rozkładały się one wraz ze swymi końmi na

pustyni pod gołym niebem. Wieczorami, gdy zapłonęły tysiączne ogniska, niebo różowiło się ich odblaskiem, jak gdyby od jakiegoś olbrzymiego pożaru.

Niepodobna było przeliczyć te tłumy, a była to zaledwie przednia straż żółtej armji, jaka miała się zwalić na Europę. Gros sił tej armji, jak przepowiadał Macready, mieli stanowić japończycy, chińczycy, hindusi, irańczycy, ludy Indji Tylnej i Malajowie.

Jednym słowem cały świat żółty miał wziąć się za bary z białym.

Który zwycięży?

Oto pytanie, jakie coraz częściej tłukło się pod czaszkami dwóch europejczyków, którym los dał możliwość obserwowania przygotowań do największego z dramatów, jakich ziemia kiedykolwiek była widownią.

Nic dziwnego tedy, że twarze Macready'ego i Pretwicza pokrywały się coraz gęstszym woalem zadumy.

Do tego dołączał się niepokój o los Joego, jak również Clermonta oraz Mroza, pozostawionych w wąwozach Nanszanu.

Pozatem pragnęli oni jak najprędzej wyrwać się stąd, aby móc uprzedzić białych braci o zbliżającej się zagładzie, uderzyć na alarm i rzucić ludom Europy gromki okrzyk „do broni”.

Opowieść o tem, co widzieli, Wystarczy zapewne rządcom, aby pojąć cały ogrom niebezpieczeństwa, jakie z szybkością huraganu ciągnie od Wschodu.

Zdecydowani byli uciec z Ansifanu, aby się połączyć z przyjaciółmi, oczekującymi na nich w górskim wąwozie.

Ucieczka miała być dokonana dzisiaj, to jest w czternastym dniu przebywania w obozie ansifańskim.

Podczas przerwy obiadowej zapadła co do tego zamiaru nieodwołalna decyzja. Z utęsknieniem oczekiwali chwili, kiedy gwizdki dozorców dadzą znak do zaprzestania pracy i udania się do koszar, znajdujących się opodal linii kolejowej.

Ucieczka nie przedstawiała zbyt wielkich trudności. Uradzili, że na kilkanaście minut przed sygnałem zakończenia pracy ukryją się pomiędzy wagonami, jakie setkami stały na torach, czekając na rozładunek i następnie z nastaniem zmroku prześlizgną się przez kolejową linię ku rzece, którą przekroczą powyżej zabudowań obozowych.

Stały wprawdzie na krańcach obozu strażę, lecz przedarcie się przez ich łańcuch wśród wydm i pagórków miało wszelkie szanse powodzenia.

— Już czas! — szepnął cicho Macready do Pretwicza, spostrzegłszy, że na rozkaz dozorców przestano podciągać wagony pod rampę wyładunkową. Było to oznaką, że chwila zakończenia pracy dziennej jest już bliską.

Maszerując ostrożnie, przeszli pod wagonami, minęli jeden i drugi tor, przebiegli kilkaset kroków w bok i ukryli się poza stosem zapasowych szyn, leżących pomiędzy torami.

Niebawem rozległy się gwizdki. Do uszu skrywających się dobiegł gwar i śmiechy oddalającego się tłumu robotników.

Opuściwszy schronisko, znaleźli się niebawem poza nasypem linii kolejowej. Tuż obok nasypu biegła szeroka droga, z obu stron której ciągnęły się długimi szeregami zabudowania magazynów.

Szli powoli środkiem drogi, nie zwracając uwagi na spotykanych często żołnierzy i robotników.

Zabudowania skończyły się. Droga biegła brzegiem rzeki, która w tej porze czyniła wrażenie nędznego zaledwie strumyka.

— Ta przeszkoda nie zatrzyma nas chyba? — ozwał się Pretwicz, wskazując szerokie, bezwodne prawie koryto Bulungiru.

Macready wzruszył ramionami.

— Zapewne! Lecz faktycznie, samo przebycie rzeki nie stanowi jeszcze Wszystkiego.

— Straże? — rzucił pytanie Pretwicz.

— I to nie! — czyniąc lekceważący ruch ręką, mówił Anglik. — Najbardziej obawiam się, aby nie zauważono naszej nieobecności jeszcze dzisiaj. W tym wypadku pościg dogoni nas z łatwością, zanim zdołamy dotrzeć do pierwszych wzgórz Nanszanu.

Minął ich automobil pełen oficerów. Za nim drugi i trzeci.

— Nie potrzebujemy się narazić ukrywać! — z zadowoleniem mówił Macready. — Jak zauważyliście kolego nikt z jadących nie spojrział nawet w naszą stronę.

Szereg nowych samochodów zbijał się w wartkim pędzie, hucząc rozgłośnie i wlokąc za sobą długi kłęb kurzu.

Na kilkadziesiąt kroków przed uciekinierami samochody zatrzymały się. Z pierwszego z nich wysiadło paru oficerów i zbliżywszy się do skraju szosy, rozmawiali żywo, rozglądając okolicę.

Uciekinierzy przeszli na przeciwną stronę szosy, chcąc ominąć grupę oficerów. Nic innego nie wypadało im uczynić. Zatrzymanie się w miejscu, lub skierowanie się w bok od szosy mogło właśnie zwrócić na nich uwagę rozglądających się naokół oficerów.

Macready obserwował ich przez chwilę i rzucił półgłosem, jak gdyby do siebie.

— Zajęci! Niema się czego obawiać!

I rzeczywiście żaden z oficerów nie zwrócił nawet głowy w stronę idących.

W momencie, gdy europejczycy zrównali się z pierwszym samochodem, oficerowie skierowali się ku smochodowi i poczęli zajmować w nim miejsca.

Szofer, który dotąd, przykucnąwszy przy jednym z kół, zajęty był pilnie jego rozglądaniem, zajął swe miejsce i puścił motor w ruch.

Nagle jeden z oficerów, do którego wszyscy pozostali zwracali się z pewnego rodzaju uszanowaniem, obrzuciw-

szy mimochodem spojrzeniem przechodzących, wydał stłumiony zdumieniem okrzyk.

Otoczający go oficerowie spojrzeli nań z niepokojem.

On uniósł się nieco na siedzeniu i, wpijając się wzrokiem w dwóch mijających auto robotników, wskazywał ich ruchem ręki.

— On... on...! — charczał, przerywanym przez zdumienie i wściekłość, głosem.

Jeden z oficerów wyskoczył błyskawicznie z auta i zabiegł drogę przechodzącym.

Równocześnie ci posłyszeli okrzyki, dobiegające od strony auta.

Macready posunął się bliżej ku zastępującemu im drogę oficerowi, usiłując zrozumieć jego słowa.

Pretwicz zwrócił głowę w stronę auta.

Pomimo wielkiego wysiłku woli i przygotowania na wszelkie ewentualności, uczuł, iż straszliwy niepokój zatargał całym jego jestestwem, że krew jak gdyby zatrzymała się w swem krążeniu w żyłach, a na usta wybiega mimo woli cichy okrzyk przerażenia.

Oficerowie, pomrukując groźnie, ciasniejszem kołem otoczyli jeńców.

— Sąd wyda na was wyrok śmierci! — wycharczał Kamuru, cisnąc kurczowo dłońmi gardę swej szabli.

Macready roześmiał się lekko.

— Wszystko to dobrze, mój panie, ale nie bądź śmiesznym! — mówił lekceważąco. — Możesz nas pan

zabić... nawet w tej chwili... Zgoda i na to, ale wzmianka pańska o sędzie świadczy, że pan jest, grzecznie mówiąc... młody. Wojna dotąd nie jest wypowiedziana, więc niema najmniejszego powodu, aby sąd japoński sądził dwóch oficerów europejskich za to, że wypadkiem natrafili na skryte przygotowania wojenne, czynione podczas pokoju przez japończyków... nie w Japonji!

Daruj, młody człowieku, ale, prawdę mówiąc, nie tylko japoński, lecz i sąd dzikich mongołów nie znalazłby odpowiednich paragrafów w swym kodeksie, aby wydać oficjalny wyrok o treści potępiającej.

Oblicze Kamuru pokryło się błądzą wściekłości.

— Dobrze! Więc będziecie wisieć bez sądu! — zakrzyknął w uniesieniu.

— Zbój! — rzucił pogardliwie pod jego adresem Pretwicz.

Japończyk wpił się krwiożerczemi źrenicami w twarz polaka.

Pretwicz wytrzymał przez chwilę spokojnie jego spojrzenie, poczem, wydostawszy z kieszeni papierośnicę, poczęstował papierosem Macready'ego. Ten, podając mu ogień, skorzystał, że oficerowie, zbici w ciasną grupkę, słuchali wydanych półgłosem przez Kamuru rozkazów, i mrugnął tajemniczo oczami, kierując je równocześnie na auto.

Wzrok Pretwicza pobiegł śladem jego spojrzenia.

W brązowej, ceratowej kurtce, szczelnie opinającej jego barczystą figurę i w skórzanej czapie z podniesionymi na czoło okularami przy kierownicy auta siedział Joe, obojętnym zda się wzrokiem obserwujący więźniów i scenę, jaka się przed nim rozgrywała.

Pretwicz nie wierzył własnym oczom.

— Joe, jako szofer Kamuru! Nie może być! Halucynacja lub szalone podobieństwo! — szeptał w duchu, patrząc zdumionym wzrokiem na Macready'ego.

Lecz ledwo dostrzegalny, figlarny uśmiech, jaki przewinął się błyskawicznie przez usta starego pułkownika, dał mu poznać, że postać nieruchomego szofera nie jest żadnym nierealnym zjawiskiem ni też sobowtorem dzielnego porucznika wojennej marynarki króla Jerzego V - go.

XI.

Stary wachmistrz trzeciego pułku dragonów japońskich, któremu powierzono pilnowanie jeńców, zdziwił się niepomierne, gdy dobrze już po północy do kordegardy polowego aresztu obozu ansifańskiego wszedł młody podporucznik kawalerji, noszący na rękawie wąską białoczerwoną opaskę, będącą oznaką przynależności do sztabu Kamuru.

Onieśmielony przybyciem tak ważnej figury, wyprostował się przeto służbiście przed młodym oficerem.

— Więźniowie... ci dwaj biali! — rzucił ten krótko.

— Śpią! — meldował prężąc się wachmistrz.

— Prowadź mnie do nich! — rozkazywał w dalszym ciągu oficer.

Wachmistrz bez słowa sprzeciwu powiódł go do jednej z cel, gdzie na wąskich drewnianych pryczach leżeli, nie śpiąc, Macready i Pretwicz.

Od pierwszego wejrzenia na wchodzącego oficer ra poznali w nim Joego. Ni okrzykiem, ni najmniejszym nawet odruchem twarzy nie zdradzili się z tem. Bezustanne narażanie się na niebezpieczeństwo i ciągle opanowywanie swych myśli i nerwów wywołały w nich taki hart woli, że niezbyt trudno było im się powstrzymać od zdradzenia siwych uczuć, jakie zaszamotały nimi w chwili ukazania się Joego.

Obojętnym, prawie, że apatycznym wzrokiem spoglądali przeto na podchodzącego ku nim porucznika. Żaden z nich nie raczył nawet unieść głowy z posłania.

— Mam polecenie zapytać panów, czy oprócz was przybył jeszcze kto z białych do Ansifanu? — suchym, urzędowym tonem rozpoczął Joe po japońsku.

Macready w mig zrozumiał grę porucznika.

— Odmawiamy odpowiedzi na to pytanie! — rzekł niedbałym tonem.

— Jestem upoważniony do oświadczenia panom, że jeżeli wskażecie swych ewentualnych towarzyszków lub wspólników, zostanie wam darowane życie. Będziecie więźniami aż do chwili wkroczenia naszych armji do Europy. Z tym momentem będziecie wolni! — ciągnął dalej Joe.

— Nie powiemy nic! — mruknął Macready i jak gdyby okazując pogardę japończykowi, odwrócił się ku ścianie.

Nastała chwila milczenia.

Wachmistrz wpatrywał się, pytająco w twarz oficera.

Joe ujął go pod rękę i wyprowadził na korytarz.

— Wybierzesz dwóch zaufanych ludzi z oddziału straży, którzy pojedą ze mną i z więźniami. Niechaj zabiorą ze sobą broń! Macie tu konie? — rozkazywał Joe.

— Mamy parę... na wypadek pościgu za zbiegłymi więźniami — raportował wachmistrz.

— Każ osiodłać trzy... dla mnie i żołnierzy! Więźniowie pójdą pieszo! To niedaleko i poco prowadzić z powrotem luźne konie! Śpiesz się! — szeptał Joe, wyjmując z pochwy rewolwer i zasadzając go za pas.

Wachmistrz skierował się ku wyjściu, lecz po chwili przybiegł do oficera z powrotem.

— Jakie mam wydać instrukcje żołnierzom?— pytał ciekawie.

Joe uśmiechnął się.

— Żadnych! Możesz co najwyżej uprzedzić ich, że zabiją dwóch białych psów, którzy chcieli zbadać tajemnicę świętej sprawy! — odrzekł spokojnie.

Oblicze wachmistrza zaróżowiło się rumieńcem zadowolenia.

— O... to... to! — zakrzyknął mściwie. — Ale pozwoli pan podporucznik powiedzieć sobie, że taka prędka śmierć to żadna kara dla tych psów!

Ja bym pasy z nich darł!

Joe wzruszył ramionami.

— Może masz i rację... ale rozkaz! Trudno! No... śpiesz się! Ja tu przypilnuję więźniów!

Wachmistrz wyszedł, tym razem na dobre już.

Joe przez chwilę nadśluchiwał oddalających się coraz bardziej kroków żołnierza, poczem wsunął się bez szelestu do celi.

— Masz tu pułkownika rewolwer! Ukryj go w zanadrzu i później, gdy już będziemy w drodze uważaj na moje ruchy! Gdy pocznę poprawiać coś koło strzemion będzie to znakiem, że masz sprzątnąć jednego z towarzyszących, nam żołnierzy! Drugiego biorę na siebie ja!

— Joe! Może przyda ci się medalion Hitaschjego? — szepnął Pretwicz, podnosząc się z pryczy.

— Medalion! Zapomniałem o nim zupełnie! — ucieszył się Joe — Alboż was nie rewidowali? — dorzucił, chowając podany mu przez Pretwicza medalion.

— Owszem, lecz medalion ukryłem tak sprytnie w kapeluszu, że nie natrafili na niego! — śmiał się Pretwicz.

— Hm... może i przyda się! Kto to może wiedzieć? — zakończył rozmowę Joe, wysuwając się na kurytarz

Nie upłynęło kilkanaście nawet minut, gdy żoł nierze i konie stoli już przed kordegardą, do której przeprowadzono z celi więźniów.

— No... naprzód! — zakrzyknął na nich Joe.

Wachmistrz posunął się ku niemu.

— Mogę wydać więźniów jedynie na podstawie rozkazu! — rzekł nieśmiało.

Joe poklepał go z uśmiechem po ramieniu.

— Masz rację, mój pocziwcze! Zapomniałem o tem zupełnie! Patrz zatem! — mówił okazując w górę trzymany w palcach medalion.

Wachmistrz wyprężył się, aż szwy munduru zatrzęszczały podejrzliwie.

Spojrzenie jogo skierowane na oficera wyrażało najgłębszą cześć, graniczącą niemal z bałwochwalstwem.

Otworzył drzwi kordegardy dając przejście więźniom i kroczącemu za nim oficerowi!

W parę minut później, przez ciche ulice obozu jechał Joe, świecąc w blaskach księżycy swą białą czerwoną opaską na rękawie. Za nim szli pieszo więźniowie, a po ich bokach dwaj żołnierze, trzymając wsparte o kolana, gotowe do strzału karabinki.

Napotkane patrole i zrzadka ukazujący się oficerowie, obojętnym spojrzeniem przeprowadzali jeźdźców i więźniów. Egzekucja! Nie była to rzecz niezwykła, gdyż Kamuru żelazną ręką trzymał powierzony sobie obóz i porywał ludzi na śmierć za lada poważniejsze przewinienie. Ze względu na dziki, nieokiełznany charakter koczowników, jacy tworzyli jego oddziały, ta drakońska surowość była zupełnie usprawiedliwiona.

Joe znał drogę wyśmienicie. Po upływie pół godziny przekroczyła most na Bolungsirze i zagłębiła się pomiędzy wydmy i pagórki pustyni. W pewnym momencie natknęli się na łańcuch straży, lecz posterunki dojrzawszy białą czerwoną opaskę, salutowały w milczeniu, nie zbliżając się.

Przeszło godzinę wiódł Joe smutną kawalkadę przez kamienistą pustynię.

W pewnej chwili obejrzał się raz i drugi poza siebie i, pochyliwszy się w siodle, począł poprawiać rzemienie strzemion.

Macready nieznacznym ruchem wsunął rękę w zana-drze i ujął rękojeść rewolweru. Kaszląc z obawy, aby jadący obok niego żołnierz nie usłyszał szczęku sprężyny, odwiódł bezpiecznik i wyteżonym wzrokiem wpatrywał się w widniejącą o parę kroków przed nim postać Joego.

Ten wstrzymał konia i zrównawszy się z żołnierzem, jadącym od strony Pretwicza wystrzelił doń z odległości niespełna jednego kroku.

Zanim przebrzmiał huk wystrzału Macready wyrwał rewolwer z zanadru i przyłożywszy lufę do boku towarzyszącego mu żołnierza, pociągnął za cyngiel.

Żołnierz wydał krótki, stłumiony jęk i zwałił się z siodła na ziemię, szczękając bronią.

Ofiara Joego leżała na wznak na krzyżu końskim, rozłożywszy szeroko ręce.

Joe jednym ruchem zrzucił trupa z siodła.

— Na koń! A zabierzcie ze sobą karabinki i ładownice! Mogą być potrzebne!—komenderował marynarz. — W konie co sił! — dorzucił, widząc, że więźniowie siedzieli już w siodłach.

Pędzili milcząc, gdyż każda sekunda czasu mogła stanowić o takim lub innym zakończeniu ucieczki. Szczęściem, konie, jakie posiadali należały do tych mongolskich koników z nad brzegów Orchonu, które odznaczają się zadziwiającą szybkością biegu i wytrzymałością. Lecz i one wreszcie poczęły chrapać z wyczerpania i potykać się na nierównościach gruntu.

Pierwszy Pretwicz wstrzymał konia.

— Darmo! — rzekł do towarzyszy. — Trzeba dać chociażby minimalny wypoczynek zwierzętom, gdyż inaczej popadają nam, zanim ujrzymy wąwozy Nanszanu.

Macready rozjerzał się po niebie. Słońce dawno już wtoczyło się na niebo, lecz pomimo tego szaro było naokoło, gdyż ciężka mgła, rzadka zresztą w tym kraju gęstą zasłoną wisiała nad ziemią.

— Która godzina, Joe? Jako szofer jego ekscelencji, dowódcy żółtej kawalerii posiadasz chyba zegarek? — pytał pułkownik.

Było kilkanaście minut po piątej. Pretwicz obliczył, że, biorąc godzinę drugą, jako godzinę pozbycia się konwoju, znajdowali się w drodze już trzy godziny, przez które przebyli nie mniej niż trzydzieści do trzydziestu pięciu kilometrów.

Pozostawało im zatem drugie. tyle do pierwszych wąwozów Nanszanu.

— Abyśmy tylko nie zabłądzili? — zauważył Pretwicz. — Ta mgła ma dobrą, lecz zarazem i złą stronę. Ukrywa nas przed wzrokiem pościgu, lecz i nam utrudnia orjentowanie się.

— Może pójdzie w górę! — pocieszał się Joe, rozglądając pilnie horyzont i węsząc nosem, jak prawdziwy wilk morski węszy kierunek wiatru.

Przy siodłach wisiały woreczki z kukurydzą, którą żywią się przeważnie konie mongolskie.

Oswobodzono pyski zwierząt z wędzideł i nachylając się w siodłach karmiono konie z ręki, jak to czynić zwykli podczas forsownych marszów koczownicy pustyni.

Jechali stępą, rzucając co chwila poza siebie wzrokiem. Joe zaznajomił swych towarzyszy z przygodami, jakach doznał od chwili rozłączenia się z nimi.

Udawszy się we wschodnim kierunku natrafił na stację Sakkys, znajdującą się w połowie drogi pomiędzy Su-

czon i Ansifanem. Niedochodząc do zabudowań stacyjnych natknął się na zwłoki robotnika, który widocznie padł w bójce z towarzyszami, o czym świadczyło parę ran zadanych nożem i poszarpane w walce odzienie. Rewidując zwłoki natrafił na mały metalowy krążek, co do którego domyślił się, iż jest on znaczkiem będącym czymś w rodzaju Legitymacji robotniczej. Ryzykował, wchodząc do obozu, lecz nie miał nic innego do wyboru. Udało się. Masy robotnicze, wyładowywujące wagony, były tak liczne, że niezaczepony przez nikogo pracował spokojnie jako tragarz przez parę dni. Rzecz prosta, że jego świetna znajomość języka japońskiego pomagała mu znacznie, usuwając wszelkie podejrzenia, jakie mogły się zalegnać w głowach dozorców. Wypadek wyniósł go do godności szofera Kamuru. Kiedyś ten ostatni przybył na wspaniałym Mercedesie do Sakkys, lustrując stan robót. Szofer jego, skorzystawszy z oddalenia się Kamuru zbliżył się do grupy robotników, wyładowywujących ciężkie działa z wagonów, obserwując z zaciekawieniem ich ciężką pracę.

Trzeba trafu, że przy opuszczeniu działa na ziemię pękły liny i działło spadło na grupkę robotników, zabijając trzech z nich i druzgocząc obie nogi szoferowi, który stał opodal. Po powrocie

Kamuru okazało się, że nikt nie potrafi prowadzić Mercedesa. Wówczas wysunął się Joe i zaproponował Kamurze swe usługi. Tym sposobem pozostał u Kamuru.

— Wieczorem tegoż dnia, kiedy was aresztowano, przyszedłem do Kamuru, jak zwykle po rozkazy — opowiadał Joe — Wychodząc od niego, dostrzegłem w przedpokoju mundur i czako jednego z jego adjutantów, który ze względu na upał siedział przy telefonie w koszuli. Skombinowanie, że ten mundur może stać się dla was wybawieniem, trwało zaledwo sekundę. Ukryłem mundur pod płaszczem i w nogi. Wieczorem popróbowiałem szczęścia... i, jak sami możecie teraz wywnioskować ze skutkiem! Oto wszystko!— dokończył wesoło.

Po upływie godziny ruszyli kłusem, gdyż Pretwicz radził oszczędzić siły koni w razie ewentualnego pościgu.

Mgła szła szybko w górę, odsłaniając przed nimi poszarpane, mieniające się w blaskach słońca olbrzymy Nanszanu.

Macready'emu zdawało się, że poznaje szczyty, co świadczyłoby, iż lich wąwóz leży gdzieś w pobliżu.

Wreszcie Joe zatrzymał konia i, wskazując ręką jeden ze szczytów, zakrzyknął uradowanym tonem.

— Tam... tam! poznaję doskonale! Mniej więcej na linii szczytu znajduje się nasz wąwóz!

— Clermont ucieszy się! — mrukał Macready.

— I Szym też! To dobry chłopak! — dorzucił Joe.

Pretwicz, nie brał udziału w rozmowie, gdyż od paru chwil, odwróciwszy się w siodle, spoglądał uparcie w ten kraniec pustyni skąd przybyli.

Wreszcie wskazał ręką ciemny punkt na linii horyzontu.

— Pościg! — rzekł krótko. — Teraz nie żałujmy koni !

Pędzili, aż wiatr świszczwał im w uszach. Ciemne ściany Nanszanu zdawały się tak bliskie, jak gdyby wystarczyło wyciągnąć rękę, aby ich się dotknąć.

— Aby tylko do pierwszych wzgórz! Aby do pierwszych wzgórz! — powtarzał Pretwicz, konstatuując, że ciemny punkt stawał się coraz bardziej większym i wyrazistszym.

Teren stawał się z każdą chwilą trudniejszy. Konie ślizgały się po kamiennych osypiskach i skalistym gruncie. Co chwila musieli przeciskać się przez zwały kamieni, tamujące im drogę.

Ciemny punkt poza nimi rozlał się tymczasem w pokazną plamę. Widocznem było, że goni ich kilkanaście koni. Lecz i wzgórza były już bardzo blisko. Otucha poczęła wstępować w serca uciekających. Nagle koń Macready'ego potknął się i padł, przerzucając jeźdźcia przez łeb.

Pretwicz zdarł konia z taką siłą, że ten wspiął się przednimi nogami, jak w tańcu na arenie. Pochylił się nad Macreadym, który leżał bez czucia, przymknąwszy oczy. Pretwicz doprowadził go rychło do przytomności. Na szczęście niefortunny jeździec nie poniósł zbyt dotkliwego szwanku. Uderzył jedynie głową o kamień, lecz

po paru już minutach powstał, oświadczając, że może ruszyć dalej.

Koń jego leżał, wzdrygając się całym ciałem i rżąc z cicha. Jeden rzut oka wystarczył Pretwiczowi na stwierdzenie, że biedne zwierzę złamało przy upadku nogę.

— Niema co! Siadaj pułkowniku za mym siodłem! — rzucił rozkaz Pretwicz, dostrzegłszy z niepokojem, że ta nieoczekiwana przerwa pozwoliła ścigającym na znaczne zbliżenie się.

— Joe! Pędź naprzód i uprzedź Clermonta i Szymka! Wysuniecie się z bronią przed Wąwóz, gdyż zapewne potrzebować będziemy waszej pomocy! — krzyczał Pretwicz, galopując obok marynarza.

Ten ścisnął konia piętami i pomknął jak wicher. Koń Pretwicza dźwigając teraz podwójny ciężar z każdą chwilą coraz więcej upadał na siłach. Oddech jego stał się świszczącym, piana płatami padała z karku i boków.

Jeszcze kilkaset kroków i zwierzę potknęło się raz i drugi, wreszcie stanęło, stękając głucho. Po chwili osunęło się powoli na kolana.

— Dalej nie pójdzie! — rzucił Pretwicz, sprawdzając ziamek i magazynek karabinu. Macready poszedł za jego przykładem.

— Jeszcze mamy czas na to! — rzekł Pretwicz, zarzucając broń na ramię. — Musimy jak najbliżej przysunąć się do wąwozu, aby strzały tamtych nie pozwoliły żółtym na otoczenie nas.

Przemykali się przez kamienie i wydmy, biegnąc pochyleni przez puste przestrzenie. Lecz wreszcie siły ich opuściły. Upał był niemiłosierny; te kilkanaście minut biegu pokryły ich ciało potem. Wysuszone skwarem płuca z trudem chwytają powietrze.

Macready zwolnił kroku. Twarz jego była ponsową ze zmęczenia.

— Do stu tysięcy starych bab! Wolę niepewną walkę, niż powiną apopleksję! — krzyczał, sapiąc ciężko.

Pretwicz przyznał mu w duchu rację. Nogi drżały pod nim od forsownego biegu, przed oczyma ze zmęczenia tańczyły różnokolorowe kółka i kółeczka. Przyszło mu na myśl, że za chwilę trzeba będzie posiadać zimną krew i pewne oko.

Zatrzymał się na chwilę i wspiąwszy się nieco na wystający kamień policzył wzrokiem ścigających.

— Dwudziestu!

— Niezbyt wiele! — mruknął, schodząc z kamienia. — Nie dogonią nas przed upływem pół godziny! — poinformował o sytuacji Macread'ego, który korzystając z zatrzymania się, zapalał papierosa.

Szli spiesznym krokiem, pewni, że nic ich nie uchroni od starcia ze ścigającymi. Nagle ominąwszy zwały kamieni stanęli na krańcu gładkiej równiny rozciągającej się w kierunku gór na przestrzeni półtora mniej więcej, kilometra.

— Pułkowniku... zbierz siły! — zachęcał Macready'ego Pretwicz. — Jeżeli zdołamy przebiec tę równinę, zanim nas dopędzą, jesteście uratowani.

— Spróbuję! — mruknął lakonicznie angiłk, przyspieszając kroku.

W chwili, gdy dosięgli przeciwległego krańca równiny, ukazały się poza nimi figury jeźdźców, wpadających w galopie na równinę. Pretwicz przez chwilę obserwował je z ironicznym uśmiechem na ustach, poczem rzekł, siadając wygodnie w cieniu, rzucanym przez olbrzymi, samotnie stojący głąz.

— Dopuszczimy ich do połowy równiny i paru z nich zsadzimy z siodeł! — mówił do Macready'ego.— Będą musieli cofnąć się i objeżdżać równinę, na czem wygramy tyle czasu, ile zabierze Joemu sprowadzenie pomocy. No, kolego bierzcie lewego z pierwszych dwóch na cel, ja załatwię się z drugim.

Mierzyli uważnie, oparłszy lufy karabinów o kamienie. Padły strzały. Dwóch pierwszych jeźdźców zwałiło się z koni na ziemię. Pozostali rozpierchli się pojedynczo i zawróciwszy z powrotem, pędzili co sił ku opuszczonym przed chwilą kamiennym zasłonom. Jeden z koni zabitych żołnierzy biegł za towarzyszymi, drugi zaś stał z pochyłym łbem nad trupem swego pana.

Jak przewidywał Pretwicz, pościg okrążył równinę, nie chcąc narażać się po raz drugi na celne strzały ściganych. Widać było, jak jeźdźcy pochyleni ponad karkami

końskimi, przebiegali pomiędzy głazami, to znikając, to ukazując się co chwila.

Ścigani opuścili swe stanowisko i spiesznym krokiem zdążali w stronę gór. Nie mieli oni zbyt wielkiej nadziei, aby dotrzeć do nich wpierw od pogoni, chodziło im raczej o wydostanie się nawiększą wyniosłość, gdzieby nie mogli być napadnięci znienacka.

I rzeczywiście w parę chwil potem, gdy uciekinierzy znaleźli się na szczycie obitego wzgórza, z za kamieni i skał, rozsianych dookoła ukazały się postacie ścigających, którzy poczęli otaczać wzgórze, najwidoczniej w celu odcięcia ściganych gór.

Położenie białych poczynało być z każdą chwilą coraz więcej kłopotliwym. Czuli się bezpiecznymi na szczycie wzgórza, lecz w razie opuszczenia go i skierowania się ku górom, ukryci naokół żółci zasypaliby ich niezwłocznie gradem kul.

— Tylko dywersja naszych przyjaciół otworzyć nam może drogę ku górom — rzekł Macready, zaznajomiwszy się z sytuacją.

Pretwicz skinął przytwierdzającą głową. Od paru chwil wpatrywał się on bystrym wzrokiem w odległe od nich o dwa zaledwie kilometry zbocza pierwszych wzgórz Nanszanu, w nadziei, iż dostrzeże biegnących stamtąd z odsieczą przyjaciół.

Nagle w niezbyt dalekiej odległości poza nimi huknęły strzały i dwa konie bez jeźdźców wybiegły z poza

skął, pędząc w stronę równiny. Strzały stawały się coraz gęściejsze i niebawem osaczeni dostrzegli, że ta część osaczających, która przecinała im drogę ku górom, poczyna umykać na boki, kryjąc się poza skaliste zwały.

Jeszcze chwila i z pośród gromady kamieni wynurzyły się postacie Clermonta, Joego i Szymka. W parę minut później ci ostatni znaleźli się na szczycie wzgórza, głośnymi okrzykami radości witając towarzyszków.

Gdy minęła pierwsza chwila powitania, poczęto się zastanawiać nad sytuacją. Mogli się co prawda dość długo bronić na szczycie wzgórza, lecz pozostanie na nimi, narażało ich na wielkie niebezpieczeństwo, gdyż lada chwila do osaczających mógł się dołączyć nowy oddział pościgowy. Ścigając widocznie spodziewali się nadciągnięcia pomocy, gdyż nie próbowali więcej ataków, lecz skupili się od strony gór, tworząc półkole, którego ramiona docierały do równiny, jaką dostając się na wzgórze, przebyli niedawno uciekinierzy.

— Odwrót mamy przecięty! — mówił Clermont, kręcąc w zakłopotaniu swą jasną bródkę, — Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać zmierzchu; Może wówczas uda nam się prześlizgnąć niepostrzeżenie przez łańcuch osaczających.

Szymek, który od pewnego czasu wpatrywał się jastrzębim wzrokiem w grupę skał, znajdujących się od wzgórza w odległości tysiąca mniej więcej metrów, wmieszał się do narady.

— Melduję, jako, że najlepiej będzie, jeśli się odczepimy od nieprzyjaciela! — mówił, łyskając białkami oczu.

— Masz niezgorsze pomysły, mój chłopcze! — zaśmiał się Macready. — Pewnie, że to byłoby najlepiej. W tem tylko sęk, jak to zrobić?

— Konie! — rzucił chłopak, wskazując ruchem ręki obserwowane przed chwilą przez siebie skały.

Spojrzenia wszystkich pobiegły w tymże kierunku. Pomiędzy skałami widniały kontury kilkunastu koni, skupionych razem.

— Cóż więc z tego, że to konie? Nie wsiądziemy przecież na nie! — rzekł Joe.

— Właśnie panie poruczniku, że musimy! — twierdził Szymek. — Te zuchy zostawiły konie po tej stronie, a sami rozsypali się w łańcuch. Zapewne przy szkapach niema nikogo, a jak jest, to jeden, albo najwyżej dwóch...

— Brawo Szymek! — zakrzyknął Pretwicz, który pierwszy pojął słowa chłopca. — Chcesz podkraść się i przepędzić konie na kraniec równiny?

— Właśnie, panie pułkowniku... akurat tak myślę. Pójdę se powoluśko, poza kamuszkami, utłukę tego, co przy koniach i przepędzę je na równinę, dokąd cofną się panowie... tam wsądziemy na szkapy, wiodąc za sobą luźne, aby nas nie mogli gonić. A żółci. niech wracają na piechotę.

— Genjusz jesteś, Szym! — zakrzyknął Joe z zachwytem.

— W ułanach służyłem a nie w żadnych genjuszach! — odparł z dumą Mróz.

— Pójdziemy obaj! — rzekł Pretwicz, gdy umilkł chóralny śmiech oficerów, wywołany słowami Szymka.

— Jak tam pan pułkownik uważa, chociaż i sam dam sobie radę.

— Nie... pójdziemy obaj! — mówił Pretwicz.— Może być, że koni pilnuje dwóch lub trzech. A wy koledzy-zwrócił się do towarzyszy — wyczekawszy kilkanaście minut, cofajcie się powoli ku krańcowi równiny! Jeno nie podpuszczajcie zbyt blisko do siebie żółtych, gdyż łatwo mogliby nam powystrzelać konie.

Opatrzyli wraz z Szymkiem rewolwery i ostrożnie poczęli się spuszczać ze wzgórza od strony równiny. Wpadli pomiędzy kamienie i pełznąc od jednego do drugiego rychło zniknęli z oczu obserwujących ich z niepokojem przyjaciół. Po upływie pół godziny dotarli do skał, poza którymi stały konie. Słyszeli wyraźnie parskanie ich i brzęk uprzęży. Z rewolwerami w dłoniach posuwali się naprzód, każdej chwili oczekując natknięcia się na straż.

Wtem Szymek dotknął ramienia Pretwicza, wskazując mu zarazem wzrokiem opartego o kamień tybetańczyka, który zdawał się całkowicie być pochłonięty swą fajką.

Jeszcze chwila i cztery dłonie spadły na ramiona żołnierza, udaremniając każdy ruch jego. Biedak był tak przerażony niespodziewanym pojawieniem się napastników, że bez słowa dał się Szymkowi skrępować swym własnym pasem.

— Leż sobie, żółta bestjo, jak niemowlę, a my tymczasem załatwimy się ze szkapami! — monologował Szymek, zasupłając węzeł na plecach tybetańczyka. — A w pace, to sobie nieboraczku, jutro z pewnością posiedzisz, boś wart tego! Tfy... niby żołnierz, a tak dać sobie zdmuchnąć szkapy z przed nosa! Jak się, jucho, stoi na straży, to nie trza, ofermo jakaś, myśleć o niebieskich migdałkach!

— Szymek! Nie marudź! — naglił Pretwicz.

— Już zrobione, panie pułkowniku! Muszę mu jeszcze zatkać gębę, żeby się jucha nie darła, boby zaalarmował przed czasem tamtych! — mówił

Szymek pakując do ust nieszczęśliwca jego własną czapkę. Odsunął się i przez chwilę z dumą patrzył na swe dzieło.

— Good bay, żółtku, a nie drzyj się, bo cię zła krew zaleje!

W ciągu panu minut wszystkie konie pospinane z sobą uzdami, szły posłusznie za Pretwiczem i Szymkiem. Niebawem ci ostatni dotarli do równiny, na krańcu której oczekiwali ich już towarzysze.

— Na koń i w drogę! — zakomenderował Pretwicz.

— Na zachód... na zachód! — krzyknął Macready.
— Będziemy się trzymać skraju gór, aby każdej chwili móc dać w nie nura!

Wypadli w galopie na równinę, wiodąc każdy po parę luźnych koni. Od strony Wzgórza rozległ się huk Wystrzałów. Parę kuł świstnęło koło uszu uciekających. Szymek odwrócił się na koniu i krzyczał łobuzerskim zacięciem.

— Strzelajcie, żółtki... strzelajcie! Owszem na zdrowie! Ale, co będziecie napiechty dymać do Ansifanu, to będziecie, ofeomy!

XII

Drugi rok już minął od chwili, gdy światem wstrząsnęła wieść o rozpoczęciu się gigantycznych zmagania pomiędzy żółtą i białą rasą.

Drugi zaledwie rok, a tak szalone zamiany zaszły w układzie sił i stosunków politycznych, że niektórzy nie chcieli wprost wierzyć tomu, co się działo ma ich niemal oczach. Jak Azja długa i szeroka nie było już w niej ni jednego białego. Spełniło się marzenie Temurzyzna — potoki krwi zalały Azję. Stało się to tak nagle, tak niespodziewanie, że zanim gabinety europejskie zdołały zarządzić jakie takie środki zaradcze, już milionowe hordy żół-

tych wycięły w pień wszystkich białych, których nie-szczęśny los uwięził naówczas na niezmiernych obszarach azjatyckich.

Rzezi tej towarzyszyły niesłychane klęski, poniesione przez państwa kolonialne. Najwspaniasze armady zjednoczonych flot europejskich po grążyły się w odmętach wód, najbitniejsze armje, wysyłane na pomoc załogom kolonialnym, stopniały w oczach, jak śnieg topnieje pod podmuchami wiosennego wiatru.

Zacząło się to wszystko, jak gdyby z niczego, jakkolwiek już u schyłku 1935 r. wszystkie państwa europejskie poinformowane były dokładnie o zamiarach i planach, wylęgłych się w głowach polityków i strategów Japonji i Chin.

Pułkownik Macready i podpułkownik Pretwicz wraz z pułkownikiem Clemontem przedarłszy się przez wiecznym śniegiem pokryte szczyty Himalaji, na smutne przestrzenie pustyni Gobi, skonstatowali olbrzymie przygotowania żółtych do najazdu na Europę.

Sześć linji kolejowych biegło od Singanu, Kukuchoto i tajemniczej Urgi poprzez piaski Gobi, poprzez skały i osypiska Dżungarji do jeziora Balkasz, leżącego na pograniczu kirgiskich stepów, aby stamtąd przez stepy Turkiestanu dobiec do owej dawnej, bramy wypadowej ludów azjatyckich — do równiny, rozciągającej się pomiędzy południowym krańcem Uralu i morzem Kaspijskiem.

Droga Syberyjska została rozszerzona przez japońskich inżynierów i nieprzeliczone tłumy tubylczych robotników.

Rosja zdecydowanie stanęła po stronie „żółtej”.

Czy było to wyrachowanie polityczne, czy też odgrywały tu rolę sympatie atawistyczne, trudno było zbadać, a zresztą nie stało czasu na dociekania. Pozostało faktem, że kilka milionów żołnierzy rosyjskich powiększyło nieprzeliczone i tak już armje zwycięskiego Wschodu. Powód walki, t.j. powód oficjalny był całkiem błahy. Na północo-wschód od Sachalinu podczas połowu fok spotkały się dwa statki wielorybnicze: angielski i japoński. Na tle konkurencyjnym rozgorzał pomiędzy załogami obu statków zacięty spór, który wnet przemienił się w otwartą walkę. W walce tej słabsi liczebnie Japończycy zostali pobici przez Anglików, którzy, nie kontentując się wygraną, zatopili statek przeciwników.

Rząd Tokijski wystosował w tej sprawie do Londynu notę. Nota żądała wydania przez Anglię winnych władzom japońskim, by te mogły same ferować wyrok. Poza-tem rząd Tokijski „proponował“ Anglii dobrowolne opuszczenie wszystkich kolonji swych w Azji, przez co zapobiegnie się na przyszłość wypadkom, podobnym do wypadku ze statkiem japońskim koło Sachalinu.

Rzecz prosta, że Londyn odrzucił żądania japońskie.

W odpowiedzi rząd Mikada wypowiedział Anglii wojnę i zwrócił się do wszystkich bez wyjątku ludów Azji

i wysp Oceanu Spokojnego z wezwaniem do usunięcia anglików siłą z zajmowanych przez nich kolonji.

Zdawało się narazić, że konflikt dotyczyć będzie tylko Anglii i Japonji, lecz wkrótce rzeczywistość okazała co innego. Powstania, jakie natychmiast po wezwaniu japońskiem wybuchły na ziemiach azjatyckich i wyspach archipelagu malajskiego, skierowane były nie tylko przeciw poddanym Wielkiej Brytanji. Mordowano wszystkich anglików, francuzów, Portugalczyków, jednym słowem powstania te niosły zagładę całej bez wyjątku białej rasy.

Weihaiwei, Szanghai, Hong Kong, portugalskie Makao pierwsze padły ofiarą rozbestwionej tłuszczy.

Na alarm pospieszyły z pomocą eskadry angielskie Oceanu Spokojnego, Indyjskiego i australijska, do której dołączyło się parę krążowników holenderskich, stacjonujących zazwyczaj u brzegów Jawy, Sumatry i Borneo.

Koncentracja tych wszystkich eskadr nastąpiła w Singapoore; sto trzydzieści statków wojennych pod dowództwem admirała Donegala wyruszyło na morze Południowo chińskie, aby przez cieśninę Fukian przedrzeć się ku wybrzeżom Japonii.

Lecz już na trzeci dzień po opuszczeniu bezpiecznego portu w Singapoore, na wysokości archipelagu Filipin, rozegrała się owa wstrząsająca tragedia, która okryła żałobą naród wyspiarzy.

Po krótkiej utarczce z flotą Japonii i Chin, dumna armada angielska przestała istnieć. Ze stu trzydziestu stat-

ków angielskich, biorących udział w bitwie, zaledwie dwa powróciły do Singapoore, mając na pokładach nawpół obłąkaną załogę.

Wiadomość o tej klęsce przyjął świat z bezmiernym zdumieniem i przerażaniem. Istniały jeszcze w Starym Świecie miliony ludzi, bagatelizujących dotąd alarmy prasy i rządów. Nazywano je niepotrzebnym nikomu, i całkiem zbytecznym krakaniem przestraszonych politykowi. Niektórzy, a takich była spora ilość, upatrywali w tem wszystkim machinacje wielkich giełd, banków i zakładów, pracujących dla potrzeb wojskowych. Karykaturzyści zapełniali kolumny czasopism rycinami, dyskredytującymi obawy przed „huraganem ze Wschodu”. Wypadki otworzyły niedowiarkom oczy. A następowały one w szalonym tempie jedne po drugich.

Zwycięskie statki japońskie zaatakowały niezwłocznie posiadłości francuskie w Indochinach;

Hanoi, Hue, Sajgon zbombardowano i obrócono w perzynę. Tysiące żołnierzy chińskich i japońskich wysiadło na brzeg i łącznie z bandami annamitów rzuciło się na szczupłe garnizony francuskie. Lecz te nie dały się zaskoczyć, ni też rozproszyć. Cofając się w porządku przez jeziora i moczary, podczas tropikalnych upałów, dziesiątkowano przez zabójczą febrę i, nadludzkie wprost trudy, zdołały jednak dotrzeć do linii mętnej Mekongu, gdzie zamierzały dać odpór, przegradzając się bagnistą rzeką od napastników.

Próżna, zwodnicza nadzieje!

Z wyżyn Junnanu zwały się na wyczerpane ciągłą walką oddziały francuzów bataliony chińskie i bandy półdzikich góralów Batangu. Więc znou odwrót! Odwrót poprzez skaliste kraje

Szamskie, aż do piennej Irawadi, nad którą inżynierka angielska wznosiła pośpiesznie fortyfikacje.

Rząd angielski zdecydowali, iż należy wszelkimi siłami utrzymać Indie, ową perłę korony Wielkiej Brytanji.

Od północy linią obronną miały być Himalaje, od wschodu Irawadi. Ściągano na gwałt posiłki z Bengalji, Dekami i Pendżabu.

Anglicy przygotowywali się do odparcia najazdu gorączkowo nie szczędząc pieniędzy, ni też ludzi. Pamiętano o wszystkim: o hangarach dla kilkudziesięciu eskadr aeroplanowych, jakie drogą powietrzną dążyły z Anglji, zapomniano tylko o jednym — o nieprzyjacielu, który był na tyłach oddziałów, broniących przełęczy Hamaki i nurtów Irawadi.

Powstanie induskie wybuchnęło zrazu w Pendżabie. Za Pendżabem poszedł Dekan, aż wreszcie Bengal podniósł się groźny, pamiętny krwawych dni powstania sipajów.

Oddziały broniące przesmyków himalajskich wyginęły doszczętnie. Oddziały stojące nad Irawadi uczuły, że w ich plecy pogrąża się nieubłagany, śmierć niosący, sztylet wroga na tyłach.

A bataljony japońskie, chińskie i świeżo sformowane z mieszkańców Tonkinu i Annamu szturmowały zaciekle.

Nie wytrzymał wreszcie front Irawadi, ostatnia nadzieja angielska w Indjach. Zaatakowany z przodu, od tyłu i z lewego skrzydła, ugiął się na odcinku Pagan — Mandale i pękł. Przez wyrwę tę wlały się natychmiast pijane szalem zwycięstwa pułki żółtych. Lewej połowie angielskiego frontu przecięto drogę do Bengalu. Nie pozostawało nic innego, jak cofać się ku Himalajom, celem połączenia się z oddziałami broniącymi górskich przełęczy.

Niestety, zamiast towarzyszków broni, niedobitki z nad górnej Irawadij spotkały bandy dzikich pasterzy z Buntanu i Nepalu.

W górach Patkoj, w wąwozach dzikich i niegościnnych Kazji dokonała się ostateczna zagłada nieszczęsnych oddziałów angielskich. Padli wszyscy, gdyż z obu stron nie brano już jeńców.

Prawie skrzydło obrońców Irawadi spotkał los nie lepszy od losu swych towarzyszków z północy.

W głowach anglików, odciętych od Bengalu, powstał szalony, lecz iście heroiczny plan przedarcia się wzdłuż półwyspu Malajskiego do Singapoore.

— Singapoore; Singapoore! — powtarzały tysiące warg, spieczonych od żaru i trudu.

Singapoore, owa twierdza niezdojyta, za murami i bastjonami której, będzie można odpocząć chociażby przez krótką chwilę.

— Do Singapoore! — szeptali ranni, trawieni gorączką.

I zdawało się, że zostanie uwieńczony powodzeniem ten zuchwały, w dziejach wojen niespotykany dotąd pochód przez góry i wąwozy na przestrzeni dwóch tysięcy przeszło kilometrów.

Pod Rangoonem stoczono krwawą bitwę o przejście przez, Irawadi, Szczęście sprzyjało niedobitkom. Oddziały angielskie, złożone z żołnierzy, słaniających się z wycieńczenia na nogach, rzuciły się z taką furją do ataku, że bataliony tonkińczyków i annamitów, broniących przeprawy, pierzchły po krótkim oporze.

Dowódcy angielscy odetchnęli. Wojsko szło wąskim pasem pomiędzy morzem, a granicą Syjamu, który dotąd nie mieszał się do walki

Minięto szczęśliwie Maraban, odpierając ciągle ataki następującego wroga. Otucha wstąpiła w serca wszystkich.

Czem dalej, tem węższy pas obronny... tem ła twiej-szy! A może z Singapoore pospieszą ma przeciw z odsieczą?

Nagle w paskudnych, krętych przesmykach Tawoj natknęto się na bataliony syjamskie, pilnujące wyjścia z przesmyków. Próbowano paramentować... nadaremnie!

Po europejsku wyćwiczone pułki króla Sjamu zwały się jak burza na osłupiałe niespodzianką oddziały niedobitków z nad Irawadi. Równocześnie pościg uderzał na nie od tyłu. Cały dzień trwała rozpaczliwa, beznadziejna dla anglików walka. Wieczorem ucichły wystrzały, rozlegało się tylko ogłuszające, tryumfalnie wycie żółtych zwycięzców.

Zwycięzeni, leżeli cisi... martwi... Indie były stracone.

Ze wszystkich europejskich koloni w południowej i wschodniej Azji pozostał jedynie skrawek półwyspu Malajskiego, objęty fortami twierdzy Singapoore. W mieście tym schronili się wszyscy ci, którzy zdołali umknąć na początku wojny z Szanghaju, Kantonu, Sajgonu oraz z wysp archipelagu Malajskiego. Załoga twierdzy

Wynosiła około stu tysięcy żołnierzy; uciekinierów było pięćdziesiąt tysięcy. Flota japońsko chińska zablokowała twierdzę, zasypując ją gradem pocisków. Od strony Syjamu zbliżały się niezliczone pułki samczyków, Tokarczyków, annamitów, wyćwiczone i dowodzone przez japońskich oficerów. Lawina ta zbliżała się z dniem każdym niosąc twierdzy zapowiedź upadku. O odsiecz nie można było nawet i marzyć. Statki europejskie nie pojawiały się zupełnie na Oceanie Indyjskim, opanowanym całkowicie przez floty żółte. Na wszystkie depesze, wysyłane z Singapoore do Londynu z błaganiem o pomoc, nadchodzi jedna i ta sama odpowiedź: „Nic możemy wam

pomóc! Brońcie się lub wytargujcie możliwe warunki kapitulacji".

Ale komendant fortecy, sir Douglas Duncan łudził się jeszcze nadzieją cudu. Zresztą i załoga i uciekinierzy, wiedząc o okrucieństwach żółtych nie chcieli słyszeć o poddaniu.

Wreszcie żółte armje okrążyły i wierzdę od północy. Nastały dni i noce zaciekłych walk o każdą piędź ziemi, o każdy kamień rozstrzelonych betonowo-stalowych umocnień. Artyleria forteczna tysiącami kładła atakujące żółte bataliony, lecz na miejsce zniesionych pułków i dywizji przybywały coraz to nowsze. Siły oblężonych topniały w przerażającym tempie. Pierwsze trzy rzędy umocnień padły w pierwszym miesiącu oblężenia. Obrońcy ustępowali krok za krokiem; pierścień atakujących zacieśniał się z każdą godziną. I jedna i druga strona dawały dowody bezprzykładnego bohaterstwa i pogardy śmierci. Ochotnicze oddziały obrońców, sformowane z uciekinierów, walczyły już nie tylko o zwycięstwo, lecz i o prawo sprzedania życia jak najdrożej.

Nieludzkie trudy wyczerpały siłę obrony. Coraz częściej znajdowano w betonowych okopach ludzi padłych z wycieńczenia. Wreszcie do trudów dołączył się brak żywności. Nadmiar z amunicją poczynało być coraz gorzej, zwłaszcza od chwili, gdy nocy, o niesłychanej sile, atak bataljonów annamickich wydarł z rąk obrońców

ostatni zewnętrzny pierścień umocnień z trzema największymi składami amunicyjnymi.

Sir Duncan zrozumiał, że koniec nieubłagany jest kwestją zaledwie kilkunastu a nawet i kilku tylko dni. Zarządził przeniesienie linii obronnej do obrębu samej twierdzy. Zmiana pozycji, dokonywana nocą, zbiegła się z niespodziewanym szturmem wroga. Żółte oddziały, prace niepowstrzymanie naprzód, przedarły się aż do bastionów fortecznych. Jedynie nadzwyczajnym wysiłkom obrońców zawdzięczać należało, że atak odparty został nad ranem. Lecz wszystkie niemal działa polowe i podręczne magazyny amunicyjne wpadły w ręce żółtych.

Brzask poranku nie przyniósł odpoczynku obleżonym. Korzystając z zamętu, jaki w szeregach obrońców Singapoore wywołał nocny atak, artyleria nieprzyjacielska podsunęła się tak blisko, że wraz z pierwszymi blaskami słońca istna nawała pocisków zasypała szeregi nieszczęsnych obrońców.

Całodzienne bombardowanie, tak od strony lądu, jak i morza rychło przemieniło twierdzę w rumowisko. Pociiski superdradnotów japońskich rozwalaly betonowe schrony, jak domki z kart. Najtęższe osłony nie dawały schronienie przed nadlatującymi ze wszystkich stron granatami. Więcej niż trzecia część obrońców stała się niezdolną do walki. Ilość ranych i kontuzjowanych była wprost przerażająca.

Bombardowanie trwało do nocy. Nad ranem należało się spodziewać szturmu, który miał przynieść ostateczną zagładę twierdzy i garści jej obrońców.

Sir Duncan z gronem wyższych oficerów obchodził okopy i transze, będące ostatnią linią obronną. Nic nie uszło jego uwagi. Wprawnym okiem oceniał siły obrony i konstatował w duchu, że pierwsze uderzenie żółtych przewie bezwarunkowo słaby łańcuch obrońców.

Rozpocznie się wówczas dzika, bezpardonowa walka w obrębie rumowisk i zakamarków fortecy... walka beznadziejna, w której setki i tysiące walczą będą przeciw jednemu. A potem rozpocznie się mord tysięcy kobiet i dzieci, kryjących się w kazamatach fortecznych... mord podobny do piekła, jakie przeszły na początku wojny koncesje europejskie w Szanghaju, Hong Kongu, Kantonie, gdzie pojmanych białych pieczono na wolnym ogniu, bezczeszo kobiety i nieletnie dziewczęta, dzieci rzucono na ostrza bagnatów, bawiąc się nimi, jak piłkami.

Coraz więcej zatroskanem stawało się oblicze posiwiąłego w bojach generała. Towarzyszący mu oficerowie milczeli ponuro. I oni wiedzieli, że jutro nastanie kres wszystkiemu. Obszedłszy szczupłą linię obronną twierdzy, generał pożegnał oficerów, którzy podążyli na swe stanowiska.

Sir Duncan szedł milczącymi, opustoszałymi zaukami twierdzy, kierując się ku podziemnemu magazynowi amunicji. Warta powitała go wojskowym ukłonem.

Generał zagłębił się w krużganki magazynu, lustrując zawartość wykutych w opoce skalnej komór.

Komory, mieszczące pociski artyleryjskie puste były prawie zupełnie.

Zwrócił się do towarzyszącego mu zarządcy magazynu.

— Na jak długo wystarczy nam pocisków artyleryjskich? — zapytał.

Zarządca wyprostował się służbiście.

— Biorąc pod uwagę dotychczasowy dzienny ekspens, ekscelencjo, amunicji działowej wystarczy nam za ledwie na dzień... dwa najwyżej — brzmiała odpowiedź.

Sir Duncan dumiał przez chwilę. Wreszcie podniósł na zarządcę zmęczone, jak gdyby tumanem rezygnacji zasnutę spojrzenie.

— Sprowadź tutaj którego z moich adjutantów! — rozkazał spokojnym tonem.

Przez chwilę śledził wzrokiem znikającą w dali krużganków postać zarządcy. Coś, jak gdyby westchnienie ulgi wybiegło na wąskie, determinacyjnie zacięte wargi generała.

Szybkim, zdecydowanym krokiem udał się w stronę komór, zawierających materiały wybuchowe. Po chwili znalazł się w olbrzymiej komorze, mieszczącej zapasy melinitu.

— Wystarczy! — szepnął, wodząc wzrokiem naokół.

W kilkanaście minut później, potworna detonacja porwała na nogi wypoczywające przed generalnym szturmem oddziały żółtych i załogi statków blokujących Singapoore.

Tam, gdzie dotąd wznosiły się nasypy cytadeli, szalało istne piekło. Bezustanne wybuchy następowały tak szybko po sobie, że zlały się wreszcie w jeden potworny huk. W powietrzu przelewały się wśród dymów jakieś czarne przedmioty, wylatujące wysoko w górę i walące się stamtąd na dół. Grunt drżał i kołysał się, jak podczas trze sienia ziemi.

Wreszcie ucichło.

Na miejscu portu, miasta i umocnień fortecznych ziały bezdenne wyrwy, zawałone szczątkami betonowych schronów i poszarpanymi resztkami ludzkich ciał.

Tak padło Singapoore, ostatnia ostoja panować na białej rasy na ziemiach Azji.

XIII

Podczas debat Głównej Rady Wojennej w Paryżu zdanie naczelnego wodza armii polskiej przeważało.

Linja obronna państw europejskich przedstawiać się miała tedy następująco: na północy rozpoczynała się na wybrzeżu Murmanu, biegnąc rzeką Tilm, ku linii gra-

nicznej Finlandji, wzdłuż której, pomiędzy niezliczonymi jeziorami, ciągnęła się do jeziora Ładoga. Wewnątrz tej linii znajdować się miał Piotr ogród. Stąd front wyginał się ostrym łukiem ku jezioru Pajpus, od którego wzdłuż rzeki Wielkiej biegł Berezyną ku Dnieprowi, który miał się stać tą niepożytą tamą, stanowiącą kres pochodowi żółtych.

Odcinek północny od Murmania do Piotrogradu bronić mieli: finlandczycy, szwedzi, norwegowie i gros sił niemieckich. Odcinek od Piotrogradu do Dźwińska — połączone armje Estonji, Łotwy, Litwy oraz korpusy duńskie i holenderskie.

Środek obronnej linii Europy, na który, jak należało przypuszczać, zwali siłę gros sił azjatyckich, objęli polacy, francuzi i część sił angielskich.

Linji brzegowej morskiej, rozciągającej się od Chersonia, aż do południowego krańca Grecji, bronić miały armje: rumuńska, bułgarska, jugosłowańska i grecka, wspomagane przez korpusy pomocnicze włoskie.

Pozostałe części armii Wielkobrytanji, Włoch oraz korpusy ekspedycyjne Hiszpanji i Portugalii miały za zadanie utrzymać kanał Suezki i linję brzegową kontynentu afrykańskiego.

Armje Czechosłowacji, Austrii, Węgier i Belgji, skupione w pobliżu linii bojowej, stanowić miały rezerwę dla całego olbrzymiego frontu obronnego Europy.

W parę niespełna tygodni po zakończeniu obrad paryskich niezliczone pociągi poczęły przerzucać oddziały angielsko-francuskie na pogranicze Polski. Równocześnie odbyła się mobilizacja i koncentracja sił zbrojnych Estonji, Łotwy i Litwy oraz zasilanie ich oddziałami duńskimi i holenderskimi.

Statki parowe niemieckie, szwedzkie, norweskie i angielskie przewoziły tysiące żołnierzy niemieckich do Finlandji.

Po skoncentrowaniu poważniejszych sił postawiono Rosji ultimatum, domagające się wyraźne go zdeklarowania się po stronie Europy, czy też Azji.

Odpowiedź była wyraźna. Rosja stawiała się zaciętym przeciwnikiem Zachodu.

Rada Wojenna Państw Europy postanowiła działać niezwłocznie. Oddziały europejskie poczęły się posuwać w głąb Rosji celem osiągnięcia obranej przez Radę linii.

Armje rosyjskie zaledwie gdzieniegdzie próboway stawiać jakiś opór lecz nie mogąc sprostać liczebnie atakującym, cofały się zazwyczaj po krótkich walkach.

Poważniejszy opór stawily jedynie na odcinku Bobrujsk — Kijów, przegradzając się od atakujących bagnistą Prypecią. Bitwa trwała cztery dni i zakończyła się straszliwą klęską rosjan. Oddziały rosyjskie, otoczone od północy, na łeb na szyję poczęły cofać się przez Berezynę i Dniepr. Podczas tego cofania sprzymierzeni przytarli niedobitków do tych dwóch rzek, zabierając przeszło

trzysta tysięcy jeńców i zdobywając olbrzymie wprost ilości nowoczesnego materiału wojennego.

Linja obronna Europy została osiągnięta w zupełności, gdyż i na północy armje półwyspu skandynawskiego z pomocą Niemców z łatwością pobiły słabsze liczebnie oddziały rosyjskie.

Dowództwo moskiewskie, zaskoczone wynikiem bitwy nad Prypecią i Dnieprem, zrezygnowało z obrony Piotrogradu, która zresztą i tak stała się więcej niż problematyczną ze względu na posuwanie się oddziałów sprzymierzonych na odcinku północnym.

Lecz wszystkie te walki były zaledwie preludjum tego, co się dziać miało niebawem na linii głównego frontu obronnego Europy.

Miljonowe armje europejskie poczęły pracować nad ufortyfikowaniem osiągniętych przez siebie linii.

Pracowano dzień i noc.

Powstały fortyfikacje tak potężne, że ci, którzy pamiętali z czasów Wielkiej Wojny fortyfikacje niemieckie na froncie zachodnim, uśmiechali się lekceważąco na wspomnienie „niezdobytych” ongi linii Hindenburga i Zygfryda.

Tamte dzieła były dziełami Pigmejów w porównaniu z cudami techniki, wznoszonymi przez inżynierję sprzymierzonych armii.

Na szerokości dziesiątków kilometrów ciągnęły się schrony dla piechoty, gniazda artyleryjskie i groźne fonty zbudowane ze stali i betonu.

Poza linią frontu, jak gdyby na skinienie czarodziej-skiej różdżki powstawały całe miasta, mieszczące w sobie magazyny żywnościowe, amunicyjne, szpitale, koszary, biura sztabów, centrale telegraficzne i telefoniczne, elek-trownie, zakłady gazowe, stajnie i t. p.

Kilkadziesiąt linii kolejowych, przeprowadzonych od granic Rzeszy Niemieckiej przez ziemie polskie ku linii frontu, bezustannie przewoziły materiały wojenne. Pas przyfrontowy w nader niedługim czasie zaludnił się tak, że wkrótce te połączenia nieprzebytych wiosną i jesienią błot i moczarów poleskich stały się najbardziej rojnymi zakąt-kami na kuli ziemskiej. Ludność cywilną pasa przyfron-towego ewakuowano całkowicie ze względu na spodzie-wane ataki gazowe, mające odegrać bardzo poważną rolę w zbliżających się gigantycznych zapasach dwóch świa-tów.

Obszary z tamtej strony linii frontu, poza Dnieprem na głębokości kilkudziesięciu kilometrów zostały zniszczone przez lotne oddziały kawalerji i saperów sprzymie-rzonych armji, by nieprzyjaciel nie znalazł tam niejednej chaty, która by mogła mu służyć za schronienie. Wszyst-kie mosty rzeczne oraz drogi poddano tak gruntownemu zniszczeniu, że obszary te stały się prawdziwą „krajną śmierci”.

Samoloty francuskie, angielskie i polskie na rozkaz Rady Wojennej urządzały niezliczone wyprawy w głąb nieprzyjacielskiego terytorjum, celem niszczenia mostów i obiektów linii kolejowych.

Ogólny zachwyty i entuzjazm wzbudził raid lotniczy, przedsięwzięty celem zniszczenia mostów na wołdze pod Carycynem, Samarą i Kazaniem.

Z ogólnej liczby stu aeroplanów, biorących udział w raidzie, powróciło na swe macierzyste lotniska sześćdziesiąt cztery, lecz cel ryzykownej i niebezpiecznej wyprawy został całkowicie osiągnięty.

Obrzucone parutonowemi bombami mosty, jedne z najdłuższych na kontynencie europejskim, zawaliły się w głębokie nurty Wołgi. Wracając z wyprawy zniszczono po drodze dworce kolejowe w Penzie, Riazaniu, Tambowie, Tule, Woroneżu, Kałudze, Orle i Kursku, uniemożliwiając temsamem nieprzyjacielowi na długi czas wykorzystanie większości linii kolejowych na obszarach centralnej i południowej Rosji.

Lecz druga taka sama wyprawa niszczycielskich eskadr powietrznych, mająca na celu zniszczenie arterij komunikacyjnych na przestrzeni

Moskwa — Piotrogród, przedsięwzięta w parę tygodni później, nie przyniosła już takich rezultatów, jak pierwsza. Eskadry napotkały na swej drodze aparaty japońskie, występujące w bardzo poważnej liczbie. Wywiązały się walki powietrzne, w których obie strony poniosły

dotkliwe straty. Eskadry europejskie musiały się cofnąć, nie dokonawszy zadania.

Niebawem oddziały kawaleryjskie, buszujące dotąd bezkarnie na rozległej przestrzeni poza linią frontu, napotkały na poważniejszy opór ze strony oddziałów rosyjskich. Wzięci w licznych potyczkach jeńcy zeznawali, że pierwsze oddziały żółtych osiągnęły już linię Wołgi.

Wróg wdarł się już zatem w granice ziem europejskich.

Sprzymierzeni gorączkowo czynili ostatnie przygotowania na przyjęcie groźnego gościa. Linja Dniepru, Beresyny i dalej, poprzez jezioro Pejpus, aż ku chłodnym tundrom i moczarom Murmania zamieniona została w twierdzą, zda się, niezdobytą.

Poza tą linią, na żyznych łąkach, w gwarnych, tętniących pracą miastach europejskich, zdała od pól bitewnych pędziło życie miliony starców, kobiet i dzieci, z niepokojem spoglądających w stronę, gdzie ojcowie, bracia i mężowie gotowali się do odparcia niewidzianego dotąd iw dziejach ludzkości najazdu.

Pomimo wielokrotnych zapewnień rządów, iż wróg nie zdoła przełamać linii obronnej i wedrzeć się do serca Europy, niewiara i straszliwy lęk targały umysłami i sercami, przerażeniami wiadomościami o zagładzie białych na ziemiach Azji, przerażenie ogarnęło masy; świątynie przepełnione były zebrzącymi Niebios o ratunek, szpitale

nie mogły pomieścić chorych nerwowo. Zdarzały się również gremjalne wypadki samobójstw obłąkanych z przerażenia ludzi. Wielu twierdziło uparcie, że zbliża się koniec świata.

Tymczasem front wciąż był jeszcze cichy. Dowództwo północnego odcinka znajdowało się w Haparandzie, małym miasteczku, leżącym nad północnym krańcem odnogi Botnickiej. Sztab południowego odcinka rozłożył się w Sofji.

Brześć nad Bugiem był miejscem, w którym przebywało dowództwo środkowego, najważniejszego odcinka linii frontowej, będącego pod bezpośrednimi rozkazami Naczelnego Wodza sił polskich, siwowłosego marszałka, który już raz ongi toczył na tych terenach zacięty bój ze wschodnim najeżdźcą.

Pretwicz z początkiem kampanji dowodził, już w randze generała, paroma brygadami polskiej kawalerji. Brał udział w czterodniowej bitwie na linii Kijów — Bobrujsk, mistrzowskim posunięciem odcinając od północy w trzecim dniu bitwy parę dywizyj rosyjskiej piechoty, które widząc niemożliwość przebiccia się do gros swych sił, złożyły broń, odsłaniając temsamem całe prawe skrzydło armii rosyjskiej na flankowe uderzenie zwycięskich oddziałów przeciwnika.

Pułki Pretwicza, nie bawiąc się w wyłapywanie rozproszonych w lasach i moczarów jeńców, wyteżonym marszem parły na południe, sprawiając to, że cofające się

z nad Prypeci dywizje rosyjskie, osiągnąwszy wreszcie upragnioną linię Berezyny, którą odsłonić się miały od przeciwnika, zastały na jej przeciwnym brzegu ruchliwe szwadrony kawalerji Pretwicza, powstrzymujące ogniem lekkiej artylerji przeprawę przez rozlane szeroko z powodu kilkunastodniowych deszczów wody.

Rezultatem manewru Pretwicza było to, że całe prawe skrzydło armii rosyjskiej, cofające się na północ-wschód od Prypeci zostało osaczone w widłach, jakie formuje Berezyna, wpadając do Dniepru. Całe te masy ludzi, koni i niezliczone ilości transportów wpadły w ręce zwycięzców.

Czyn Pretwicza został należycie oceniony przez wodza odcinka środkowego, rozciągającego się od wód zatoki Fińskiej do wód Czarnego Morza.

Pretiwcz mianowany został generałem dywizji, co bezmiernie ucieszyło wszystkich bez wyjątku jego podwładnych, ubóstwiających swego dowódcę.

Lecz radość ich niebawem zamieniła się w niezadowolenie, gdyż Pretwicz specjalnym rozkazem odwołany został do sztabu dowództwa.

Sam on niezbyt był zadowolony z takiego obrotu rzeczy. Jako kawalerzysta z krwi i kości, przywykły do ciągłego ruchu, nie znajdował zadowolenia w pracy sztabowej. Zresztą pragnął się zapamiętać w ciągłych utarczkach i niebezpieczeństwach. Pamięć o miłości ku słodkiej japonce żyła w nim ciągle. Pozostając w beczynności,

czuł, że serce poczyna w nim skowyczeć z bólu, że tęsknota wwierca się do jego mózgu, przyprawiając nieomal o szaleństwo.

Najbliżsi i najserdeczniejsi towarzysze jeszcze z czasów kampanji 1920 roku nie poznawali w nim dawnego wojaka, kipiącego życiem i ochotą.

Stal się małomównym, zamkniętym w sobie i tylko w polu, w obliczu zbliżającego się niebezpieczeństwa ożywał się. Wówczas stalowe jego oczy rzucały błyski, głos, wydający rozkazy dźwięczał nutą nieznaną oporu energii.

Żołnierze spoglądali nań z bałwochwalczym uwielbieniem i szli za nim w najgorętszy war bitew, jak na weselu ze śpiewaniem i żartami, cechującymi masę żołnierską, wierzącą w swego wodza i ufającą mu bez zastrzeżeń.

To też Pretwicz, nie chcąc się rozstawać z towarzyszami broni, znalazł sposobność do przedłożenia wodzowi prośby o pozostawienie go na froncie.

Rozmowa jego z wodzem, ku zdumieniu całego sztabu, trwała parę godzin. O czym mówiono tam, w gabinecie marszałka — niewiadomo, lecz Pretwicz wyszedł z posłuchania, jak gdyby odmłodzony. Na wszystkie zapytania sztabowców odpowiedział, że oddaje jutro dowództwo grupy swemu następcy i sam wyjeżdża, obarczony specjalną misją. Jaki jednak był charakter tej misji — wy-

jawić nie chciał, zasłaniając się wyraźnym pod tym względem rozkazem głównodowodzącego.

W parę dni później zniknął zupełnie z widowni.

Sztabowcy byli pewni, że wysiany został do Paryża do Głównej Rady Wojennej.

A jednak, wszyskowiedzący zazwyczaj sztab, tym razem mylił się w swych przypuszczeniach gruntownie.

Nad bagnistym Ptyczem, lewobrzeżnym dopływem Prypeci, w nieprzebytych lasach i zaroślach, w odległości stu mniej więcej kilometrów od linii obronnej Dniepru, natychmiast po przybyciu Pretwicza z kilkunastoma bataljonami saperów i oddziałami cywilnych robotników, zawrzała gorączkowa praca. Pod rozłożystemi drzewami wznoszono pośpiesznie prowizoryczne szopy dla koni, baraki żołnierskie oraz magazyny dla paszy.

Ilość tych zabudowań rosła w oczach z każdą godziną i dosięgła tak olbrzymich rozmiarów, że oficerowie-inżynierzy, kierujący robotami, spoglądali po sobie ze zdumieniem.

W rozmowach z Pretwiczem dawali wyraz temu zdziwieniu, mówiąc, że chyba kawalerja całego świata mogłaby się tutaj pomieścić, lecz Pretwicz na wszystkie w tym względzie uwagi, odpowiadał półsłówkami, z których niepodobna było wywnioskować coś konkretnego.

Saperzy W chwilach rzadkich odpoczynków snuli najróżnorodniejsze domysły na temat użycia wnoszonych przez siebie w tej głuszy leśnej zabudowań. Wresz-

cie zgodzili się na jedno, że „dziadek coś takiego wykombinował, że aż strach“.

Po dwóch miesiącach wyczerpanej pracy wszystko było gotowe. Całymi szeregami ciągnęły się wśród gąszczów szopy i baraki ukryte pod gęstymi konarami drzew.

Żadne, nawet najlepszą lornetą uzbrojone, oko nieprzyjacielskiego lotnika nie zdołałoby dostrzec, co się dzieje pod baldachimem brzoź, olch, sosen i świerków.

Szwadronami, a nierzadko i plutonami dla niezwracania uwagi poczęła nadciągać kawalerja z całego frontu. W połowie marca znajdowało się już w obozie przeszło pięćdziesiąt pułków polskich, trzydzieści dwa francuskie i tyleż angielskich. Około połowy kwietnia nadciągnęły pułki kawalerji litewskiej, estońskiej i łotewskiej. Koncentrację tę zakończyło przybycie kawalerji czechosłowackiej, belgijskiej, holenderskiej, duńskiej i części kawalerji włoskiej oraz dwudziestu pułków dragonów i ułanów niemieckich. Wszystkie te jednostki przybywały z dywizjonami konnej artylerji i szwadronami lekkich samochodów pancernych.

Ogółem w obozie znalazło się sto osiemdziesiąt dwa pułki kawaleryjskie i prawie tyleż dywizjonów artylerji konnej. Czyniło to razem, licząc obsługę samochodów pancernych i lekkich taborów, prawie trzysta tysięcy ludzi.

Wszystko to: ludzie, konie, armaty taίło się w gęstwinach lasu, oczekując rozkazu, który miał je podnieść i

rzucić naprzód dla osiągnięcia wspólnego celu — zwycięstwa.

Tymczasem na linii bojowej, począwszy od połowy marca, wrzały już zacięte walki.

Sztab żółtych, jako punkt głównego swego nacisku i ewentualnego przełamania linii obronnej, wybrał, jak trafnie przewidywała Rada Wojenna armij sprzymierzonych, odcinek frontu, rozciągający się na północ od Bobrujska, wzdłuż Berezyny, poprzez Dźwinę, aż do rzeki Wielkiej, wpadającej pod Pskowem do systematu jezior Czudzkich.

Przestrzeń tego odcinka najmniej nastroczała trudności terenowych, gdyż część jego nie była broniona przez rzeki i jeziora. Lecz właśnie na odcinek ten inżynieria sprzymierzonych zwróciła najbaczniejszą uwagę, wznosząc tam szereg gigantycznych obozów warownych.

Na tym też terenie rozgorzały najzaciętsze walki. Stary marszałek japoński, Jamamoto, dowodzący całą, nieprzeliczoną, zda się, siłą Azji, pchnął na odcinek ten swe, najwięcej wyszkolone korpusy, złożone w części z oddziałów japońskich, wyborowych dywizyj chińskich, Annamičkih i syjamskich, oraz luźnych watah mieszkańców Gobi i Tybetu.

Pierwsze szturmy przeprowadzili ci ostatni, nie czekając nawet na przybycie ciężkich dział, których ogień mógłby pokruszyć i nadwątlić do pewnego stopnia umocnienia europejczyków.

Dowódcy sprzymierzonych ze zdumieniem patrzyli na kroki żółtego sztabu. Ostrożni dotychczas i nie unoszący się łatwo strategicy japońscy, którzy tak genialnie przeprowadzili oczyszczenie Azji z białych, stracili bardzo w oczach sztabowców europejskich.

— Jak to? Atakować takie fortyfikacje bez należytego przygotowania artyleryjskiego? — dziwili się sztabowcy, wzruszając z politowaniem ramionami. — Warto by im dać nauczkę, która, być może, przyczyniłaby się do szybszego rozegrania zapasów!

Poczęto snuć plany zaatakowania przeciwnika, nie rozporządzającego widocznie dostateczną ilością artylerji i pragnącego ze Względu na to przeforsować wyłom w obronnej linii przez rzucenie w paszczę Molocha wojny setek tysięcy swych żołnierzy.

Zwłaszcza po trzecim z rzędu ataku, wynikiem którego było kompletne prawie wybicie oddziałów atakujących, sztaby poczęły natarczywie domagać się od Naczelnego Wodza wydania rozkazu do ofensywy, która zdaniem fachowców powinna być rozpoczęta równocześnie od Borys sowa i od rzeki Wielkiej, aby przytrzeć armje żółtych do brzegów Dźwiny. Lecz siwowłosy marszałek polski na wszelkie przedstawienia rozentuzjasmowanych zwolenników ofenzywnego ruchu wzruszał ramionami, odpowiadając niezmiennie krótkim: „nie“!

Okazało się po pewnym czasie, że przenikliwy jego umysł wyraźnie przewidział ogrom niebezpieczeństwa,

jakie mogło wynikać w następstwie tego nierozważnego kroku.

Oto energiczne wywiady, przedsięwzięte przez setki aeroplanów, ustaliły niezbicie, że na linii Wielkie Łuki — Witebsk, Mohylów skoncentrowane są najlepsze dywizje żółtych, oczywiście w tym celu, aby w przypadku opuszczenia przez Europejczyków swych stanowisk i zaangażowania się w walkach z atakującymi oddziałami runąć całą siłą naprzód i w zamęcie walk ruchomych sforsować linię obronną białych.

Odkrycie to wywołało konsternację wśród grona sztabowców, którzy do niedawna jeszcze sarkali na „niezrozumiały upór“ głównodowodzącego.

Autorytet tego ostatniego po tym fakcie wzmógł się niesłychanie u wielojęzycznych oddziałów, pozostających pod jego dowództwem.

Przyczyniły się również w znacznej mierze do tego dosadne i lapidarne w swej treści określenia polskich żołnierzy, o swym Wodzu, wypowiedane do swych cudzoziemskich kolegów za pomocą żółnierskiego „volapuc-ku“, w którym gesty odgrywały bodaj że najważniejszą rolę. Określenia te brzmiały, mniejwięcej, jednakowo. Oto: „dziadek nasz to ci jest, psiakrew, morowiec“! Słyszając takie zapewnienia, francuz, Anglik lub Estończyk potakiwał mówiącemu ruchem głowy. Zwłaszcza ten niezrozumiały „morowiec“ uspakajał ich zupełnie. Zczasem

nazwa ta utarła się tak, iż odtąd cały bez wyjątku front określał tym mianem swego dowódcę.

A „morowiec“ tymczasem objeżdżał linię przed nastaniem walk pozycyjnych, jakie niebawem rozgorzeć miały na całym froncie. Największą jego troską było rozmieszczenie linii rezerw w ten sposób, aby w każdej chwili można je było rzucić na każdy zagrożony punkt rozległej linii.

Zdawał on sobie doskonale sprawę z tego, że każda, nawet najmniejsza szczyrba frontu musi być załataną w błyskawicznym tempie, gdyż inaczej, wróg rozporządzając potworną wprost ilością materiału ludzkiego, potrafi, chociażby tylko masą, rozszerzyć pęknięcie frontu, wlewa jąc się przez nie do środka linii obronnej białych.

Prócz paru zatem linii rezerw stałych, których działanie ograniczać się miało jedynie do niesienia pomocy znajdującym się przed nimi oddziałom frontowym, utworzone zostały większe skupienia rezerw ruchomych, wyposażone w dostateczną ilość środków komunikacyjnych, pozwalają cych im w ciągu paru zaledwie godzin na osiągnięcie każdego punktu zagrożonego odcinaka, oddanego im pod opiekę.

Pozatem Naczelny Wódz zajął się bardzo gorliwie skon centrowaniem olbrzymiej ilości artylerji wszelkiego rodzaju na linii Bobrujsk—ujście Świsłoczy do Berezyny. W krótkim czasie zmasowano tutaj przeszło trzydzieści tysięcy dział, prócz zwykłej obsady artyleryjskiej frontu.

Ta potworna liczba armat ukrytą była w lasach tuż za linią bojową. Zdawało się, że Wódz tutaj właśnie oczekuje najsilniejszego natarcia, jakkolwiek dotąd wszystko przemawiało za tem, że punkt ciężkości wysiłków żółtych armij znajduje się nieco wyżej, na przestrzeni, rozciągającej się między Borysowem, a Dźwiną.

Tam też wrzały najbardziej zaciekle walki.

Napór żółtych był tak potężnym, że zaszła potrzeba natychmiastowego wzmocnienia frontu przez przerzucenie olbrzymiej ilości posiłków, na co poświęcono część armji belgijskiej i wszystkie oddziały zbrojne Austrii i Węgier, stojące dotychczas w ostatniej linii rezerw.

Sytuacja uległa poprawie, aczkolwiek w łonie Rady Głównej poczęło się coraz wyraźniej krystalizować zdanie, że zagrożonej linii Piotrogród —Dźwina nie da się długo utrzymać. Większość Rady była za tem, aby dokonać przegrupowania na linię Dźwiny, przez co front zostałby znacznie skróconym, nie mówiąc o tem, że nowe pozycje odgraniczałyby się od nieprzyjaciela dość trudną do przekroczenia rzeką.

Co prawda, krok taki oddawałby całkowicie w moc wroga całą Estonię i lwią część Łotwy, lecz skrupuły tego rodzaju nie zbyt wielce wpływały na postanowienia Rady.

Ale plan ten znalazł poważnego przeciwnika w osobie dowódcy odcinka środkowego linii obronnej.

Debaty Rady były bardzo gorące, lecz energiczny marszałek polski zdołał przekonać swych kolegów o całej bezsensowności podobnej imprezy.

Wskazał on na niebezpieczeństwo przenoszenia linii obronnej w obliczu nieprzyjaciela, który bez wątpienia nie omieszkałby wykorzystać pewnego ziamieszania i depresji moralnej, będących logicznym następstwem ruchu, mającego bądźco bądź charakter odwrotu. Pozatem wynikiem opuszczenia dotychczasowej linii będzie całkowite zerwanie kontaktu z odcinkiem północnym, który, jako nader słabo atakowany, może, jak dotąd, przesyłać w charakterze posiłków część swych oddziałów na odcinek frontowy.

Ostatnim wreszcie argumentem marszałka było oświadczenie jego, iż właśnie ten odcinek potrzebnym mu będzie do przeprowadzenia w swoim czasie ruchu ofenzywnego na gros sił nieprzyjacielskich.

Pozostało zatem wszystko po dawnemu.

Ludność Estonji i Łotwy błogosławiła odtąd i w dzień i w nocy obrońcę swych chat i pól.

Aby jednak uspokoić zaniepokojonych stanem rzeczy swych kolegów z Rady, marszałek zgodził się na powiększenie rezerw na tym odcinku przez skierowanie tam rezerwowych korpusów duńskich, holenderskich i angielskich.

Sytuacja na południe od Bobrujska przedstawiała się jak dotąd, zupełnie pomyślnie. Dniepr, naturalna zapora,

ufortyfikowana znakomicie, był nie do przebycia. Pracę miała jedynie artylerja — piechota prawdę mówiąc, próżnowała beczynnje.

XIV

Generał Tawaschiki dowodził armją działającą przeciwko północnemu krańcowi środkowego odcinka obronnej linii europejczyków. Pod jego dowództwem znajdowały się najlepsze siły bojowe, jakie tylko mógł wystawić żółty świat w tej wojnie. Cała prawie armja japońska, korpusy chińskie, annamickie i przeszło dwa miliony rosjan stanowiło w jego ręku ów taran, który miał dokonać dzieła nadwyreżenia frontu od północy, sforsowania następnie Dźwiny i zagrożenia środkowi frontu europejczyków, którym w takim wypadku nie pozostawałby nic innego, jak opuszczenie linii Dniepru i cofnięcie się poza Wisłę.

Odwrót taki był równoznaczny z klęską białych i osiągnięciem połowy celu przez najeźdźców.

To też żołnierze Tawaschiki'ego w pełni oceniali zaszczyt, jako przypadł im w udziale w tych zapasach na śmierć i życie.

Szli do ataków z brawurą, lekceważąc ramy i śmierć, jak przystoi prawym synom Wschodu. Marli tysiącami w

szalonym ogniu baterij europejskich, lecz na miejsce zabitych i niezdolnych do boju przybywały na krwawe pola walki tysiące i tysiące nowych wojowników, dyszących pragnieniem zmierzenia się z nienawistnymi „białymi djabłami”. — Tawaschiki zdawał sobie sprawę z ogromu zadań, jakie włożyło na jego barki główne dowództwo żółtej armji.

Wytrzymały ten na wszelkie, nadludzkie niemal trudy, człowiek dwoił się i troił, doglądając osobiście na rozległym froncie przygotowań do ataków i obserwując przebieg każdego z nich.

Sztab jego wprost upadał ze zmęczenia, lecz Tawaschiki nie był pobłażliwym dla nikogo, jak nie był pobłażliwym również i dla siebie. Sztabowcy znali dobrze pionową zmarszczkę nad brwiami na twarzy generała; wiedzieli oni, aż nadto dobrze, że zmarszczka taka oznacza zbliżanie się wybuchu gniewu, który u Tawaschiki'ego, o ile był rzadkim, o tyle strasznym.

To też z niepokojem i pewnego rodzaju współczuciem spoglądano na młodego pułkownika Kamuru, gdy pewnego dnia rozeszła się wiadomość, że przypadek odkrył, iż jednym z adjutantów jego jest kobieta.

Kamuru dowodził całą siłą kawaleryjską, przydzieloną do armji Tawaschiki i jako taki, wraz ze swymi oddziałami stacjonował w Wałdaju i jego najbliższych okolicach, wyczekując chwili, gdy przełamanie frontu dozwoli na użycie kawalerii, mającej spaść wówczas pioru-

nowym ruchem na tyły lewego skrzydła środkowego odcinka białych.

W gronie przybocznych jego oficerów znajdował się młodociany podporucznik, nieznany nikomu Hajoschi Asaka, odcinający się jaskrawo wyglądem i usposobieniem od reszty swych kolegów. Milczący zazwyczaj i jak gdyby stale onieśmielony, spędzał wolne od służby godziny na swej kwaterze, znajdującej się w pobliżu kwatery Kamuru. Koledzy niejednokrotnie pokpiwali z cicha z młodego podporucznika, rumieniejącego się przy każdym żywszym i swobodniejszym słowie, lecz z uwagi na względy, jakimi Kamuru otaczał Hajoschi'ego, żarty ich nigdy nie obrażały „panienki”, jak powszechnie nazywano gołowąsego adjutanta.

Tymczasem, pewnego poranku jeden z oficerów Kamuru, wpadłszy niespodzianie do pokoju Hajoschi'ego, zastał go przy ubieraniu się. Jakież było zdziwienie przybysza, gdy jeden rzut oka na stojącego przed nim w białym podporucznika, wyjawiał mu tajemnicę nieśmiałości i rumieńców „panienki”.

Podporucznik był kobietą.

Zmieszany oficer, zdoławszy zaledwie wyjąkać parę słów przeproszenia, wycofał się szybko z pokoju, pozostawiając w nim oniemiałą z przestachu kobietę.

Pod wpływem pierwszego wrażenia, oficer podzielił się swym odkryciem z kolegami i w parę godzin później

tajemnica podporucznika Hajaschi'ego stała się znaną całą sztabowi Kamuru.

Stąd przedostała się do sztabu Tawaschiki'ego, który w tym czasie bawił nad Narwią, przygotowując tam atak gazowy.

Z jego powrotem oczekiwano burzy, jaka miała się zwalić na głowę nieszczęsnego Kamuru, gdyż rozkazy, wydane przez główną kwaterę wyraźnie głosiły, że w oddziałach frontowych i sztabach nie może znaleźć się żadna kobieta.

Wobec znanej surowości Tawaschiki'ego nie ulegało wątpliwości, że Kamuru, przekraczający w tak jaskrawy sposób rozkazy najwyższego dowództwa, srodze odpowie za swą lekkomyślność.

Lecz Kamuru, który na trzeci już dzień po odkryciu tajemnicy swego adjutanta zjawił się w sztabie Tawaschiki'ego, zdawał się mile przejmować zbytnio oczekującą go burzę.

Natychmiast po przybyciu generała, który drogę z Narwi do Starej Rusy odbył samolotem, Kamuru zameldował się u niego.

Tawaschiki powitał go przyjaźnie, gdyż czuł sympatię dla tego, jedynego może w całej armii japońskiej, dowódcy kalwalerji w wielkim stylu. Lecz pułkownik zamiast zająć miejsce na krześle, jakie mu wskazał zapraszającym ruchem ręki Tawaschiki, stał dalej w służbowej postawie.

— Generale, proszę o oddanie mnie pod sąd połowy za niezastosowanie się do rozkazów naczelnego dowództwa! — wyrecytował, nie spuszczać oczu z twarzy swego bezpośredniego zwierzchnika.

Wzrok Tawaschiki'ego ze zdziwieniem ogarnął zgrabną postać prężącego się przed nim oficera. Ten w krótkich słowach wyjaśnił mu istotę swej winy. Oto przed opuszczeniem Japonii przez niego zgłosiła się doń młoda japonka, wybitna patriotka, błagająca o przyjęcie jej do jednego z pułków, wchodzących w skład jego grupy. Powodowany litością, zezwolił na to. Kobieta ta przebyła w charakterze szeregowca całą dotychczasową kampanję, odznaczyła się parokrotnie w utarczkach, staczanych z kawalerją europejczyków i, awansując stopniowo, dosłużyła się stopnia podporucznika. Kończąc swą relację, Kamuru zaręczył słowem honoru, iż nic osobistego nie łączy go z dwoma kobietą.

Tawaschiki zmierzył go surowym spojrzeniem oficera.

— To ostatnie zapewnienie łagodzi do pewnego stopnia pańską winę, pułkowniku, chociaż nie maże jej całkowicie — rzucił wreszcie, marszcząc lekko brwi. — Zostaniesz ukaranym pułkowniku, a jak, o tem zadecyduje główna kwatera! Jakie jest prawdziwe nazwisko tej amazonki? — zapytał, topiąc w Kamuru bystre spojrzenie.

Coś, jak gdyby cień wahania przewinął się po obliczu tego ostatniego.

Tawaschiki dostrzegłszy zmieszanie pułkownika, nasepił brwi jeszcze groźniej.

— Kobieta tą jest... Ozari! — rzekł wreszcie Kamuru.

Tawaschiki drgnął lekko.

— Ozari — powtórzył ledwie uchwytnym zdziwieniem w głosie. — To zasadniczo zmienia postać rzeczy — dorzucił po chwili. — Moja siostrzenica, należąc przed wojną do szczupłego grona wtajemniczonych, w zupełności zasłużyła na prawo znajduwania się tutaj, w szeregach walczących. Wobec tego winę pańską, pułkownik, puszczam w niepamięć.

Kamuru skłonił się w milczeniu i zajął wskazany mu przez generała fotel.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Powiedz mi, pułkownik! — ozwał się wreszcie Tawaschiki. — Jak sądzisz? Co spowodowało ją do tego kroku?

Oblicze kawalerzysty ścięło się nagłym skurczem bólu.

Tawaschiki zrozumiał go w jednej chwili. Pochylił głowę, jak gdyby namyślając się przez chwilę.

— Więc nie zapomniała o nim! — rzucił, podnosząc wzrok na Kamuru.

Ten wzruszył lekko ramionami.

— Nie wiem, gdyż nigdy z nią o tern nie rozmawiałem, lecz sędzę, że kocha go ona wciąż jednakowo — odrzekł, zagryzając wargi.

Tawaschiki przyglądał mu się z pod oka. Jeszcze w Tokio, na długo przed wybuchem wojny, bystry jego wzrok dostrzegł, że Kamuru kocha się w Ozari. Jako opiekun tej ostatniej rad był nawet temu, gdyż chętnie widziałby w nim dozgonnego towarzysza życia swej siostrzenicy.

Lecz urok młodego polaka, jakiemu poddała się Ozari, przekreślił wszystkie rachuby zarówno Kamuru, jak i opiekuna.

— A cóż ty na to?— zagadnął ten ostatni w tak poufały sposób, gdyż Kamuru był jego kuzynem.

Oczy pułkownika zabłyśły nagle ogniem, usta zacięły się kurczowo.

— Spotkamy się! — rzucił przez zęby, ujmując mimowoli dłonią gardę swej szabli.

Tawaschiki powstał.

Kamuru zerwał się sprężyście z krzesła.

— Życzę ci tego! — mówił generał, podając dłoń Kamuru. — Przyślij mi swego adjutanta jak najprędzej! — dorzucił z uśmiechem.

Dowiedziawszy się, że Ozari przybyła razem z Kamuru i znajduje się obecnie tutaj, Tawaschiki zapragnął widzieć ją natychmiast.

Po odejściu pułkownika generał długi czas przemierzał krokami gabinet, rozważając coś w umyśle. Wreszcie, po pewnej chwili wyraz niezłomnego postanowienia odbił się na jego obliczu.

Połączywszy się telefonicznie z główną kwaterą, rozpoczął z marszałkiem Jamamoto ożywioną rozmowę, w której imię Ozari powtarzało się dość często.

W pół godziny później dowódca sztabowej eskadry lotniczej otrzymali telefonicznie rozkaz Tawaschiki'ego przygotowania jednego samolotu, który miałby za zadanie przedostać się jak najdalej poza linię nieprzyjacielską celem wysadzenia tam na ląd kobiety, której dowództwo powierza ważną misję.

W chwili ukończenia rozmowy z komendantem eskadry lotniczej oficer ordynansawy zameldował generałowi przybycie Ozari.

W dwie godziny później samolot sztabowy, wniósłszy się z lotniska w Starej Rusie, podążył w stronę frontu; prócz zwykłej obsługi niósł on w swym wnętrzu Ozari, przebraną już w kobiece suknie.

Ozari z radością wyraziła swą zgodę na plan, jaki jej przedstawił Tawaschiki.

Prócz zadowolenia, jakie czuła, jako japonka, iż miłsza jej, w razie udania się, może przynieść faktyczne korzyści głównej kwaterze, pałała ona pragnieniem dowiedzenia się czegoś o Pretewiczu, którego nie przestawała kochać ni na chwilę.

Zadanie, jakie miała wypełnić, było bardzo proste. Oto, znalazłszy się w Warszawie, miała zgromadzić jak największą ilość dzienników i czasopism europejskich i przewieźć je drogą lotniczą przez front. W tym celu o umówionym czasie i miejscu poza linią nieprzyjacielską ma czekać na nią samolot, którym powróci.

Tawaschiki dlatego wybrał siostrzenicę do spełnienia tej misji, gdyż Ozari wyglądem swym w zupełności nie przypominała japonki, a jako władająca wyśmienicie europejskimi językami, z łatwością mogła gnać rolę ciekawej pobliza frontu cudzoziemki.

A wiadomości z Europy potrzebne były sztabowi złotych na gwałt. Od dłuższego już czasu Europejczycy, tkwiąc niewzruszenie w siwych fortyfikacjach i nie dopuszczając w żadnym wypadku do starcia wręcz, nie dali sposobności złotym do pochwylenia jeńców, których relacje mogłyby rzucić jakieś światło na to, co się dzieje na froncie i poza nim. Jamamoto i Tawaschiki przypuszczali, że z treści dostarczonych im przez Ozari pism będą mogli coś niecoś wywnioskować o zamiarach przeciwników.

Samolot, wiozący Ozari, zbliżając się do linii frontu, podniósł się na olbrzymią wysokość, pragnąc przemknąć się przez, linię niepostrzeżenia.

I rzeczywiście udało się mu to w zupełności ze względu na toczący się właśnie ma miejscu jego przelotu bój artyleryjski i warkot setek motorów aparatów, walczących z sobą poniżej.

Prócz Ozari i pilota w samolocie znajdował się obserwator i specjalista od karabinu maszynowego, spoglądającego przed siebie małym otworem swej lufy.

Obserwator połączył się słuchawką z Ozari.

— Przedostaliśmy się szczęśliwie! — krzyczał, usiłując przewyciężyć huk motoru. — Tutaj będziemy próbowali lądowania! — dodał, wskazując Ozari na rozłożonej przed sobą mapie połączyć, znajdującą się pomiędzy Grodnem, Augustowem i Suwałkami. — To prawie pusty kraj! — wyjaśniał. — W zeszłym tygodniu opuściliśmy się tam, zmuszeni defektem motoru. Przeszło godzinę naprawialiśmy motor i nikt nam nie przeszkodził. Może i tym razem tak będzie! — śmiał się, odsłaniając w uśmiechu zęby krwiożerczego wilka.

Hen w dole zamajaczyła wąska linijka, przewijająca się jasną barwą poprzez ciemno zielone plamy lasów i pól.

Ozari wychyliła się ciekawie.

— Dźwińsk! — objaśniał obserwator, wskazując dłonią szaro żółty punkt, przyklepany do jasnej linii.

Milczący dotąd przy swej „maszynce” podoficer dotknął ręką jego ramienia. Obserwator podniósł na niego pytające spojrzenie. Podoficer wyciągnął dłoń, wskazując jakiś punkt na horyzoncie. Obserwator chwycił za lornetkę.

— Nie nasz! Zdąza ku nam. Za kilkanaście minut przetnie nam drogę! — krzyczał przez słuchawkę do pilota.

ta, który, rozpatrzywszy się za chwilę w sytuacji, skrzył więcej na lewo, oddalając się temsamem od linii kierunku, w którym zdążył dostrzeżony przed minutą aeroplan.

W aeroplanie tym był Pretwicz, powracający nad Ptycz z Rygi, dokąd jeździł celem złożenia raportu naczelnemu wodzowi o zakończonej koncentracji konnej armji.

On pierwszy dostrzegł przecinający im w oddaleniu drogę samolot, wiozący Ozari. Wskazał go pilotowi, który, nie przestając zwracać bacznej uwagi na funkcjonowanie motoru i steru, począł przez lornetkę obserwować tajemniczy aeroplan.

Po chwili, oderwawszy szkła od oczu, zwrócił na Pretwicza zdziwione spojrzenie.

— Żółty! — mówił pospiesznie przez słuchawkę. — To niesłychane! Jakim sposobem mógł się prześlizgnąć przez linję i czego to szuka?

W Pretwiczu odezwała się żyłka myśliwska. Wzrok jego mimowoli pobiegł ku karabinowi maszynowemu, umocowanemu na pokładzie, pomiędzy skrzydłami

— Zapolujemy! Co! — odkrzyknął.

Pilot, młody porucznik o zuchwałych, nieco łobuzerskich oczach roześmiał się z, uciechą. Pochyliwszy się nad motorem, majstrował coś przy kurkach i wentylach. Aparat zdwoił szybkość.

Opór powietrza, rozwianego śmigłą i skrzydłami, wzmógł się do tego stopnia, że wszystkie połączenia stalowego ptaka trzęsły się jak w febrze. Pretwicz zdjął cera-

tową pokrywę z karabinu i byстрыm spojrzeniem zlustrował zaimek i pas z nabojami. Wszystko było w porządku.

Pilot odwrócił się doń i potrząsnął z uśmiechem głową. Pretwicz pojął ten ruch. Oto poczęli się zbliżać ku uciekającemu aeroplanowi.

Po upływie kilkunastu minut odległość dzieląca oba aparaty zmniejszyła się tak znacznie, iż Pretwicz gołym okiem rozróżnił ciemne figury pasażerów.

Uciekający aparat, przekonawszy się, że jest ściganym, począł podnosić się w górę. Polski samolot poszedł za jego przykładem. Po pewnym czasie Pretwicz usłyszał parokrotnie charakterystyczny świst kulki, przelatującej obok. Nie spieszył się jednak z rewanzem. Niebawem aparat polski znalazł się na równym poziomie z japończykiem.

Teraz nastał odpowiedni moment. Spokojnie, nie spiesząc się, Pretwicz skierował lufę karabinu ku trzem figurkom, widniejącym na jasnym, szarym tle płatowca. Karabin działał doskonale. Pretwicz prawie że miał pewność, iż niejedna z jego kul ugrzęzła w kadłubie samolotu. Jednak i japończyk nie próżnował. W pewnym momencie Pretwicz uczuł silne szarpnięcie za lewe ramię. Rzucił wzrokiem. Rękaw lotniczego kozucha, jakim był odziany, rozdarty był podłużną rysą, z której zwisały strzępy waty. Poruszył ramieniem. Nie, nie boli! Pochylił się nad celownikiem, starając się mierzyć dokładnie. Po upływie

kilkudziesięciu sekund jedna z figurek na japońskim płatowcu wzniosła nagłym ruchem ręce w górę i znikła.

Pilot odwrócił wzrok od motoru i spojrział na Pretwicza z uśmiechem. Ten, założywszy nowy pas do magazynu, począł nastawiać celownik na pozostałe dwie figurki.

Nagle aparat japoński nurknął w dół tak szybko, jakby się zapadł w przestworza.

Pretwicz pogonił za nim wzrokiem.

Świsty kul stały się teraz coraz częstsze i wyraźniejsze. Aparat zatoczył nagle tak ostry łuk, że Pretwicz zważył się całym ciałem na ścianę zagłębienia dla obserwatora. Teraz aparaty biegły wprost ku sobie. W ostatnim momencie minęły się tak blisko, że niemal dotknęły się skrzydłami.

Pretwicz, czekający z palcem na cynglu karabinu na ten moment, zamarł nagle w bezruchu. Tam... z tego mijającego go jak burza aparatu, patrzyły nań oczy... Ozari!

Ona! Poznała go, gdyż w ostatniej chwili mijania się wyciągnęła ku niemu dłonie, jak gdyby przyzywając go do siebie. Ozari... zmarła Ozari!

Pretwicz, dysząc ciężko, siedział bez ruchu, utkwivszy nieruchomy wzrok w widniejący w pewnym oddaleniu aparat, który, zmieniwszy kurs, pędził teraz w kierunku frontu. Pilot obejrzał się niespokojnie raz i drugi, Pretwicz ocknął się. Wskazał dłonią znikający na horyzoncie płatowiec.

Pilot nadał aparatowi najszybszy bieg.

Pretwicz czuł, jak pod jego czaszką myśli poczynają uderzać jedna o drugą, rwać się w strzępy, łączyć się z powrotem, aby po chwili zatopić się w jakimś straszliwym chaosie przeblysków świadomości zwidów.

Ozari żyje! Żyje... przecież na świecie niema drugiej kobiety, tak ładną podobnej do niej... niema... nie może być! Zresztą, wyciągnęła przecież ku niemu ręce, jak gdyby w błagalnej prośbie! Poznała go... a więc zatem jest to ona! A może to wszystko jest jakąś potworną halucynacją przemęczonego i mózgu?

Pretwicz zdjął z głowy hełm lotniczy. Ostry powiew świszczącego powietrza ochłodził rozpalone jego czoło. Poczuł, iż powoli wraca doń świadomość.

Nagle wstrząsnął się. Toż on przed chwilą słał ku niej śmiertelne pociski! Poczuł, że krew lodem poczyną się ścinać w jego żyłach. Godził na jej życie... on, który radby dla niej wytoczyć ostatnią kroplę krwi swojej! Przechylił się ku pilotowi i wyrwał z rąk jego lornetę, którą ten przykładał właśnie do oczu.

Trzęsącymi się dłońmi skierował szkła na widniejący przed nimi. w oddalił punkcik. Wpił się w niego głodnym wzrokiem, myśląc w duchu, iż, być może, Ozari w tej sekundzie również przez szkła wpatruje się w ścigający ją aparat.

Minęli już Dźwinę oddawna. Goś jak gdyby domki z kart zamajaczyło przed niani... han, w dole. Spojrzał na

mapę. Rzeżyca! Tak, to może być tylko Rzeżycia! Stąd już blisko do linii frontu.

Przeraźliwy lęk zawirował błyskawicą w jego mózgu, chwycił za gardło i począł ścisnąć ohydnymi szponami. Linja frontu! Czekając zatem Ozari przeprawa pomad setkami dział przeciwlotniczych, których paszcze raz po raz wypluwają w górę pociski, czeka ją spotkanie i walka z setkami aeroplanów, uwijających się rojem ponad linią.

Jeden celny wystrzał, jeden błysk rozerwanego obok aparatu granatu i jego Ozari legnie na ziemi zmiażdżonym od upadku ciałem lub „spłonie żywcem w piekle wybuchów benzynowych. Nie spuszczał wzroku z widniejącego przed nim punktu. W pewnej chwili spostrzegł, jak daleko na przedzie przed japońskim aparatem pojawiły się na horyzoncie trzy cienkie kreski, stające się z każdym momentem wyraźniejsze.

Pilot odwrócił ku niemu uśmiechniętą twarz.

Trzęsąc głową, jak gdyby w wybuchu wesołości, wskazywał wyciągniętą dłoń przed siebie. Pretwicz zrozumiał niebawem przyczynę dobrego humoru towarzysza. Oto owe kreseczki na horyzoncie były aeroplanami białych. Ozy dostrzegą aparat Ozari? Czy zaatakują go? Boże... a on będzie świadkiem straszliwej walki i bezsilnie patrzeć będzie na śmierć najdroższej dlań na świecie istoty! Coś, jak gdyby cichy, rozpaczliwy skowyt wybiegł na jego wargi. Co robić? Jak wyrwać ją z objęć straszliwego niebezpieczeństwa, zbliżającego się nieubłaganie ku niej?

Japoński aparat począł nagle wznosić się w górę. Wiodocześnie pragnął uniknąć spotkania z nadciągającymi aeroplanami, które zagradzały mu sobą drogę ku linii frontu.

Lecz przeciwnik dostrzegł rychło manewr japończyka i niebawem cztery aeroplany wznosiły się coraz wyżej i wyżej, świecąc w blaskach zachodzącego słońca aluminjowemi blachami swych skrzydeł.

Aparat Pretwicza począł również brać wysokość, zamykając temsamem odwrót osaczonemu japończykowi.

Pretwicz dojrzał w oddali dymy, kołujące się nisko nad ziemią. Była to linja bojowa, podobna z wysoka do szarego, przewalającego się kłębamii dymów wału. Wyraźnie widać było już gdzieniegdzie olbrzymie, podobne do różowych kwiatów, wybuchy ognia. Ponad monotony, dokuczliwy warkot motoru począł się wzbijać głuchy huk. Była to zwykła, codzienna od szeregu miesięcy pieśń tysięcy paszcz działowych.

Koło osaczające japończyka poczęło się zacieśniać coraz bardziej. Nagle Pretwicz, z zamarłym sercem obserwujący każdy ruch czterech ptakowi, wydał stłumiony zgrozą okrzyk. Oto aparat japoński leciał w dół, kręcąc się i koziolkując, jak liść, miotany kapryśnymi podmuchami wiatru. Spadał coraz szybciej i szybciej. Pretwicz przymknął oczy, czując, że straszliwa w swej potworności zgroza maći jego zmysły. Jeszcze kilkanaście sekund i aparat japoński, skruszy się w drobne szczątki, spotkawszy się z ziemią.

— Ozami... Ozari! — szeptały poblądłe wargi nie-szczęśliwca, a palce jego kurczowym uchwytem wpijały się w rzemienie pasa, wiążącego go z siedzeniem.

Nagle pochylenie się aparatu otrzeźwiło go. Rozwarł oczy. W tym samym prawie momencie japończyk tuż nad samą ziemią wyprostował się i pognął wprost ku kłębiącej się kurzawie dymów. Za chwilę znikł w niej z oczu goniących.

Pilot zwrócił ku Pretwiczowi twarz, na której, zamiast tryumfalnego uśmiechu, widniał teraz zawód i zmieszanie.

Wzruszył kilkakrotnie ramionami i uczynił ruch ręką, jak gdyby chcąc wyrazić tem bezcelowość dalszego poscigu. Natychmiast też zatoczył ostry skręt w prawo i poszybował na południe.

Pretwicz, zamglonym, na wpół obumarłym wzrokiem obserwował ciągnący się w dole po lewej stronie wał dymów, przeświecających gdzie niegdzie ukazującą się nagle i znikającą momentalnie czerwienią ogni.

To była linja bojowa.

W tych poskręcanych, jak cielsko olbrzymia — węża, dymach, w tych, raniących swą jaskrawością wzrok, krwawych chorągwiach płomieni znikła Ozari.

Znikła... aby utonąć w nich na zawsze, czy też... przemknąć przez nie i wyjść żywą?

Tegoż wieczora, wysłuchując zwykłych codziennych raportów swych adiutantów, Pretwicz zauważył, że rzucone nań spojrzenia wyrażają zadziwienie.

Znalazłszy się późną nocą na swej kwaterze i rzuciwszy mimochodem okiem w zwierciadło, pojął przyczynę zadziwienia swych towarzyszy.

Środkiem głowy, przez czerń włosów biegł srebrny pas siwizny.

XV.

Naczelnny wódz zdecydował, iż nareszcie nadeszła chwila, w której plan jego, wypracowany od dawna w najdrobniejszych szczegółach, ma szansę powodzenia.

Dowódcy poszczególnych odcinków, przybyli do głównej kwatery dla otrzymania związanych z wykonaniem planu instrukcji, po dwugodzinnej, wyczerpującej wszystkie kwestje, przemowie wodza zrozumieli, iż stoją w obliczu wydarzenia mogącego, w razie udania się, zmienić zasadniczo ciągnący się od dawna stan rzeczy i przechylić stanowczo szalę zwycięstwa na stronę obrońców Europy.

W milczeniu z zapartym w piersiach oddechem, słuchali końcowych słów wodza, tchnących niespożytą energią i wiarą w powodzenie.

Słowa te zasugerowały wszystkim. W gros nie tych kilkudziesięciu Wyższych rangą oficerów nie znalazł się ni jeden, któryby nie był pewnym, że wywalczone zwycięstwa jest tylko kwestją kilku... kilkunastu dni zaledwie.

Z tem przekonaniem w duszach Wracali dowódcy na swe odcinki, wioząc z sobą szczegółowo opracowane rozkazy co do działań najbliższych dni i... pewność zwycięstwa.

W tydzień później na całym froncie, od ciemnych wód zatoki Chersonesu, aż po modre, zielonoszare fale zatoki Fińskiej zawrzało piekło. Intensywność ognia europejczyków dosięgła takich rozmiarów, że gdzieniegdzie pierwsze umocnienia żółtych zostały bardzo poważnie naruszone, tak, iż oddziałom azjatów nie pozostawało nic innego, jak opuścić je, oczekując w umocnieniach drugiej i trzeciej linii spodziewanego natarcia białych.

Dowództwo żółtych nie posiadało się z radości. — Widocznie białym uprzykrzyło się już siedzenie w rowach, więc próbują szczęścia w walce ruchowej! Wyśmienicie! Na to tylko czekamy! Parę dni krwawych, może nawet i zwycięskich dla europejczyków zmagają, lecz potem na wy czerpane wysiłkiem armje białych zwałą się, jak taran potworne masy naszych żołnierzy i zachwieją korpusami białych. Rozpocznie się odwrót, lecz my nie odstępimy już cofających się ani ma jeden krok! Nie damy im spocząć, nie damy im opamiętać się... nie wypu-

ścimy ich ze swych uścisków ni na godzinę... ni na moment nawet! Atakują! Ha... jakież to szczęście!

Oddziały bohaterskich synów krainy „Wschodzącego Słońca”, skośnookich chińczyków, posępnych mandżurów, z lubością uczących się w krwi annamitów, wesółych syjamistów, poważnych hindusów i błyskających groźnie białkami oczu malajczyków szalały z radości.

Biali atakują! Nareszcie! Skończy się daremne, mało zadowolenia dające pędzenie w tumanach dymu i kurzu na okopy i fortyfikacje białych! Nadchodził moment, gdy bagnet, zatopiony przez żółtego żołnierza w ciele białego zgrzytnie o kość, gdy ciężke szable, świszczące groźnie spadną z rozmachem na łby nienawistnych europejczyków, gdy nóż malala lub mongoła sięgnie do serca, gdy drapieżne, zakrwawione palce—szpony afgana zacisną się na szyi anglika lub francuza!

Marszałek Jamamoto codziennie rano z uśmiechem wysłuchiwał raportów, donoszących o konieczności opuszczenia pierwszych umocnień z powodu morderczego nieustającego ni na chwilę ognia przeciwnika. Kiwał głową z zadowoleniem i pozwalał cofać się nie tylko na drugą linię... ale nawet udawać konieczność cofania się na przestrzeni kilkunastu kilometrów. Aby tylko wywabić „białych djabłów“ z fortów, których beznadziejne atakowanie kosztuje tyle ofiar... aby wywabić!

A artylerja „djabłów“ biła niemal bez wytchnienia. Jeden tylko wąski pas frontu stał cichy i spokojny. Pasem

tym była przestrzeń pomiędzy ujściem Świsłoczy do Be-rezyny i Borysowem. Tutaj od czasu jedynie do czasu pa-dał strzał, pojawiał się aparat białych, rzucając jak gdyby od niechcienia, dwie... trzy bomby. Pozatem... cicho!

Taki stan rzeczy trwał całe sześć dni.

Siódmego dnia, wczesnym rankiem na okopy i umocnienia żółtych na dotychczas spokojnym odcinku spadł grad pocisków. To, co się działo na całym froncie było jedynie dziecinną zabawką w porównaniu z huraga-nom ognia, jaki szalał na przestrzeni tych niespełna stu kilometrów pomiędzy ujściem Świsłoczy i Borysowem.

Już zaledwie po półgodzinnym ostrzeliwaniu pierw-sze i drugie okopy żółtych znikły z powierzchni ziemi wraz z obrońcami i oddziałami rezerw.

Nie było cała przestrzeni, gdzieby nie upadło kilka, a nawet kilkanaście granatów. Kilkadziesiąt tysięcy armat ziało nieprzerwanym ogniem, setki tysięcy pocisków le-ciało z piekielnym chichotem i świstem w stronę żółtych linji. Zanim dowódcy azjatyccy zdołali ogarnąć umysłem ogrom i potworność ostrzeliwania, zanim zdołali wydać jakie takie rozkazy, uprzedzić swe baterie o ataku białych, zginęli wraz z tysiącami swych podkomendnych, przysy-pani ziemią, bezustanku poruszaną i przerzucaną z miej-sca na miejsce przez tysiączne wybuchy pocisków.

Rezerwy straciwszy nagle połączenie z pierwszemi linjami, rzuciły się naprzód lecz natychmiast prawie po-wstrzymała ich ściana ognia, o przebyciu której nie moż-

na było i marzyć. Więc zatrzymały się w miejscu, osłupiały ze zdumienia i zgrozy.

Tymczasem artylerja białych, unicestwiwszy pierwsze linje obronne, zasłonięta od nieprzyjaciela płachtą dymu i ognia, posunęła się naprzód.

Moment i rezerwy azjatów objęte zostały huraganem pocisków. Zabrzmiały gorączkowe rozkazy oficerów, nakazujące odwrót, lecz ogień zaporowy białych nie dozwalał batalionom wroga poruszyć się ni w przód, ni w tył. Artylerja rezerw próbowała odpowiadać ogniem na ogień, lecz po kilkunastu minutach nie pozostało z niej ni śladu. Rezerwy, unieruchomione setkami pocisków, marły na miejsc.

Po upływie trzech godzin gdy dym i pył rozszedł się nieco, przed oczaimi artylerzystów europejskich ukazała się równina, na której nie było już... nikogo.

Linja frontu była przerwana.

W przestrzeń tę rzuciły się tysiące aeroplanów białych, aby bombami swemi powstrzymać ewentualne nadciąganie posiłków żółtych.

Cała zaś zmasowana na tym odcinku artylerja poczęła bić niestrudzenie w oba skrzydła rozerwanej linji, unie możliwiając temsamem zamiar „zlutowania” pękniętej obręczy frontu.

Wówczas, w ten pas ciszy i śmierci, pas wolny całkowicie od żółtych żołnierzy, wbiegła kawalerja Pretwicza. Szły pułki za pułkami, dywizjony konnej artylerji

za dywizjonami, żegnane zdumionym wzrokiem przez artylerzystów, którzy przed chwilą pracą swą otworzyli pułkom tym przejście przez front. Zdumionym, gdyż nikt z nich nie widział dotąd tak potwornie wielkiej ilości ludzi i koni.

Pędziło to wszystko w szalonym pośpiechu, chcąc jak najprędzej znaleźć się poza pasem frontu. Patrzącym na przemarsz ten mąciło się w oczach od bezustannie mijających ich galopujących szeregów. Cały dzień i sporą część nocy szła fala, której zdawało się, nie będzie końca.

Tymczasem aeroplany białych zasypywały gradem bomb spieszące ku miejscu pęknięcia linii dywizje złotych. Jak uprzykrzone muchy uwijały się rojami nad każdym pojawiającym się na równinie bataljonem i dziesiątkowały go, zanim zdołał przebiec kilkaset kroków.

Dowódcy posiłków poczęli tracić głowę. Gryźli z wściekłości pięście do krwi, nie mogąc posunąć się naprzód, jakkolwiek ciągle, przejawiające zdenerwowanie i niepokój rozkazy nakazywały im natychmiastowe podążanie na miejsce przzerwania linii. Lecz zaledwie komendy oficerów zdążyły poderwać na nogi, kryjące się w zaroślach i rozpadlinach gruntu bataliony, zaledwie zdążyły się one zewrzeć w szyk pochodny, jak natychmiast rozpoczął padać z góry grad pocisków, zmuszający oddziały do rozbijania się na małe grupki i szukania osłony w lasach i wąwozach.

Kilkaset aeroplanów japońskich, przybyłych nareszcie na plac bitwy, nie zdołało poprawić sytuacji. Przewaga białych w powietrzu była przygniatająca. Zuchwali aż do szaleństwa lotnicy japońscy w pojedynkę rzucali się na całe gromady powietrznych swych przeciwników, lecz szaleństwo nie zdołało przechylić na ich stronę szali zwycięstwa. Jeden po drugim padały na ziemię aparaty japońskie, znaczone na skrzydłach czerwonymi słońcami. Po krótkiej utarczce lotnicy japońscy dali za wygraną, znikając na horyzoncie. Nikt ich nie gonił. Biali „rycerze powietrzni” snuli dalej swe krwawe dzieło zniszczenia rezerw i posiłków azjatyckich.

Część aparatów pomagała artylerji w atakach jej przeciw skrzydłom przerwanej linji, które, zmuszone intensywnością napastniczego ognia, poczęły się zwijać coraz szybciej i szybciej.

Na trzeci dzień wieczorem wyrwa rozszerzyła się na północnym krańcu, aż do kanału łączącego Berezynę z Ułanką, dopływem Dźwiny, a na połudiu aż do Bobrujska.

Tymczasem pierwsze oddziały Pretwicza dosięgły już Orszy, w której były olbrzymie składy żywnościowe i amunicyjne armji azjatów, działającej na linji Berezyny. Rozpaczliwa obrona kilkunastu bataljonów chińskich i tybetańskich, stacjonujących w Orszy, nie zdołała obronić miasta, ni też składów. Za chwilę z batalionów tych nie pozostało nic, zaś potworne języki płomienia poczęły

przerzucać się błyskawicznie z jednego budynku magazynowego na drugi. Nie upłynęło i godziny, jak całe to miasto składów, szop, hangarów, magazynów, ciągnących się długimi szeregami, przedstawiało jedno morze płomieni, szalejących bezkarnie.

Przy blasku tego potwornego pożaru, przy huku i trzasku, pękających w ogniu setek tysięcy pocisków artyleryjskich i karabinowych. Pretwicz szykował swoje oddziały do krwawego dzieła.

Meldunki lotników, towarzyszących konnej armji, doniosły, iż ze Smoleńska, Mohylewa i Witebska wyruszyły silne oddziały żółtych, najwyraźniej w celu osadzenia armji Pretwicza w miejscu i następnie osaczenia jej w trójkącie, formowanym z dwóch boków przez Dźwinę i Dniepr i z trzeciej strony przez linię kolejową Smoleńsk — Witebsk.

Pretwicz podzielił swą armję na trzy nierówne części.

Jedna z dwóch mniejszych części, dowodzona przez generała francuskiego Clarmont wyruszyła w stronę Smoleńska na spotkanie zbliżających się oddziałów żółtych. Miała ona za zadanie zatrzymanie nacierających jak najdłużej, udając chęć przedarcia się ku Smoleńskowi. Druga część, pod dowództwem sir Reginalda Drummonda, generała armji wielkobrytyjskiej, poszła z tym samym celem na Mohylów.

Sam Pretwicz z lwią częścią siwej armji pośpiesznymi marszami udał się na spotkanie wroga, dążącego od Witebska.

W lasach, o kilkadziesiąt kilometrów od Orszy przed nie straże Pretwicza natknęły się na wroga.

Pretwicz, pozostawiwszy część sił na miejscu, błyskawicznym ruchem przesunął się wydłuż lewego skrzydła nieprzyjaciela, usiłującego uzyskać kontakt z oddziałami, maszerującymi ze Smoleńska i oskrzydlił dywizje żółtych, zanim te zdołały się zorientować w położeniu.

Rozpoczęły się dzikie walki wśród zarośli i gąszczów leśnych. Rozciągnięte w kolumny marszowe bataljony azjatów, nie zdołały utworzyć jakiegokolwiek linii bojowej, gdyż napady jeźdźców Pretwicza następowały tak szybko jedno po drugim, że niebawem zamiast jednej bitwy zawrzało ich setki.

Dowodzący żółtymi, generał Maroschima, straciwszy nadzieję na połączenie się i wspólne działanie z oddziałem, dążącym ze Smoleńska i widząc całą bezsensowność toczenia równocześnie kilkudziesięciu potyczek, dał rozkaz do odwrotu, mając zamiar skupienia swych sił, rozwinięcia ich w linię i zaatakowania nieprzyjacielą w kierunku na Smoleńsk.

Lecz oddziały jego talk już były uwikłane w lokalne walki, że rozkazów tych wypełnić nie mogły. Czoło armji Maroschimy poczęło się cofać, wystawiając temsamem prawe skrzydło armji na ataki pułków białych, pozosta-

wionych przez Pretwicza celem zagrodzenia drogi pochodowi żółtych.

Niektóre bataliony Maroschimy nie otrzymały rozkazów o cofnięciu się, gdyż otaczała je zewsząd ruchliwa fala atakujących bezustannie szwadronów. Bataliony te, nie wiedząc o niczem, trwały w miejscu, lub krwawiąc obficie, usiływały posuwać siłę naprzód.

W wydłużonym pasie wojsk Maroschimy potworzyły siłę wskutek tego luki, w które momentalnie wdarła się atakująca konnica. Powstał chaos. Połączenie pomiędzy poszczególnymi oddziałami żółtych zostało przerwane.

Bitwa, trwająca od świtu, po południu zamieniła się w chaotyczne walki, w których każdy nie ledwie batalion żółtych pozostawiony był samemu sobie. Maroschima stracił zupełnie panowanie nad swymi rozproszonymi i zawikłanymi w bezustanne walki oddziałami. Na dobitkę żółtym poczęła się wyczerpywać amunicja, gdyż Pretwicz odłączył zaraz na początku walki dwanaście pułków ułanów polskich i dragonów francuskich i poleceniem bezustannego atakowania taborów japońskich.

O godzinie siódmej wieczorem armia Maroschimy tak dobrze, jakby nie istniała. Gdzie niegdzie, w lasach brzozowych lub olszowych, w kępach zarośli na obszarowych polanach broniły się z rozpaczą w sercu niedobitki! żółtych, goniąc resztkami amunicji i sił.

Maroschima, widząc straszliwą klęskę swej armji, usiłował wycofać się z częścią wojsk ku Witebskowi, lecz

na pozbawionego artylerii, skoro tylko wysunął się z lasów na równinę, spadła jak piorun szarża trzydziestu prawie pułków konnicy, wspomaganą intensywnie przez konne dywizjony artyleryjskie.

Opór żółtych trwał krótko. Poszarpane, rozbite na części szarżami oddziały żółte zachwiały się i, widząc nieuchronną zgubę na równinie, poczęły się cofać ku lasom, tracąc po drodze łączność między sobą,

Pułki Pretwicza miały teraz łatwe zadanie. Kilkanaście szarż, przypuszczonych ze wszystkich stron, rozbiło bataliony żółtych na kompanje, kompanje na plutony, te zaś ostatnie na poszczególne grupki, broniące się rzadkimi strzałami przed walącymi się zewsząd jak burza jeźdźcami

Pogrom żółtych był kompletnym.

Siwowłosego generała Maroschima, rany śmiertelnie od pchnięcia ułańską lancą w pierosi, dogorywali, sztabowcy jego legli pokotem, osłaniając piersiami swego zwierzchnika.

Tabory wpadły w ręce zwycięzców.

Niedobitki Maroschimy, po dwóch, trzech kryli się w zaroślach, wyłapywani przez oddziały konnicy, przebiegające rozległe pole bitwy.

Pretwicz, pozostawiwszy parę pułków na miejscu celem obserwowania drogi witebskiej, całą swą siłą podążył na Smoleńsk, przed którym uwijał się Clermont, naciśkamy coraz silniej przez nieprzyjaciela.

Pomimo pokaźnej ilości artylerii nie zdołał on powstrzymać nacierających nań dywizji wroga, złożonych z bitnych górali Butangu, Annamitów i śniadych synów Bengalu, prących nań szarokim frontami.

Korpusem, działającym przeciwko niemu dowodził młody książę Sambalpur, radża Lahory, mający sławę znakomitego strategika.

Wiedział on już o klęsce, jaką poniósł Maroschima, lecz pewnym był, że Pretwicz pociągnął ku Witebskowi, aby opanować ten ważny punkt przeprawy przez Dźwinę. Uzyskawszy więc przez Andruszów kontakt z korpusem, dążącym od Mohylewa, nacierał na Clermonta coraz potężniej, oczekując lada chwila wmieszania się do walki korpusu Mohylońskiego.

Młody radża cieszył się już w duchu myślą, że zepchnąwszy Clermonta ku Orszy, odetnie go temsamem od Praticza. Dalej plan jego przedstawiał się następująco: korpus Mohylewski, uderzając z boku, dokończy całkowicie pogromu Clermonta; połączywszy się z nim pociągnie za Pretwiczem, przypierając go temsamem do Dziwimy.

Tymczasem Pretwicz po całonocnym, forsownym marszu znalazł się o świtaniu na prawym skrzydle Sambalpura. Ukryty w lasach czekał momentu, gdy gros sił radży, zawikławszy się w walkę z Clermontem, wciągnięte zostanie do akcji.

Rankiem Sambalpur nakazał natarcie na całej linii.

Artyleria jego zawiązała pojedynek z artylerią Clermonta. Pod jej osłoną bataljony Annamitów i hindusów poczęły powoli wypierać szczupłe stosunkowo oddziały białych.

Lecz uparły francuz nie ustępował tak łatwo.

Korzystając z zalesionego terenu, bronił się zacięcie, wyzyskując każdy lasek, każdą kępę drzew. Jednakowoż widocznem było, że wobec spoistości nieprzyjacielskiej linii nie może działać natarciami kawalerii, co mogłoby do pewnego stopnia zrównoważyć wzajemne siły. Około południa radża ruszył swe rezerwy, aby od lewego skrzydła zagroziły linii francuza.

Na to tylko czekał Pretwicz.

Korzystając z zarośli i lasów pociął zasuwać się na tyły pozycji Sambalpura. Niebawem lewe jego skrzydło osiągnęło brzeg Dniepru.

Cicho, unikając szos i ruchliwych dróg dążyły naprzód szwadrony Pretwicza, wsłuchując się w coraz wyraźniejszy huk armat Sambalpura.

Około godzimy czwartej przedmie strażę, wychyliwszy się z lasów, ujrzały przed sobą pole bitwy. Tuż przed niemi stały baterje radży, ostrzeliwując przeciwległe lasy, w których trzymał się Clermont.

Pretwicza od tego ostatniego dzieliła rozległa równina, zajęta obecnie przez bataljony radży, posuwające się powoli lecz stale ku lasom.

Żołnierze Pretwicza widzieli bitwę, jak na dłoni. Oto co chwila, na szerokiej równinie podrywały się z ziemi głębokie linje annamitów i hindusów i biegły naprzód. Wówczas od strony lasów poczynąły zajadle szczekać karabiny maszynowe, trzaskały salwy wystrzałów karabinowych i linje atakujących przypadały do ziemi, aby po paru minutach poderwać się znów do biegu.

Pretwicz dał znak.

Szwadrony jego rozwinęły się na skraju lasu w olbrzymią linję. Dywizjony artyleryjskie szły tuż za szwadronami.

Jak wichur pomknęło wszystko ku linjom baterji. Zanim żółci artylerzyści zdolali ogarnąć wzrokiem i myślą zbliżające się niebezpieczeństwo, jeźdźcy siedzieli im już na karkach, tnąc, tratując, waląc wszystko na ziemię.

Zaledwie parę salw zdołały oddać niektóre z baterji Sambalpura. Kanonierzy, zbijając się gromadkami, przy armatach, bronili się zaciekle, lecz nic nie mogło powstrzymać impetu rozszalałych jeźdźców i koni.

Większość szwadronów, minawszy stanowiska artylerji uderzyła na tyłowe oddziały piechoty, biorąc je nu lance i szable.

Dywizjony artylerji zajęły miejsca stanowisk artylerji przeciwnika i poczęły gęstym gradem grantów i szrapneli obsypywać linje Annamitów i hindusów na równinie. Lekkie samochody pancerne, towarzyszące armji Pretwi-

cza wżarły się głęboko pomiędzy oddziały radży, siejąc wokół popłoch i zniszczenie.

Clermont dostrzegłszy co się dzieje, począł atakować, pędząc przed sobą wroga, który zaledwie przed chwilą docierał do jego linii obronnych.

Sambalpur miał dwie drogi do wyboru. Albo zwrócić się całym frontem przeciwko Prewiczowi, lub też zepchnąć ostatecznie Clermonta w lasy i samemu w nich szukać osłony przed wściekłymi atakami kawalerii.

Lecz brak rezerw uniemożliwił mu tak jedno, jak i drugie. Zresztą nie było już na nic czasu.

Pozostawało tylko jedno— skupić się i masą stawić czoło naporowi jezców. Pułki Annamitów i hindusów poczęły się łączyć z sobą, tworząc większe skupienia, błyskające ogniem i lśniące stalą bagnatów.

Niebawem uformowały one olbrzymie kolisko, wokół którego uwijały się masy kawalerii, nadaremnie próbującej wedrzeć się klinem w zbity mur wroga.

Zdawało się, że nic nie zdoła naruszyć tych szeregów żółtych wojowników, stojących ścianą ramię przy ramieniu.

Szwadrony poczęły odpływać, przepędzone ogniem azjatów. Wokół koliska utworzyła się pusta przestrzeń.

Lecz nagle dywizjony artylerii konnej i działa samochodów pancernych poczęły bić nieprzerwanie w kolisko. Artylerja Clermonta, wysunąwszy się z lasów, coraz skuteczniej poczęła popierać ogień baterii Pretwicza. Tysiące

pocisków ryły głębokie bruzdy w szeregach żółtych, pękało nad koliskiem, zasypując je odłamkami stali i kul.

Po upływie kilkunastu minut kolisko rozprysło się na, wsze strony. Każdy z tych wspaniałych żołnierzy, widząc bezcelowość trwania bez ruchu pod deszczem pocisków, szukał ratunku w ataku, w starciu się z przeciwnikiem wręcz.

Pędziły więc gromady zaciekłych, milczących annamitów i gardzących śmiercią synów Indii ku artylerii Pretwicza pragnąc szalonym natarciem zatkać paszcze tym nieubłagany działom, plującym na nie żelazem.

Artyleria podwoiła swą sprawność. Wystrzały zlały się w jeden, ogromny, potworny huk.

Armaty jak gdyby dławily się swą silną, wyplwaną przeciw tym groźnym szeregiem zbliżającym się szalonym pędem.

Wyraźnie dostrzec można było spustoszenie, jakie czynią działa w tłumie biegnących. Całe szeregi znikwały, jak kosą podcięte, szarpanie powornymi wybuchami pocisków, koszone gradem kul karabinów maszynowych.

Padaly tysiące... i jeszcze tysiące, lecz widocznem było, że ostatnie szeregi tych straceńców dopadną dział.

Wówczas wściekłości ich nie ostoi się nic.

Lecz nagle, jak gdyby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, huk dział urwał się, jak nożem ucięty.

Z poza pozycji artylerii poczęły wysuwać się szwadrony i paniki konnicy.

Moment... i cała ta masa koni i ludzi, chrzęszcząca obnażoną bronią runęła ku nadbiegającym.

Natarcie było tak szybkie i gwałtowne, że bataliony żółtych nie miały czasu zatrzymać się w ciągu, ni złożyć do strzału, ni pociągnąć za cyngiel.

Przeraźliwy dźwięk szabel uderzających o bagnety i lufy karabinów, zagłuszył okrzyki, wydawane przy ataku przez nacierających.

Lecz natychmiast zapanowało milczenie.

Dwie ściany: ludzi i koni poczęły się zmagać ze sobą. Co chwila nadbiegały nowe szwadrony i, upatrzawszy wolne miejsce do natarcia, przyłączały się do walki.

Po pewnym czasie bataliony żółtych zaczęły się cofać, zrazu powoli, krok za krokiem, potem coraz, prędzej i prędzej.

Szable nacierających wznosiły się błyskawicznie w górę i opadały, grzęznąc w ludzkim ciele.

Niektóre szwadrony zdołały się wedrzeć tak głęboko w ciżbę żółtych, że wyglądały zdała, jak wysepki otoczono-przewalającą się bezustannie falą głów i wzniesionych ku nim rąk.

Nagle głośnie okrzyki, u tentant tysięcy koni rozległy się na tyłach batalionów azjatyckich.

To Clermont, ściągnąwszy siły, pędził do ataku, rozpraszając po drodze drobniejsze oddziały przeciwnika.

Przeszło sześćdziesiąt szwadronów, jak gdyby taranem, uderzyło o ściśnięte szeregi nieprzyjaciela, roztrącając je na boki.

Z tą chwilą rozpoczęła się zupełna zagłada armii radży. Niebawem masa żółtych rozbita została na parę drobniejszych gromad, które otoczone przewalającą się wciąż falą kawalerzystów, marły w milczeniu, odpłacając ciosem za cios. Lecz gromady te topniały w oczach.

Sambalpur, mając wokół siebie sztab i garstkę swej gwardii przybocznej, walczył jak prosty żołnierz z rewolwerem w ręku. Jeden po drugim padali jak dęby olbrzymi — gwardziści zwaleni z nóg naporem końskich piersi, rażeni ciosami szabel i pchnięciami lanc.

Wreszcie zostało lich wokół radży tylko paru oraz trzech, czy czterech sztabowców.

— Poddajcie się! — krzyczał Clarmont, przeciskając się ku nim przez tłum kawalerzystów, otaczających szczupłą garstkę zwartym kołem.

Radża podniósł rewolwer i skierował go ku wołającemu.

— To dla pana, generale! — rzucił, pociągając za cyngliel! — A to... dla mnie!

Przyłożył lufę do ust i w tej chwili zwałił się na jednego z padających gwardzistów.

— Zuch chłop! — mruknął Clermont, poprawiając ruchem dłoni czako, przestrzelone kulą radży. — No... dziękuję koledze! — zakrzyknął do zbliżającego się Pre-

twicza. — Gdybyście się nie zjawili w porę, byłoby ze mną krucho! Co robimy? — dorzucił, zapalając papierosa.

Pretwicz obrzucił wzrokiem pobojuwisko.

— Sześć godzin odpoczynku i... naprzód!

— W którą stronę?

Oczy Pretwicza zaświeciły ponurym ogniem.

— Na Tawaschiki'ego! — rzucił przez zęby.

Francuz spojrział na niego uważnie.

— Prawda, że to wy macie z nim porachunki kolego! Mówił mu o tem Macready, który twierdził, że ten potwór zabił pannę Ozari...

— Ozari żyje! — rzucił Pretwicz.

Clermont zdumiał się.

— Skąd wiecie, kolego? I gdzie ona jest? — pytał z zainteresowaniem w głosie.

Pretwicz zagryzł wargi.

— Zapewne przy Tawaschiki'm! — rzucił przez zęby.

Clermont podniósł brwi w górę.

— Rozumiem! Ano... więc ma Tawaschiki'ego?

En a vaint!

XVI

Dywersja konnej armii Pretwicza uczyniła szalony popłoch wśród żółtych wojsk, nacierających na północną część środkowego odcinka linii europejczyków.

Rozdarcie frontu na linii Berezyny i znalezienie się oddziałów Pretwicza na tyłach atakujących zmieniło zasadniczo sytuację bojową obu stron.

Miejsce rozdarcia rozszerzało się z każdym dniem, z każdą niemal godziną coraz więcej i więcej, gdyż biali atakowali bezustannie, zmuszając temsamem żółtych do zwijania swych skrzydeł w miejscu przełamania frontu.

Dwadzieścia sześć dywizji francuskich, kanadyjskich i polskich, poparte intensywnym ogniem artylerji i akcją przeszło trzech tysięcy aeroplanów, runęło jak burza z miejsca rozdarcia na prawe skrzydło nieprzyjacielskie. Walka była zażarta.

Dywizja koreańskie, wspomagane przez oddziały rosyjskie, broniły zaciekle każdej piędzi ziemi, lecz wobec przewagi artylerji europejskiej, dziesiątkowane przez spadające jak grad bomby lotnicze poczęły się cofać, zrazu powoli i w porządku. Jednak oddziały rosyjskie nie wytrzymały szalonego napięcia nerwów, jakie wymagała walka, prowadzona w tych warunkach. Pierzchnęły, porzucając broń i pociągając za sobą bataljony koreańczyków. Popłoch był tak wielkim, że biali, rosnąc z każdą chwilą w siłę, dotarli aż do Dźwiny. Tutaj, przy przeprawie bataliony żółtych próbowały jeszcze raz stawić opór, lecz bezład, jaki panował w tych masach, stłoczonych na

brzegu rzeki, rychle uniemożliwił jakąkolwiek akcję odporną przeciw nacierającym, których wsparło uderzenie dywizji angielskich od strony Dźwińska.

Większa część żółtych zepchnięta została do Dźwiny, która w dniu tym zabrała chciwie tysiące istnień ludzkich. Część zdołała rozpaczliwym wysiłkiem przebić się przez zwierający się od południa stalowy uścisk europejczyków i w panicznym popłochu cofała się w kierunku Witebska i Smoleńska.

Lecz nieszczęsnych niedobitków spotkała okrutna niespodzianka.

Oto dowódca jednej z grup konnej armji Pretwicza, generał angielski Drummond, który na początku natarcia kawaleryjskiego markował zamiar uderzeni na Mohylów, obecnie na skutek rozkazu Pretwicza, odczepiwszy się z łatwością od nieprzyjaciela, dążył spiesznymi marszami ku Witebskowi, celem połączenia się z Pretwiczem i Clermontem.

Minąwszy Orszę, natknął się on na gromady cofających się od Ułanki niedobitków z pod Lepla i Dźwiny. Objęte panicznym przerażeniem masy, zdezorganizowane i pozbawione w większości wypadków amunicji, nie mogły stawić czoła rozentuzjasmowanemu zwycięstwem pułkom Drumonda. Ginęły przeto tłumnie, zwłaszcza, iż Pretwicz, będąc niespokojnym nieco o los Drummonda, po bitwie z Sambalpurem odłączył od głównej masy swej armii kilkanaście pułków, polecając im udanie się w kie-

runku Orszy celem ewentualnego okazania pomocy Drummondowi.

Pułki te, napotkawszy korpus Drummonda w chwili walki, znakomicie przyczyniły się do kompletnego rozgromienia cofających się oddziałów koreańczyków i rosjan.

Zasławszy za sobą krwawym pokłosem pole, połączył się Drummond z całą armią pod Witebskiem.

Równocześnie z nim przybyły tutaj pierwsze pościgowe oddziały białych z pod Dźwiny.

Pretwicz, po parugodzinnym odpoczynku, ruszył wzdłuż Dźwiny w stronę Wieliza. Tutaj przebyto Dźwinę.

Konna armia działała już w rejonie armii Tawaschiki'ego.

Należało się spodziewać, że Taiwaschiki dołoży wszelkich starań, aby Pretwicza osadzić w milejscu.

Otrzymaawszy wiadomość o przekroczeniu Dźwiny przez europejską kawalerję, Tawaschiki ruszył ku niej wszystkie swe rezerwy, rozłożone na linii Witebsk — Newel — Wielkie Łuki.

Jednocześnie podniósł na nogi całą armię konną Amura, stojącą w Starej Rusie i pchnął ją przez Chołm na przecięcie drogi Pretwiczowi. Niezależnie od strony Smoleńska, Wiazmy i Rżewa, wyruszyły silne korpusy, celem ostatecznego osaczenia konnej armii.

Lecz Pretwicz i jego kawaleryjskie pułki, zda się, miały skrzydła u ramion. Zanim rezerwy japońskie, dążą-

ce do Newła, zdołały zastąpić mu drogę, przemknął się on im tuż pod nosem i, pędząc forsownie wzdłuż prawego brzegu Dźwiny, dotarł do linii kolejowej, biegnącej z Moskwy przez Rzew ku frontowi.

Linji tej, jako szczególnie ważnej dla armii. Tawaischiki'ego, pilnowały silne oddziały piechoty japońskiej, ściągnięte tutaj na gwałt w ostatniej chwili.

Na oddziały te natarły ciemną nocą pułki Pratwicza. Atak spieszonych kawalarzystów, poprzedzony huraganowym ogniem artylerji konnej, zmusili japończyków do cofnięcia się.

Nie szczędząc ofiar z życia swych żołnierzy, Pretwicz całą noc pracował nad rozszerzeniem pęknięcia frontu i zdziałał to, że kiedy pierwsze blaski słońca padły na ziemię, wyłom w linii obrońców toru kolejowego był tak wielkim, że ciała armia Pretwicza miała przed sobą wolną drogę.

Most na Dźwinie wysadzono w powietrze, tor kolejowy zniesiono kompletnie na przestrzeni trzydziestu przeszło kilometrów, przecinając tem samym bezpośrednie połączenie armii Tawaischiki'ego z Moskwą.

Rzecz prosta, że oddziały pościgowe wysłane z Rzewia i Wiazmy nie zdołały dosięgnąć Pretwicza, a tem bardziej przeciąć mu drogę.

Jedynym nieprzyjacielem, jaki go mógł dosięgnąć był Kamuru, który na czele swej armii gnał dzień i noc na spotkanie wroga.

Lecz Pretwicz zamiast zmierzyć się z nim po sforsowaniu linii kolejowej Moskwa — Wielkie Łuki, przekroczył z powrotem Dźwinę, kierując się ku ogołoconemu z wojsk Rzewowi.

Ruchy jego były tak błyskawiczne, że zanim główne dowództwo żółtych zdołało się zorientować co do jego planów, on już zajął Rzew, przerywając temsamem po raz już drugi linię kolejową i niszcząc olbrzymie zapasy amunicji i kilkadziesiąt parków lotniczych, znajdujących się na tamtejszym lotnisku.

Jednocześnie polscy i francuscy lotnicy, towa rzyszący jego armii, zrobili wypad na Moskwę, którą, miano dywersji lotników. japońskich obrzucamo sowicie bombami. Poza tem eskadry angielskich lotników, korzystając z zaabsorbowania japończyków powietrznym napadem na Moskwę, diotarły niepostrzeżenie do Sierpuchowa, leżącego na południe od stolicy rosyjskiej, niszcząc całkowicie most kolejowy, przerzucony pod tym miastem przez Okę.

Tym sposobem bezpośrednie i najbliższe połączenie między Moskwą, a Charkowem zostało na powien czas przerwane.

W sztabie marszałka Jamamoto zapanował niepokój. Rozdarcie frontu na Berezynie okazało się groźniejszym, niż zrazu przypuszczano. Lecz sytuację miały naprawić masy rezerw, przerzucanych na gwałt z innych odcinków

frontu, oraz z centrów rezerwowych, znajdujących się głęboko na tyłach frontu.

Tymczasem szalona dywersja Pretwicza zatamowała na pewien czas ruch wojsk na liniach: Smoleńsk — Borysów, Smoleńsk — Połock, Moskwa — Wielkie Łuki oraz na nowej linii, wybudowanej przez japończyków od Rosławla do Borysowa. Linję tę udało się zepsuć Drummondowi, przez wysadzenie mostu na Dnieprze pod Mohyłowem. Teraz, znów zostało przerywanie połączenie między Moskwą i Charkowem, połączenie, stanowiące trzon pozafrontowych komunikacji żółtych.

Jamamoto szalał wściekłości. Degradacje, wyroki sądów polowych posypały się jak grad na niefortunnych dowódców przerwane go odcinka.

Tymczasem Pretwicz i jego dywizje zażyły trzy dni owego odpoczynku w Rżewie. Zniszczywszy na dalekiej przestrzeni tor kolejowy z obu stron Rżewa, Pretwicz niezbyt się przejmował tem, że ze wszystkich stron dążyły ku niemu ściągane na łeb na szyję zewsząd rezerwy żółtych. Korzystając z olbrzymich zapasów żywności i paszy, znajdujących się w Rżawie, odpasał on utrudzonych żołnierzy i konie, którym ciągle forsowane marsze począły się porządnie dawać we znaki.

Wreszcie, otrzymawszy od lotników wiadomość, że konna armia Kamuru przekroczyła już Dźwinę, nakazał pochód.

I tutaj, jak w Orszy, nastąpiło rozczłonkowanie się jego armji. Wyruszyła ona co prawda cała z Rżewa ku północo-zachodowi, jak gdyby dążąc ma spotkanie Kamuru, lecz o półnia marszu w głuchych lasach nad Wołgą, rozdzieliła się na trzy grupy. Drummond z połową armji pociągnął ku Dźwinie. Pretwicz i Clermont, każdy ma czele trzydziestu pułków kawalerjii i minimalnej ilości dywizjonów artylerji przeprawili się przez Wołgę, klucząc tak, iż późną nocą znaleźli się z powrotem naprzeciw Rżewa. Stąd Cleranont pociągnął lasami wzdłuż lewego brzegu królowej rzek rosyjskich na Twer.

Pretwicz, przekroczywszy jeszcze raz Wołgę, począł skradać się wśród gąszczów i błot ku Moskwie.

Zamiar jego był szalonym. Lecz właśnie takie, szaleństwem tchnące zamiary, poparte wysiłkiem woli i energii udają się zazwyczaj.

Od Moskwy dzieliło go prawie dwieście kilometrów. Przestrzeń tę przebył w ciągu trzech dni, nie natknąwszy się ni razu na oddziały żółtych. Zresztą dowództwo japońskie było przekonane, iż cała siła Pretwicza podążyła na spotkanie zbliżającego się Kamuru.

W sztabie głównej kwatery marszałka Jamamoto, późnych wieczorem odbywała się właśnie narada, przybyłych drogą lotniczą dowódców: poszczególnych armji. Debaty i spory były nader gorące. Nacisk białych stawał się z dnia na dzień coraz więcej energiczniejszym, i skutecznym, ku czemu w wielkiej mierze przyczyniła się ak-

cja dywersyjna armji Pretwicza, krzyżująca i obracająca w niwecz wszelkie rachuby sztabu Jamamoto na prawem skrzydle środkowego odcinka.

Armja Tawaschiki'go pomimo nadludzkich wysiłków zmuszona była do gwałtowniejszego zwijania swego lewego skrzydła, zawieszzonego w powietrzu. Wzięcie Witebska przez białych i opanowanie linii Dzwiny na przestrzeni od tego miasta aż do Dżisny stwarzało groźne nliebezpieczeństwo, gdyż przez to groziło Tawaschiki'emu zaatakowanie jago armji z dwóch stron.

Większość dowódców była zdania, iż należało jak najszybciej zlikwidować akcję Pretwicza, rozprzegając ład i wnosząc popłoch na tyłach walczących armji.

Tawaschiki, zaznajomiwszy kolegów z sytuacją, pod kreślił, iż niema wielkiej nadziei, aby konne oddziały Kamuru zdołały rozbić lub zmusić do cofnięcia przewyższającą je liczbą i sprawnością konną armję europejczyków.

Kamuru miał za zadanie zawikłanie Pretwicza w walkę i wstrzymanie go na miejscu do czasu przybycia korpusów rezerwowych z Moskwy, które nadały otoczyć europejczyków od wschodu.

Uszkodzoną linię Moskwa — Wielkie Łuki poprawiano na gwałt i właśnie dzisiaj odeszły w kierunku Rżewa pierwsze transporty oddziałów, skierowanych przeciw Pretwiczowi.

Zguba jego zdawała się być temsamem nieuchronną. Celem uniemożliwienia Pretwiczowi cofnięcia się na południe wyruszyła z Wiazmy silna kolumna żółtych, złożona z Tybetańczyków i drugiego korpusu hindusów. Kolumna ta maszerowała dzień i noc w kierunku Bielska, zamykając temsamem Pretwiczowi jedyną drogę odwrotu.

Zagłada jego armji miała się dokonać w trójkącie, formownym przez wypływające z wyżyn Wałdajskich Dźwinę i Wołgę.

W trakcie obrad odwołano szefa sztabu gen. Higuschi, który po paruminutowej nieobecności powrócił do obradujących widocznie wzburzony i jakby zmieszany.

Jamamoto podniósł na niego siwe sępie, przekrwione przez bezsenność i wysiłek umysłu oczy.

— Twer wzięty! — rzucił Higuachi wśród ogólnego milczenia.

Marszałek patrzył nań, jak gdyby nie rozumiejąc jego słów.

Dowódcy armji pochyłili się nad mapami.

— Twer wizęty... połączenie między nami i armją północną przerwane! — kończył ponuro Higuschi.

Jamamoto wparł w niego roziskrzony wzrok.

— Kto? — wykrztusił, czując, że fala krwi zalewa jego mózg.

— Pretwicz! — odpadł Higuschi. — Most na Włodze zniszczony... wszystkie składy i magazyny spalone i wysadzone w powietrze.

— Przecież Pretwicz pociągnął na Kamuru!

Jakżeż więc mógł atakować Twer? — uniósł się Tawaschiki.

Higuschi wzruszył ramionami.

— Pretwicz... tak donosi generał Tai-Pe, dowódca dwudziestego ósmego korpusu. Napadnięto nocą... niespodziewanie i...

Słowa jego przerwał głos dalekich wystrzałów armatnich.

Obradujący, spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.

— Co to jest? — szepnął któryś, idąc ku oknu.

Huk dział wzmagał się z każdą sekundą. Jednocześnie tuż, jak gdyby o kilkaset kroków od budynku, w jakim obradowano, rozległo się parę wybuchów, w których wprawne ucho wojskowych poznało natychmiast trzask pękających granatów.

Jamamoto zerwał się z krzesła z przekleństwem na ustach.

Generałowie rzucili się ku oknom.

Daleko poza miastem, na wzgórzach Worobjewych widać było błyski wystrzałów armatnich. Jakaś artyleria biła wprost w miasto. Gdzieś na jego krańcach rozległ się nagle głuchy gwar, wśród którego przebijał się warkot karabinów maszynowych.

— Bunt? Poszaleli ci ludzie? — wybuchnął Jamamoto, opierając się ciężko na parapecie okna.

— Higuschi! — zwrócił się do szefa sztabu.

Ten ruszył ku drzwiom, lecz w tym momencie wpadł do sali oficer.

Oczy wszystkich padły na jego twarz, drżącą wzruszeniem i przerażeniem.

— Mów! — warknął Jamamoto, postępując krok naprzód.

— Ekscelencjo! Kawaleria nieprzyjacielska wdarła się do miasta! — przerywanym przez zmęczenie głosem bełkotał oficer.

— Pretwicz! — zakrzyknęło kilkanaście głosów.

Potworny huk wstrząsnął powietrzem. Za nim natychmiast drugi i trzeci.

— Magazyny! — krzyczał Tawaschiki, chwytając się dłońmi za głowę.

Jamamoto bliskim był apopleksji. Chwiały się na nogach, oddychali ciężko. Ruchem dłoni wskazał Tawaschiki'emu błyski dział na wzgórzu.

Generał wypadł za drzwi. Za nim gromada innych.

Jamamoto upadł na krzesło.

— Pretwicz; Pretwicz! — charczał, dławiąc się wściekłością i niepokojem.

Oficerowie spoglądali nań w milczeniu.

Działa z wyżyn Worobjewych były bezustannie.

Nad miastem, w kilkunastu punktach podniosły się olbrzymie płachty płomieni i dymu.

XVII

Największa, jakie znała kiedykolwiek historia wojen, bitwa kawaleryjska na równinach, rozciągających się pomiędzy wierzchołkami, Wołgi i Dżwiny dobiegała końca.

Pretwicz po napadzie na Moskwę, który uwieńczony został całkowitem powodzeniem, osiągniętym przez zniszczenie olbrzymich składów amunicyjnych i wycięcie w pień panu dywizji japońsko chińskich, rozłożonych na leżach wypoczynkowych na krańcach miasta, połączył się z grupą Clermonta, która cofała się na Rzew po dokonanym rajdzie na linię kolejkową Moskwa

— Piotrogród.

Obie te grupy, zjawiając się niespodzianie na polu bitwy toczonej, przez Drummonda z Kamuru, przechyliły szalę zwycięstwa na stronę białych.

Pułki Clermonta i Pretwicza, uderzając w brawurowych atakach na oddziały Kamouru, zniosły je prawie, że doszczętnie. Bitwa trwała dwa dni.

Niedobitki Kamuru w dzikim popłochu cofały się ku armji Tawaschki'ego, szukając pod osłoną jej schronienia.

Pretwicz, lekko ranny odłamkiem granatu, dążył w samochodzie za ostatnimi oddziałami, swej armji, ścigającej resztki rozbitych oddziałów Kamuru. Po drodze spotykał całe gromady jeńców, których strażę pędziły wzdłuż Dzwiny ku Witebskowi, znajdującemu się całkowicie w rękach białych.

Na jednym z postojów natrafił na oddział wziętych do niewoli kawalerzystów japońskich, wśród, których znajdowała się spora garść oficerów, spoglądających ponuro na białych zwycięzców, Pretwicz mijał ich, salutując.

W pewnym momencie, samochód jego za trzymał się z powodu zatarasowania drogi przez długi pochód jeńców.

Nagle jeden z oficerów japońskich przysunął się do samochodu i wsparłszy się dłońmi o karoserię utkwiał wzrok w dowódcy europejskiej kawalerji.

Pretwicz uniósł z poduszek głowę.

Oficerem tym była... Ozari.

Szalone trudy powlokły jej twarzyczkę cieniem znużenia i smutku.

Patrzała w milczeniu, oddychając szybko ze zmęczenia.

Pretwicz bez słowa pochylił się ku niej i objął ją ramieniem.

— Ozari! — wyszeptał.

Japonka wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

Pretwicz stał obok i tulił ją w swych ramionach.

W tej chwili gromadka jeźdźców przedarłszy się przez pierścień straży i tłumy jeńców, dopadła pędem do samochodu.

Na czele jej stał generał w uniformie wojsk angielskich.

— Macready! — zakrzyknął Pretwicz — posuwając się żywo ku niemu — Skąd przybywasz?

— Z głównej kwatery... przed chwilą przybyłem tutaj samolotem, aby ci wręczyć kolego, rozkaz twego wodza — mówił Macready, zerkając ciekawym spojrzeniem na stojącego obok

Pretwicza japońskiego oficera — Masz, czytaj! — dorzucił, wręczając Pretwiczowi zwitek papieru.

Ten rozwinął go i szybko przebiegł oczyma.

— Rozkaz natychmiastowego przerwania działań wojennych! — zakrzyknął Pretwicz, podnosząc zdumiony wzrok na Anglika — Nie rozumiem! Czyżby pertraktacje pokojowe?

Anglik skrzywił się niechętnie.

— Ano... tak... tak... pertraktacje! W głównej kwaterze już są wysłańcy marszałka Jamamoto z propozycjami pokojowemu. A na ich czele nasz dawny znajomy... generał Tawaschiki! — informował Macready.

Wśród żołnierzy, stanowiących straż jeńców, wszczął się wesoły pogwar.

Uwijał się tam wachmistrz Szymek Mróz, który łamanym japońskim językiem komunikował jeńcom wielką nowinę.

— Pójdziecie złotoki do domu! Rozumiecie!

Pokój i szlus! Nasz Dziadek nie talki ta znów łakomy na krew... potłukł was ździebko, ale zawzięty to on nie jest! Możecie dymać do domu!— darł się, jak opętany do jeńców, którzy otoczyli go zwartym kołem.

— Jakie warunki? — zapytał półgłosem Pretwicz, odciągając nieco na bok Macready'ego.

— Azja dla azjatów... zamiast olbrzymiej Rosji utworzone zostaną samodzielne państwa Białorusi i Ukrainy oraz Rosji właściwej... ludy Kaukazu otrzymają kompletną wolność — informował go anglik. — No... ale zbierajcie się kolego!

Wódz naczelny pragnie was mieć przy sobie!

Dowództwo zdajcie Clermontowi! — dokończył, biorąc go za ramię.

Pretwicz roześmiał się wesoło.

— Wybornie się składa, że zastanę generalia Tawaschiki'ego w głównej kwaterze — odrzekł, wiodąc towarzysza w stronę samochodu.

Ten spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Na co wam potrzebny jest Tawaschiki? — pytał.

Stanęli obok samochodu.

— Na co? — zaśmiał się Pretwicz, ujmując dłoń stojącego przy samochodzie oficera japońskiego i podnosząc ją do ust — na to, aby móc go poprosić o rękę jego siostrzenicy! Jestem pewny, że nie odmówi mej prośbie! Nieprawdaż, Ozari?

Ozari skinęła głową.

— Na pewno zezwoli... a zresztą, jako żołnierz byłam mu winną bezwzględne posłuszeństwo, lecz teraz, gdy wojnie nadszedł kres... — mówiła z uśmiechem, wyciągając swą rękę ku zdumionemu anglikowi.

Pretwicz pochylił się nad ukochaną.

— Koniec wojnie... i kres naszej rozłące! — szepnął, topiąc w niej rozmiłowane spojrzenie.

Ozari przygarnęła się doń ufnie, jak małe dziecko.

Otaczający ich wokół jeńcy i strażujący, patrzyli na nich ze wzruszeniem.

Tych dwoje młodych zwiastowali jak gdyby pogodzenie się dwóch ras, które huragan od Wschodu rozdzielał i kłócił dotychczas między sobą.

KONIEC.